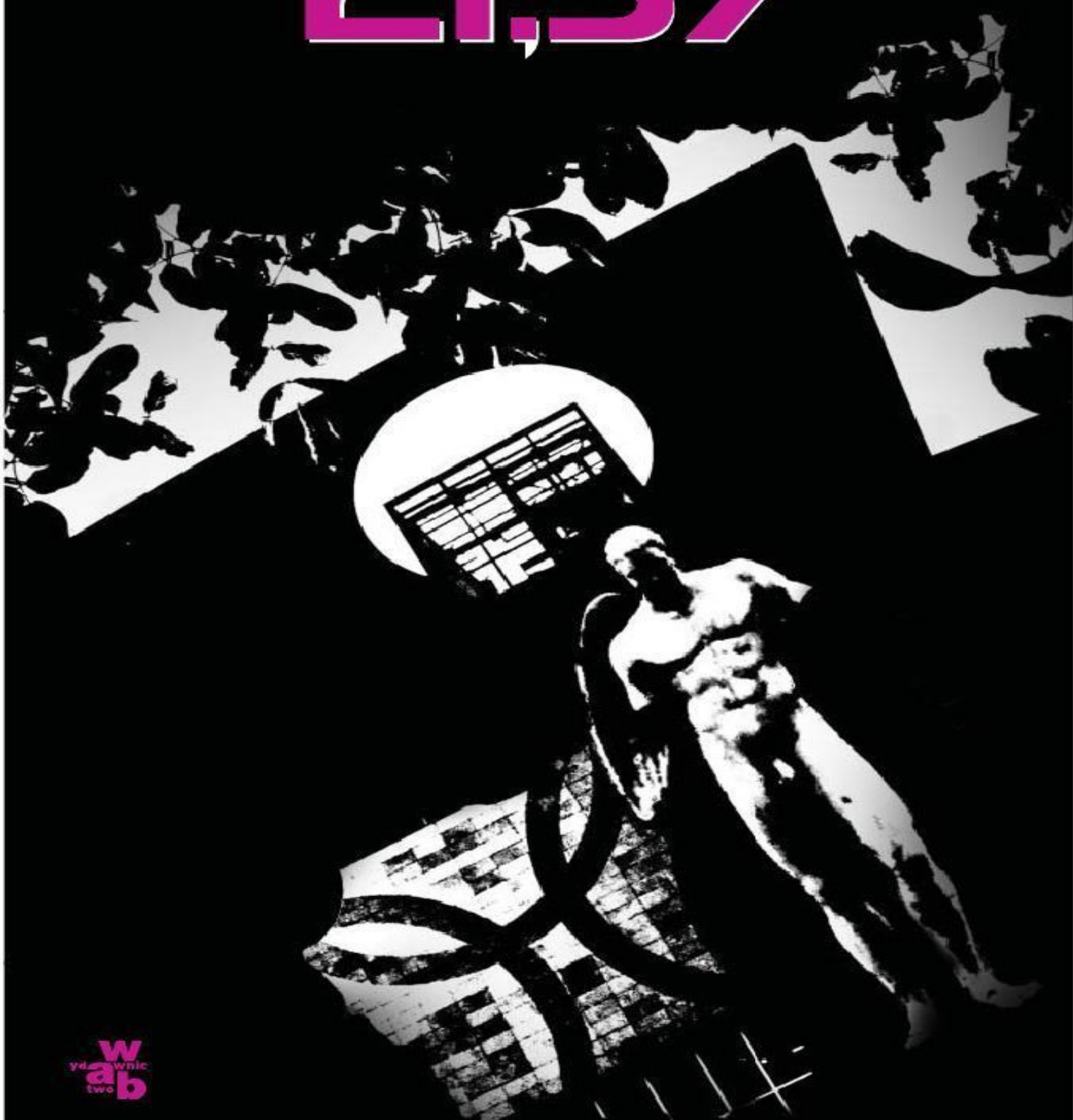


MRO CZNA
SERIA

MARIUSZ
CZUBAJ

21:37



Wydawnictwo
ab
two



MARIUSZ

CZUBAJ

21:37



Spis treści

Motto

Prolog

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[Od autora](#)

[Przypisy](#)

Symbolenie czystości są równie odzowne jak użycie czerni w rysunku. I dlatego właśnie w świętych miejscach i świętym czasie odkrywamy też niekiedy sakralizację rozkładu.

Mary Douglas, Czystość i zmaza
przeł. Marta Bucholc, Warszawa 2007.

Pewne rodzaje zła służą wprawdzie wyższym formom dobra, możliwe jest jednak, że istnieje takie zło, które nie daje się włączyć w żaden system dobra i do którego jedynym praktycznym stosunkiem jest tylko milczące poddanie się lub zgoła niebranie go pod uwagę.

William James, Doświadczenia religijne
przeł. Jan Hempel, Kraków 2001.

Prolog

To był sen. Tylko sen. A on za chwilę wybudzi się z tego koszmaru.

Śniło mu się, że ma piętnaście lat, spędza wakacje nad morzem i uczy się pływać pod wodą. To były ostatnie wakacje, gdy żył jeszcze ojciec. Ostatnie szczęśliwe miesiące w jego życiu. Najpierw dwadzieścia metrów po powierzchni fal, później tyle samo albo jeszcze więcej na bezdechu w zanurzeniu. Tak długo, jak się da. Dopóki ból w płucach nie zacznie kłuć niczym wbijane w ciało igły. Dopóki pulsowanie krwi nie rozsadza skroni. Do chwili, gdy strach nie zacznie paraliżować ruchów. Bo to strach, powtarzali mu podczas morderczych treningów, ostatecznie to strach zawsze zabija. Dlatego im więcej umiesz, tym mniej się boisz.

Tym razem było jednak inaczej. Przecenił swoje możliwości. Zszedł zbyt głęboko i teraz musi czym prędzej wypłynąć. Niebieskie plamy w szarym, metalicznym odcieniu stawały się jaśniejsze i układały w jednolity, monotony obraz. Wynurzał się. Za chwilę wszystko wróci do normy. Wyrówna oddech. Zobaczy bezchmurne niebo. Może ujrzy w oddali zarys dwóch łodzi z białymi żaglami.

Niebieska płaszczyzna pękła na setki kawałków, niczym tłuczone lustro. W oczach wirowały wielobarwne punkciki.

Poczuł, że piecze go skóra na policzku. W jednej chwili odzyskał świadomość.

Już wiedział, że to nie był sen. Że nie jest nad morzem.

Coś znacznie gorszego od sennego koszmaru działo się na jawie.

Pastelowe niebo przemieniło się w niechlujnie pomalowaną ścianę, z której gdzieś oblażała farba, odkrywając fakturę starych desek. Zamiast białych żagli zobaczył białka oczu z nitkami popękanych naczynek.

Zobaczył oczy szaleńca.

Łapczywie zaczerpnął powietrza, ale nie poczuł ulgi. Zakrztusił się.

Bał się. Jednak to nie paraliżujący strach sprawił, że wytrenowane ciało odmawiało posłuszeństwa. To nie strach przywiązał mu ręce do oparcia metalowego krzesła i nie on skrępował mu nogi.

Przekrwione oczy wpatrywały się w niego z uwagą sędziego, który przygląda się zamroczonemu ciosem bokserowi i ocenia zdolność do podjęcia dalszej walki. Mężczyzna z wyraźnym ciemnym zarostem na twarzy wyprostował się i odsunął od krzesła. Chłopak napiął mięśnie i szarpnął. W odległości trzech metrów od siebie, na takim samym starym, ciężkim krześle ujrzał sobowtóra. Też był blondynem, ręce i nogi miał tak samo związane, a na ustach – ten szczególnie ich jednak różnił – szarą taśmę pięciocentymetrowej szerokości, jaką okleja się paczki na pocście. Mężczyzna jednym ruchem zerwał taśmę. Zabrzmiało to jak trzask łamanej gałęzi.

Sobowtór krzyknął.

– Ciii... – Mężczyzna przyłożył palec do ust. – Nie lubię krzyku. Przyzwyczajony jestem do ciszy. Chyba tak samo jak wy. –

Pogłaskał sobowtóra po głowie. Chłopak wygiął szyję i popatrzył na oprawcę z odrazą.

Szaleniec zaśmiał się cicho.

– No chłopcy, ostatnia runda. – Krążył palcem wokół ust sobowtóra, gdzie powstał czerwony ślad. Pamiątka po gwałtownie zerwanej taśmie. – Chyba już wiecie, jak to jest tracić oddech. Powolne, bolesne, straszne męczarnie to nic. Najgorsze jest, że do końca wiecie, co się dzieje. Prawie do końca jesteście wszystkiego świadomi.

Rytmicznie zaciskał dłonie w pięść i rozprostowywał palce. Przechadzał się między krzesłami, jakby wygłaszał wykład.

– Wszyscy, jak tu jesteśmy, wiemy, że wiedza bywa bolesna. Już biblijni praprzodkowie to wiedzieli, więc... – zawiesił głos.

– Więc kto jeszcze? – zapytał ostrym tonem. – Kto? Muszę to wiedzieć!

Chłopak patrzył na przemian to na swojego sobowtóra, to na pochylające się nad nim plecy mężczyzny. Poruszył dłońmi. Czuł, że więzy trochę się poluzowały, a między nadgarstkami i metalowym oparciem wytworzyła się wolna przestrzeń.

– Ja nic nie wiem... Naprawdę... Mówiłem już... Mówiliśmy już... Przysięgam... Proszę nas puścić. Nie powiem nikomu... Zniknę... Nikt się nigdy nie dowie... Bardzo proszę...

Głos chłopaka załamywał się.

Mężczyzna pokręcił głową zdegustowany. Przy każdym jego kroku lekko skrzypiała podłoga.

– Nie dajesz mi wyboru. A ty – odwrócił się – popatrz na swojego kolegę. Nie szkoda ci go?

Nie czekał na odpowiedź. Wprawnym ruchem założył sobowtórowi na głowę torbę foliową, szarpnął i zacisnął. Przerazone oczy znikły zasnuwane parą. Głowa podrygiwała jak przy elektrowstrząsach. To wygląda jak instalacja – pomyślał chłopak. – Jakaś koszmarna pieprzona instalacja, jakich pełno w galeriach sztuki współczesnej. To musi być jakiś żart.

Drżała już nie tylko głowa. Całe ciało zaczęło podskakiwać. Sportowe buty wystukiwały nerwowy rytm, jakiego nie powtórzyłby żaden perkusista na świecie. Chłopak zaczął się śmiać.

Mężczyzna nie spodziewał się takiej reakcji. Zesztywniał i puścił sobowtóra.

– Co? Co cię tak śmieszy?

Jeszcze moment – pomyślał chłopak. – Jeszcze moment i będę miał wolne ręce. Gdy pochylił się nade mną, złapię go za włosy i uderzę głową. Jak się uda.

– Jesteś psycholem, wiesz? Tandetnym psycholem. Dlaczego to robisz? Przecież nas i tak nie zabijesz. – Zaśmiał się histerycznie. Zakrztusił się śliną, która ściekła po szyi, i dostał ataku kaszlu. – Jeszcze chwila. – Nawet jako świr pozostajesz miernotą. Naoglądałeś się Siedem i odbiło ci. Tak, masz rację: wiedza jest bolesna. Więc ciekawe, kiedy dotarło do ciebie, że jesteś miernotą? No kiedy...

Zagadać. Dwadzieścia sekund i będę wolny. Potem wszystko w moich rękach.

Mocne uderzenie w twarz oszołomiło go. Folia zacisnęła się na głowie. Pociemniało w oczach. Ręce stały się ciężkie i bezwładne. Nadgarstki zetknęły się z chłodnym metalem.

Nagłe szarpnięcie sprawiło, że powróciło światło. Uścisk zelżał.

– Kto? Kto jeszcze? – usłyszał nad sobą głos, ale nie miał siły odpowiedzieć.

Z jego ust dobywało się charczenie.

Folia raz jeszcze naprężyła się na jego policzkach, czole i nosie.

– Lis wie o wielu sprawach, natomiast jeź zna jedną, najważniejszą – głos dobiegł gdzieś z daleka. Albo tylko tak mu się zdawało.

Torba wrzynała się w skórę. Twarz płonęła, a w uszach szumiało.

Znów miał piętnaście lat, spędzał wakacje nad morzem i uczył się pływać pod wodą.

Daniel Wyprych zaczerpnął powietrza. Była parna wiosenna noc, a niebo pełne gwiazd zapowiadało kolejny upalny dzień. Wyprych popatrzył w górę i pomyślał, że niestety nie urodził się pod szczęśliwą gwiazdą. Dwa tygodnie temu skończył pięćdziesiąt trzy lata. Natura poskąpiła mu wzrostu. W klasie był zawsze najniższy, co sprawiało, że koledzy lubili od czasu do czasu wykorzystywać swoją przewagę fizyczną. Tak działo się do chwili, gdy szkolny konus zapisał się do sekcji bokserskiej Gwardii Warszawa. Wtedy wszystko się zmieniło. To on zaczął dawać wycisk, rządzić na podwórku i boisku. Nikt już nie ośmielił się nazwać go „oprychem”, „wytrychem” czy „wypryskiem”. Startował w wadze papierowej. Jego atutem była szybkość, którą pokonywał przeciwników. Robił postępy i został dostrzeżony przez trenerów kadry.

Tu kończyła się optymistyczna część historii, którą zwykł opowiadać za butelkę piwa. Boksera pokonał przypadek. Gdyby nie przypadek, nie poszedłby wtedy do osiedlowego sklepu i nie wdał

się w awanturę z dwoma podchmielonymi osiłkami, którzy, okazało się, mieli do pomocy jeszcze trzech kolegów. Wyprych wyszedł z nierównej walki zwycięsko, ale za to z rozbitym łukiem brwiowym. Gdyby więc nie przypadek, pojechałby do NRD, do Halle, na prestiżowy turniej. A potem... Kto wie...

Od tamtego momentu w życiu Wyprycha, którego koledzy zaczęli nazywać Halle, wszystko się zmieniło.

Halle ruszył z ulicy Podleśnej na nocne łowy. Minął Kępę Potocką, przeciął wymarłą w środku nocy Wisłostradę i znalazł się blisko rzeki. Ruszył w stronę Centrum Olimpijskiego, przez sportowców zwanego złośliwie Pałacem. Bliskość siedziby Polskiego Komitetu Olimpijskiego sprawiła, że Halle znów pomyślał, co by było, gdyby... Gdyby chociaż urodził się trochę później. Pod koniec lat siedemdziesiątych polski boks wciąż liczył się na świecie i Halle bił się w ringu z prawdziwymi wymiataczami. W następnej, chudej dekadzie młodych zabijaków już nie było, a starzy się wykruszyli. Nie miałby sobie równych – to Halle wiedział na pewno. A co by było, gdyby został bokserem zawodowym? Nikt by nie mówił, że startuje w tej śmiesznej wadze papierowej. A i imię by zmienił, bo to, którym unieszczęśliwili go rodzice, wszystkim kojarzyło się z piosenkarzem występującym na festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu. Niekiedy, siedząc przy butelce piwa Tatra, Halle układał w głowie puenty wywiadów, jakich udzielałby gazetom sportowym przed ważnymi walkami. „Jak będzie pan walczył? – To proste – odpowiadał sobie w myślach. – Trafiam, urywam głowę i koniec.”

Trafiam, urywam głowę. To podobało mu się najbardziej.

Chociaż życie zakpiło z niego, Halle nabył stoickiej wprawy i umiał cieszyć się z tego, co miał. Nie zapił się, jak jego koledzy z sali bokserskiej, ani, jak wielu innych, nie skończył w więzieniu albo na cmentarzu. I cieszył się, że mieszka w okolicach Kępy Potockiej, a nie, jak kiedyś, przy Raławickiej. Nie mógłby chodzić nocą, jak teraz, i zbierać odpadów po bogaczach. Tereny przy Raławickiej oraz Żwirki i Wigury, ciągnące się w stronę lotniska, ogrodzono i ochrzczono imieniem Marina. Tajemnicza nazwa nawet podobała się Wyprychowi, ale i tak wolał wciąż bezimienne przestrzenie nad Wisłą, nieokiełznane jeszcze przez developerów walczących o ziemię w stolicy jak wściekłe psy.

Halle szczególnie upodobał sobie okolice Centrum Olimpijskiego. Zauważył, że wieczorem zatrzymują się tam dobrej klasy samochody. Ich właściciele spotykają się, po czym po kilkunastu albo kilkudziesięciu minutach odjeżdżają. Halle usłyszał od kogoś, że to jedno z ulubionych miejsc schadzek tych, którzy – tu rozmówcy zawsze się uśmiechali – „robią to inaczej”. I że po pedałach znaleźć można nie tylko zużyte prezerwatywy, ale też puszki, niedopite piwo w butelkach, papierosy w pomiętych paczkach, a nawet ubranie. Halle mógł to wszystko potwierdzić: sam znalazł kiedyś t-shirt, wprawdzie o wiele za duży, i parę nieznoszonych butów. Pewnie ktoś musiał ich nieźle wystraszyć – myślał. – Bo przecież nikt by butów nie zostawił. W dodatku dobrych.

Teraz przypomniał sobie tę historię o butach i od razu poprawił mu się humor. Zresztą ostatnio był w niezłym nastroju. Pogoda dopisywała, od dwóch tygodni było ciepło, nocnych schadzek coraz

więcej i odpadów do zagarnięcia też nie ma. Halle zapalił papierosa. Wkraczał na teren swoich łowów.

W plecaku pobrzękiwało już kilka puszek i butelek, gdy zobaczył coś dziwnego. Tam, gdzie zaczynała się ściana drzew, ktoś mu się przyglądał. Halle wyrzucił papierosa i położył plecak. Wieloletnie doświadczenie podpowiadało, że w takich przypadkach lepiej mieć dwie ręce wolne. Ręce, które wciąż potrafią uderzyć, trafić i urwać głowę.

Popatrzył na zegarek – znalazł go ubiegłego lata w pobliskich krzakach. Była trzecia czterdzieści. Nikogo o tej godzinie nie powinno już tu być. Rozejrzał się. Dziwne. Nigdzie nie zobaczył samochodu. Znow spjrzał przed siebie. Postać przy drzewie wciąż siedziała nieruchomo i patrzyła w jego stronę. Wyprych zmrużył oczy krótkowidza i postanowił podejść bliżej. Może wystraszy tamtego, a wtedy można liczyć na ciekawy łup. W takich chwilach najważniejsze to nie okazać strachu.

Halle zrobił krok do przodu.

Tamten wciąż się nie ruszał. Dziwne. Siedzisz na odludziu, w nocy, i ktoś podchodzi do ciebie. Jest naturalną reakcją, że wstajesz, nawet zrywasz się, bo nigdy nie wiadomo, co się może stać i jakie zamiary przybysz ma wobec ciebie. Postać, do której zbliżał się Halle, wciąż siedziała z nogami wyciągniętymi przed siebie. Na głowie – Wyprych znow zmrużył oczy – miała jakąś czapkę. Może jest pijany – przemknęło przez głowę byłemu bokserowi. Popatrzył na sportowe buty, chyba w dobrym stanie. Wszystko wskazuje na to, że tej nocy dopisze mu szczęście. Zapowiadają się udane łowy.

A jednak coś się nie zgadzało. Postać wciąż siedziała, ale nie opierała się o drzewo, jak można było przewidzieć. Oprócz ich

dwóch był tu jeszcze ktoś. Siedzący przylegał plecami właśnie do niego. Halle dostrzegł drugą parę wyprostowanych nóg. Zwolnił. Wciąż widział tylko zarysy tych dwóch, uprawiających nad ranem przy Pałacu dziwną gimnastykę.

– I co się tak gapisz, cioto? – rzucił Halle w stronę siedzących. – Co tam robicie?

Grunt to przejąć inicjatywę.

Powinni się zerwać na nogi. Tymczasem z tamtej strony nie było żadnej reakcji. Halle usłyszał chrzęst pod stopą. Z satysfakcją pomyślał, że rozgniół skorupę ślimaka. Te ścierwa nie powinny łązić pod nogami. Wciąż coś się nie zgadzało. Zrobił jeszcze krok i wtedy zrozumiał.

Głowa. Ten, który siedział, miał coś na głowie. Halle poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła, zupełnie jak podczas przejażdżki na diabelskim młynie. To jednak nie głowa uwięziona w torbie była najbardziej przerażająca. Tam, gdzie powinny być usta, eksbokser zobaczył coś dziwnego. Coś, co go przeraziło.

Gwałtownie odwrócił się i zwymiotował na torbę z nocnym dorobkiem. Wytarł dłonią usta i brodę.

– O żesz kurwa... Kurwa mać!

Czuł, że stało się coś niedobrego i że najrozsądniej będzie, jeśli się oddali. Szkoda może tylko tych sportowych butów.

Ruszył w stronę parkingu przy Centrum Olimpijskim. Z budki strażnika dobiegała senna piosenka. Przez okienko Halle dostrzegł, że mężczyzna w uniformie z napisem Agencja Ochrony śpi z głową opartą na dłoni.

Halle załomotał w plastikową ścianę budki.

– Szefie, tam przy głównej ścieżce... tak trochę dalej... Tam ktoś leży... Właściwie to siedzą... Chyba dwóch...

Zaspany mężczyzna zastanawiał się, czy nie nacisnąć alarmu wzywającego patrol. Firma ochroniarska wysyłała tu wozy niechętnie, poza tym można się spodziewać nieprzyjemności. Na pewno dwóch młodych wygolonych osiłków w czarnych uniformach będzie się wyśmiewać z jego nieporadności. Z tego, że nie dał sobie rady z jednym kurdupłowatym menelem zbierającym puszki.

– I co? Ja tam pójde, a ty mi budkę obrobisz? – Popatrzył na grające zdezelowane radio. – Nie ze mną te numery.

– Nie, nie o to chodzi... Tam... – Halle wyciągnął rękę w kierunku drzew.

W wyrazie jego twarzy ochroniarz zobaczył coś, co sprawiło, że zmienił zdanie. Nacisnął alarm w pilocie. Najwyżej będzie się tłumaczył.

Patrol przyjechał po dwunastu minutach.

Był dwunasty kwietnia 2007 roku. Wiosna budziła się do życia.

O czwartej czterdzieści pięć poranny śpiew ptaków nad Wisłą wymieszał się z jękiem policyjnych syren.

Przyjeżdżał tu co cztery tygodnie. Zawsze w połowie miesiąca. Zawsze piętnastego. Przyzwyczajenie i powtarzalność sprawiają, że nie wariujemy – powtarzał podczas kursów dla młodych adeptów kryminalistyki. Przyzwyczajenie i powtarzalność – dodawał, patrząc na potakujące mu głowy – są także wizytówką psychopatów i szaleńców.

Jak zwykle przyjechał z różami. Przywiózł nowy słoik po ogórkach konserwowych Krakus. Miesiąc temu, gdy zdarzały się jeszcze przymrozki, zauważył, że poprzedni słoik pękł. W domu nigdy nie mieli wazonu. Teraz też go nie kupił, żeby nie kusić złodziei, pewien, że nawet stąd ktoś prędzej czy później by go zabrał. A wtedy musiałby przyznać, że ktoś naruszył jego święte miejsce i zbeszczył je.

Krzyż był prosty, metalowy, gdzieniegdzie, zwłaszcza na końcach ramion, pokryty rdzą. Mężczyzna pochylił się, by zapalić znicz. Przyszło mu to z pewnym trudem. Wygnieciona sztruksowa marynarka z łatami naszytymi na łokciach, w stylu Brudnego Harry'ego, zrobiła się po zimie podejrzanie ciasna. Miał nieco ponad metr siedemdziesiąt, a ważył niemal dziewięćdziesiąt kilogramów. Prawą dłonią przyczesał na skroni włosy, wśród których zdecydowanie przeważały siwe. Jeszcze raz dotknął włosów.

U podstawy krzyża leżała sosnowa deska z wyżłobionymi inicjałami oraz cyframi: 1966-1991. Wstał i spojrzał na drogę. Przejechały dwa samochody, znacznie przekraczając, jak sądził, dozwoloną szybkość. Niedawno na odcinku między Bogusławicami a Grabową postawiono oznakowania informujące, że kierowcy dojechali do „czarnego punktu”. Wtedy, gdy to się zdarzyło, nikt nie stawiał żółtych tablic z czarnym iksem wpisanym w okrąg i nikt nie dziękował kierowcom za ostrożną jazdę. Był ciepły słoneczny dzień, taki jak teraz. Z niewyjaśnionych przyczyn samochód z trzema osobami zjechał na pobocze i wbił się w drzewo. Tak brzmiał oficjalny komunikat. Nie było co zbierać – to usłyszał już nieoficjalnie. Od policjanta z drogówki.

Popatrzył na znicz. Płomień giął się raz w lewo, raz w prawo, niczym narciarz podczas slalomu. Mężczyzna potarł kilkuniedniowy siwawy zarost, który nigdy nie zniknął z jego twarzy. Tak, zdecydowanie wolał to miejsce i krzyż przy szosie od rodzinnego grobu przy ulicy Sienkiewicza w Katowicach.

Nie lubił cmentarzy, bo w ogóle nie lubił tłoku. Nawet gdy chodziło o tłok wśród umarłych. Ta niechęć wzmagąca się, gdy w cmentarnej alejce mijał grób ulubionego aktora. Przy grobowcu rodziny Cybulskich zawsze czuło się nieustającą obecność egzaltowanych fanów „polskiego Jamesa Deana”. Przechodząc kiedyś tamtędy, pomyślał, że ścisk musiał być też wtedy w tym pociągu, do którego po raz ostatni w życiu Zbyszek próbował wskoczyć.

Wyjął z kieszeni komórkę i spojrzał na wyświetlacz. Dochodziła szesnasta. Za dwie godziny spotka się z trzema kolegami i przez dwie godziny będzie grał rockowe standardy. Wsiadł do samochodu,

założył okulary przeciwsłoneczne i zrobił to, co także należało do comiesięcznego rytuału. Włożył płytę do odtwarzacza, wybrał numer utworu i czekał, aż gitara Jimmy'ego Page'a zacznie delikatnie, na początku cicho i jakby od niechcienia grać introdukcję. Since

I've Been Lovin' You „Odkąd Cię pokochałem.” No właśnie: odkąd? Ile to będzie lat? Kiedy to było? Pustą drogę wypełniły obrazy z przeszłości. Molowy blues świadczący o geniuszu Led Zeppelin zbliżał się do końca, gdy zerknął na komórkę leżącą na miejscu pasażera. Zobaczył dwa nieodebrane połączenia.

Zaklął pod nosem. Powinien wyłączyć telefon. Czuł, że jeśli zadzwoni, próba zespołu stanie się równie realna jak to, że przebiegnie teraz czterysta metrów. Prędzej umrze na serce.

Zadzwonił.

– Tu Rudolf Heinz. – Gdyby na centrali nie znali jego głosu, mogliby pomyśleć, że dzwoni Al Pacino albo charyzmatyczny trener siatkarek. Skutek pięciu piw wypitych wczoraj wieczorem z Lambrosem Kastoriadisem, greckim mistrzem karate. – Przed chwilą ktoś chciał ze mną mówić.

Oficer dyżurny szybko przełączył rozmowę.

– Musisz przyjechać – usłyszał znajomy głos. – Wiem, że jest piętnasty... ale musisz przyjechać. Jeszcze dziś. Jest sprawa. Duża sprawa. Jak zwykle mawiasz: tyle o tym.

Epickie, stylistycznie obfite frazy nigdy nie były specjalnością naczelnika wydziału zabójstw. Co innego z sutymi obiadami. Było niedzielne popołudnie, więc naczelnik powinien teraz siedzieć w domu przy stole i wdychać aromat drugiego dania, które podała mu anorektyczna i upiornie gadatliwa żona. A jednak stało się coś,

co sprawiło, że przełożony Heinza siedzi teraz w firmie i popija, w najlepszym razie, obrzydliwą kawę.

Duża sprawa. Duża sprawa jest taka, że dzisiaj nie będę mógł być na próbie.

Heinz westchnął i odszukał w komórce numer mężczyzny, którego znał od trzydziestu lat. Człowieka, którego palce z równą biegłością poruszały się po klawiaturze komputera i gryfie gitary basowej.

2

Budynek Komendy Wojewódzkiej przeczył potocznym opiniom, że architekci za czasów późnego Gierka byli pozbawieni wyobraźni. Monumentalna płyta pasowała, owszem, do tych powszechnych wyobrażeń, ale już falista fasada wprowadzała niepokój i miała niewiele wspólnego z monotonnymi siedzibami władzy z czasów Polski Ludowej. Heinz lubił budynki z tamtego okresu. Pamiętał dobrze, jak powstawały domy handlowe Zenit i Skarbek, może dlatego, że sam wtedy dorastał.

Miał dziewięć lat, gdy w 1972 roku otwierano, przy uroczystych dźwiękach orkiestry, Dworzec Główny, o którym mówiło się, że jest jednym z najnowocześniejszych dworców w Polsce. Trzy lata później po raz pierwszy uciekł z tego dworca nad morze, z niewielkim bagażem i wypłatą matki w kieszeni. Do domu przywiozła go milicja. Stąd jeździł na festiwale rockowe w Jarocinie, te najlepsze, z pierwszych lat imprezy, z niekończącym się szalonym korowodem punków, rastamanów i wielbicieli heavy metalu.

Powróciły pierwsze takty bluesa Zeppelinów i Heinz pomyślał, że nie ma nikogo, z kim mógłby o tym wszystkim porozmawiać. Nie ma już od lat.

Jest profilerem – najlepszym w kraju specjalistą zajmującym się typowaniem nieznanymi sprawców przestępstw. Samotnym łowcą

tropiącym dzikie, unikatowe sztuki w rodzaju seryjnych morderców, gwałcicieli czy piromanów. W dodatku jest łowcą ledwie tolerowanym przez policyjnych rutyniarzy.

Gdy przekroczył czterdziestkę, zrozumiał, że tak będzie już zawsze. Że nigdzie nie znajdzie swojego miejsca. W pracy patrzono na niego jak na dziwaka i outsidera, specjalistę od kosmicznych, wyimaginowanych teorii, które szczęśliwym trafem okazywały się przydatne w chwytności rozmaitej maści morderców. Nie lubił miasta, w którym mieszkał przez większość życia, ale też nie potrafił wyjechać z Katowic i rozstać się z coraz bardziej obskurnym dworcem. W mieszkaniu, dzielonym z synem, też nie czuł się jak u siebie. Może było tak dlatego, że nigdy nie potrafił wypełnić tych kilkudziesięciu metrów rodzinną atmosferą. Kiedyś jeszcze się o to obwinał i próbował coś zmienić. Gdy syn skończył szesnaście lat i coraz częściej przebywał poza domem albo coraz później do niego wracał, Heinz zrozumiał, że poniósł porażkę. Najboleśniejszą spośród tych, jakie mu się przytrafiły.

– Nie obraż się, Hipis – powiedział mu kiedyś Lambros Kastoriadis – ale na więcej empatii natrafię w McDonalddie, zamawiając Big Maca, niż u ciebie. Na sali treningowej senseia Kastoriadisa czuł się dobrze, ale bywał tam z upływem lat coraz rzadziej. Wolał spotkania przy piwie. Pozostało tylko jedno miejsce, w którym Hipis odżywał.

Hipis. Przewisko nadali mu koledzy z zespołu. W przepoconych kanciapach, przerobionych na sale prób, zagraconych sprzętem muzycznym piwnicach, w magazynach pozbawionych wentylacji i oświetlanych jedną żarówką Heinz czuł się jeszcze najlepiej. Grał i wtedy czuł się wolny. „Wolność to inaczej nie mieć już nic do stracenia” – śpiewała boska Janis, jedna z idolek jego młodości.

A potem dopadała go brutalna prawda. Komisarz Rudolf Heinz, profiler, gitarzysta i posiadacz brązowego pasa karate, skończył czterdzieści cztery lata, nie miał nic do stracenia i coraz mniej do zyskania.

W niedzielne popołudnie w wydziale zabójstw było cicho. Wieczna reorganizacja w policji sprawiała, że Heinza i innych policjantów z Wydziału Kryminalnego przerzucano z pokoju do pokoju. Dziwnym trafem powierzchnia pokoi za każdym razem zmniejszała się, rosła natomiast liczba, jak to mówiono, lokatorów. Heinz dzielił teraz klaustrofobiczny pokój z podkomisarzem Krzysztofem Kobuzem oraz aspirantką Antoniną Trzcinską, której zadaniem było wpisywanie tajnych danych do komputerowej bazy. „Wszystko ma na miejscu, tylko miejsca nie ma” – na powitanie nowej lokatorki Kobuz posłużył się jednym ze swoich licznych aforyzmów. Coraz więcej pomieszczeń w gmachu na ulicy Lompy przejmowali funkcjonariusze Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Centralnego Biura Antykorupcyjnego i nic nie wskazywało, by miało się to zmienić. Przeciwnie, z każdym miesiącem będzie coraz gorzej – pomyślał Heinz i zapukał do gabinetu szefa.

Wszedł do pokoju i zakrztusił się dymem. Chociaż sam palił od dziesiątego roku życia, nie mógł się przyzwyczaić do papierosów naczelnika Wydziału Kryminalnego Henryka Krygiera. Gdyby musiał opisać unoszącą się w pokoju woń, powiedziałby, że ma do czynienia ze smrodem palonych znoszonych gumofilców zmieszanych z mączką kostną. Naczelnik miał nadwagę większą niż Heinz, twarz podobną kształtem i rozmiarami do sznycla wiedeńskiego oraz sumiasty wąs, który sprawiał, że przypominał morsa.

– Gdyby tu był detektor dymu, z pewnością dostałby ataku kaszlu
– wychrypiał Heinz.

Krygier zaśmiał się.

– Dobrze, Hipis. Mógłbyś występować w programach „Na stojaka”,
publiczność pękałaby ze śmiechu.

– Pomyślę o tym, jak przejdę na emeryturę...

Twarz naczelnika spoważniała.

– Nie teraz, Heinz. Teraz nie wyjeżdżaj z tą emeryturą. Jest
sprawa.

– Duża sprawa – Heinz powtórzył to, co usłyszał przez telefon.

– Owszem. A wygląda tak: dwunastego kwietnia nad ranem przy
Centrum Olimpijskim znaleziono zwłoki w liczbie sztuk dwie.
Młodzi chłopcy, na oko koło dwudziestu lat. Sprawę komplikuje to,
że ci chłopcy okazali się seminarzystami z seminarium duchownego.

– Dwóch kleryków! – Heinz gwizdnął.

– W rzeczy samej. Sprawę, jak się domyślasz, przejęło CBS. Tyle
że wiesz, jak to z nimi jest...

Heinz wiedział. Sukces ma wielu ojców, porażka cierpi na
chorobę sierocą. Gdy funkcjonariusze Centralnego Biura Śledczego
przewidywali, że sprawa może być trudna – pozostanie
nierozwiązana albo będzie się ciągnąć miesiącami – woleli
przekazać ją policji. Pewnie tak będzie i tym razem. Niczego
dobrego to nie wróży.

– W Komendzie Stołecznej powołano specjalny zespół – ciągnął
Krygier. – I tu się zaczyna twoja rola...

– Zaraz – Heinz przerwał. – Rozumiem, że mamy podwójne
morderstwo, chodzi o kleryków, więc sprawa jest delikatna. Ale od
razu powołali specjalną grupę?

– Nie wiesz jeszcze wszystkiego. Klerycy, sztuk dwie. To pierwsza komplikacja. Druga jest taka, że wyglądali nieciekawie. Na głowach mieli torby foliowe... – Krygier czekał na reakcję. – Według wstępnych ustaleń ktoś ich tymi torbami udusił – dodał ciszej i sięgnął po kolejnego papierosa.

– Facetowi, zbieraczowi puszek i butelek, który ich znalazł, serce o mało nie wyskoczyło przez gardło.

– Jakiś wrażliwy gość – powiedział Heinz. – Chyba – popatrzył na Krygiera – chyba że to nie wszystko.

Poczuł, że robi mu się niedobrze. Zapewne z powodu papierosów.

– Komplikacja numer trzy jest taka, że... – naczelnik zaciągnął się – że na tych foliach, na wysokości ust, ktoś namalował trójkąty.

– Namalował trójkąty?

– Różową szminką.

– No to mamy pełny odlot...

– Czekaj... Wszystko wskazuje na to, że jest jeszcze komplikacja numer cztery. Ale tego nie wiem. Tak czuje mój nos. Pytałem, ale ci z Warszawy nie chcą powiedzieć, o co chodzi. Widocznie uważają, że im mniej osób wie...

– Tym potem mniejszy wstyd – przerwał Heinz. – Rozumiem już, dlaczego CBS chętnie spuściło tę sprawę.

– Spuściło, ale nie do końca. Jak wiesz, Katowice znów rządzą. Jak za starych czasów – Krygier uśmiechnął się, przez co jeszcze bardziej upodobił się do morsa. – Prokuratura na szczeblu krajowym, abwera to ludzie stąd – wskazał ręką. – Uważają, że zabójstwo w Warszawie, z tymi torbami i tą szminką, to jakaś inscenizacja. No i ktoś w CBS przypomniał sobie, że w Katowicach jest niejaki Rudolf Heinz, specjalista od inscenizacji.

– Ale nie mogę jechać. – Heinz wstał z fotela. – Mamy zabójstwo w Lasku Aniołowskim, poza tym syn ma maturę, a przecież wie pan, szefie, że nie układa się nam. Mają tam swoich ludzi, powołali specgrupe, czego jeszcze chcą?

– Pojedziesz tam, rozejrzysz się, przewietrzysz Warszawkę i wrócisz. Nie będziesz członkiem specgrupy, masz być raczej koordynatorem. Takim... – Krygier szukał słowa – wolnym elektronem, który będzie działał po swojemu. Wiem, że mamy tu gówno na własnym terenie, w Lasku Aniołowskim, ale centrala nalega. Poza tym ludzie stąd pamiętają, że dobrze sobie radzisz w takich sprawach.

– Jakich sprawach?

– Z podtekstem religijnym. Umiesz się w tym poruszać. Kończyłeś liceum katolickie z internatem...

– I co z tego? To było dawno. Jestem policjantem, a istnienie policji to koronny dowód na nieistnienie Boga. Poza tym liceum nie skończyłem, wyrzucili mnie, gdy zorganizowałem mecz na korytarzu koszem na śmieci, a potem przypadkiem uruchomiłem gaśnicę pianową.

– Dobrze. Tak czy inaczej pojedziesz – ciągnął Krygier. – Ktoś z Biura pamięta sprawę Inkwizytora. Podejrzewają, że tym razem też może chodzić o jakiegoś maniaka religijnego.

Heinz drgnął. Przed oczami stanęła mu twarz mężczyzny z siatką drobnych zmarszczek wokół oczu koloru stali. Twarz, która niczym się nie wyróżniała i rozpływała się w gąszczu podobnych. Może tylko dziwnie nieobecny spojrzeniem. Spojrzeniem spokojnym i bezwzględny. Przez ostatnie lata Heinz widział tę twarz przed sobą coraz rzadziej. Prawie o niej zapomniał.

Dym ukraińskich papierosów stał się nie do zniesienia. Heinz znów się zakrztusił. Krygier podszedł do okna i otworzył je szeroko.

– Nie chciałem ci tego przypominać – powiedział cicho. – Tak czy inaczej pojedziesz, rozejrzysz się i wrócisz. Miasto znasz, mieszkałeś tam całe lata i masz ze strony CBS to, co lubisz – wolną rękę. Poza tym pamiętaj: czuję, że jest tu jeszcze coś, czego mi nie powiedzieli. Masz być u nich jutro.

Krygier spojrzał na zegarek.

– Będę jadł zimny rosół. Zanim znikniesz, powiedz jeszcze, co sądzisz o gównie w lasku.

– Kobieta w średnim wieku podziurawiona nożem. Dosłownie podziurawiona, bo sprawca zadał prawie czterdzieści ciosów. Teren wokół rozryty, jakby przebiegło tam stado dzików, mnóstwo nieczytelnych śladów. On ją dźgał gdzie popadnie, a ona, póki mogła, starała się uciec... Być może uciekała... Takie przynajmniej jest pierwsze wrażenie. I wreszcie gwóźdź programu – ptasie pióro w dłoni zamordowanej...

– Mówiłeś już o tym na zebraniu. Nie rozumiem, co cię tak dziwi. Umierała i zacisnęła palce. Trafiła akurat na pióro. Nadal nie rozumiem, co w tym dziwnego.

– Jestem pewien, że tego pióra tam nie było. Nie potrafię tego udowodnić – Heinz podszedł do okna – ale jestem pewien, że pióro przyniósł ze sobą sprawca. Mówił szef o inscenizacji. I to w tym przypadku prawda. Skurwiel zainscenizował dla nas przedstawienie.

Słońce wdarło się do gabinetu naczelnika i Heinz zmrużył oczy.

– To nie jest tak, że poszedł ze swoją wybranką na spacer – bo to, że ją znał, nie ulega wątpliwości – a potem sprawy wymknęły się spod kontroli, doszło do sprzeczki i stało się, co się stało. On to

zaplanował. Poszedł tam z nią z myślą, że ją zabije. Pióro jest tu kluczem. Pamięta pan może przypadek Johna Jouberta?

– Pamiętam tylko tych, których złapałem – odpowiedział Krygier.
– A takiego sobie nie przypominam.

– Tam chodziło o ołówek. Zresztą... nieważne... Powiem tak: ten facet powróci. Obawiam się, że znowu zabije. Gównu będzie śmierdzieć jeszcze bardziej. Tyle o tym. – Heinz przyczesał dłonią włosy.

Krygier ponownie spojrzął na zegarek i westchnął. Wziął marynarkę i podszedł do drzwi. Wyszli na opustoszały parking. Naczelnik przeciągnął się niczym potężne zwierzę wybudzone z zimowego snu.

– Wiesz co? Pieprzyć to wszystko. W końcu jest niedziela. Czeka na mnie rolada wołowa po opolsku.

– Opole j jakoś źle mi się kojarzy, szefie. – Heinz wyobraził sobie zielone strzępy ogórka kiszzonego i różowe kawałeczki boczku drgające na ustach i wąsach Krygiera.

– A prawda, Opole... – Naczelnik przestał się przeciągać. – Jesteś... – szukał odpowiedniego słowa – jesteś defetystą, Heinz. Tak sobie postanowiłeś. I ten twój programowy smutek sprawia, że ciągle dreczesz w miejscu.

Heinz nie odpowiedział. Uniósł rękę w geście pożegnania i odwrócił się.

Krygier patrzył, jak samochód Heinza rusza w stronę szlabanu.

– Tyle o tym – mruknął za odjeżdżającym komisarzem.

3

Zakupy zrobił niedaleko komendy, choć tani supermarket Lidl, zwany też niekiedy Korytem lub Zemstą Helmuta, miał pod domem. Kupował głównie mrożonki. Heinz nie lubił niedzielnych zakupów, nieobliczalnych świątecznych kierowców na parkingu przed hipermarketem, szczerku wózków uderzających o inne wózki, klientów patrzących z wyrzutem, gdy ich bolid konsumpcji przypadkiem otarł się o inny wózek. Nie cierpiał wiecznych kolejek przy kasie, które wydłużyły się jeszcze bardziej, gdy pojawiły się nowe usługi umożliwiające płacenie rachunków za gaz, wodę, telefon i co tam jeszcze można sobie wyobrazić.

Tym razem, wbrew zwyczajowi, Heinz włożył do koszyka więcej. Musiał coś zostawić dla syna, a nie wiedział, jak długo go nie będzie.

Przewietrzyć Warszawkę. W stolicy spodziewał się kłopotów. Podwójne zabójstwo to już kłopot, a tu jeszcze dochodziły okoliczności. Dwaj klerycy z torbami na głowach, różowe trójkąty, a – jak twierdził naczelnik – pewnie coś jeszcze, o czym wiedzą tylko ci, którzy prowadzą dochodzenie. Zaangażowanie Centralnego Biura Śledczego. Od lat nie miał takiej sprawy. Był już na Osiedlu Tysiąclecia, dumie powojennego Śląska, gdy poczuł, że jego koszula nadaje się do wyżęcia.

Wbrew temu, o czym się czyta w powieściach, morderstwa należą do przestępstw najbanalniejszych i najłatwiejszych do wykrycia. Trzy czwarte dramatów z trupem w tle to historie rodzinne. Heinz zapamiętał tytuł jakiejś książki – Morderstwo jako jedna ze sztuk pięknych Nic bardziej mylnego. Do dziś przypominały mu się zdumione spojrzenia agentów FBI, gdy podczas stażu w Quantico prezentował statystyki zabójstw popełnianych w Polsce. Amerykanie kręcili z niedowierzaniem głowami, gdy opowiadał o liczbie morderstw popełnionych z użyciem siekiery, łopaty czy wideł. Zło jest banalne i prymitywne, mówił na kursach dla studentów. Najpewniej żaden z was nigdy nie spotka na swojej drodze seryjnego zabójcy.

Widział, że mówiąc to, sprawia im zawód. I bardzo dobrze.

Ktoś na niego zatrąbił. Widać, że zrobiła się prawdziwa wiosna – pomyślał Heinz. Sznur samochodów jechał od strony Wojewódzkiego Parku Rozrywki i Wypoczynku, tych zielonych płuc, które Ślężacy zawdzięczali generałowi Ziętkowi. To chyba pierwsza niedziela w tym roku, gdy przyjezdni zablokowali miejsca parkingowe mieszkańcom tuzena, jak zwykle się nazywać jego osiedle. Heinz był przy przystanku koło Żyrafy, tworu architekta, który zbyt długo wpatrywał się w surrealistyczny obraz Salvadora Dalego, gdy usłyszał iskrę przeskakującą po sieci trakcji tramwajowej. Ten dźwięk zawsze kojarzył mu się ze skwierczeniem topionego tłuszczu. Skwierczeniem palonego ciała. Już drugi raz tego dnia mignęły przed nim bezlitosne oczy koloru stali. Gwałtownie zahamował. Usłyszał za sobą pisk opon i wściekły ryk klaksonu.

Heinz oddychał ciężko.

– Jak jeździsz, palancie! – Rumiany czterdziestolatek wysunął głowę przez opuszczoną szybę samochodu. Wrzeszczał, jakby był wokalistą rockowym. Jakaś podłą namiastką Axela Rose'a.

Heinz czuł, że wraca do rzeczywistości. Spojrzał w lusterko wsteczne. Stał za nim mercedes na niemieckich rejestracjach. Na siedzeniu pasażera blondynka zaczęła poprawiać makijaż.

– Zielone płuca szkodzą... – wycedził, spoglądając przez przednią szybę.

– Chcesz pogadać? No to zjedź na bok, gościu, to porozmawiamy. Albo zadzwonimy po policję. – Rumiana twarz rozgrzała się do czerwoności.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale dwie dłonie zamknęły się w stalowym uścisku na jego głowie. Szarpnął głową, próbując uwolnić ją z potrzasku i wysunąć na zewnątrz, ale poczuł przeszywający ból w karku. Dwa kciuki Heinza wbiły się w dwa miękkie punkty poniżej małżowin usznych. Rumiany wokalista jęknął i targnął głową. Nic to nie dało. Heinz nacisnął kciukami jeszcze mocniej.

– To ja jestem policją. A teraz spadaj, szmaciarzu, bo będą kłopoty. – Heinz zwolnił uścisk. Szybko spojrział w lusterko wsteczne. Za mercedesem zatrzymywały się samochody, z których zaczęli wysiadać zaintrygowani ludzie.

– To się nazywa czynna napaść na policjanta, rozumiesz? – wychrypiął Heinz. – Wypierdalaj razem z tą swoją laską, którą wiesz. Tyle o tym.

Rumiany odskoczył, jakby użądliło go kilka szerszeni. Podbiegł do mercedesa. Dziewczyna, która siedziała na miejscu dla pasażera, przestała piłować paznokcie.

– Co tak długo, kochanie? – zapytała. – Jakoś dziwnie wyglądasz
– spojrzała na mężczyznę. – Masz coś czerwonego pod uszami.

Samochodu Heinza już nie było.

Spotkałem psychologa, pomyślałem kierowca mercedesa. I przyrzekłem
sobie, że po raz pierwszy i ostatni przyjechał do Parku Rozrywki.

4

Nerwy. Nie panuję nad sobą. Kiedyś to się źle skończy. Tak dzieje się zawsze, gdy powraca Inkwizytor. Dlaczego zabójstwo dwóch kleryków skojarzyło się komuś z tamtą sprawą sprzed lat? Sprawą, która zrujnowała mu karierę i zdrowie.

Nie wytrzymał i sięgnął po komórkę. Wyszukał numer, który kiedyś znał na pamięć. Usłyszał komunikat nagrany na sekretarce i sygnał rozpoczynający nagrywanie. Zawahał się. Dopiero po kilku sekundach zostawił wiadomość.

– Mówi Heinz. Dawnośmy się nie słyszeli. Mam prośbę. Mógłbyś sprawdzić, jak czuje się nasz podopieczny? Tak z ciekawości pytam. Daj znać.

Samochód zatrzymał się pod „kukurydzą”, jedną z trzech dużych postawionych na tauzenie. Dla mieszkańców dwudziestoczeropiętrowych wieżowców dwie pozostałe, osiemnastopiętrowe „kukurydze” to już inna jakość. To tak jakby porównywać Stadion Śląski z ładnym, ale prowincjonalnym boiskiem. Heinz nigdy nie był pewien, czy powinien podzielać dumę mieszkańców dużych „kukurydz”. Mieszkał na drugim piętrze, co w przypadku wieżowca wydawało się równie stosowne, jak słuchanie bluesów Steve'a Raya Vaughana podczas lotu

helikopterem. Albo piosenek Anny Jantar podczas kołowania nad Lasem Kabackim.

Heinz naprawdę był dumny ze swojego mieszkania tylko raz. Wtedy, gdy wprowadzali się tu z rocznym synkiem. Wieżowiec wyrósł wśród pól, gdy zdychała Polska Ludowa i gdy wszyscy, zgodnie z hasłem towarzyszącym wyborom do nowego parlamentu, mieli wreszcie być we własnym domu. Po latach odrapana, brudna „kukurydza”, na której odnowienie spółdzielnia nigdy nie miała pieniędzy, wydawała się Heinzowi symbolem niespełnionych rojeń o „polskim Manhattanie na Śląsku”. Symbolem nieudolnego kapitalizmu, rozpędzonego i niebezpiecznego jak kiepski kierowca na autostradzie. Ostatnio zaczął odczuwać nienawiść do swojego mieszkania, w którym krótko byli we troje, potem lata całe we dwóch. Teraz najczęściej przesiadywał w trzech pokojach sam.

Na parter zjechała winda i komisarz ujrzał w szybce znajomą twarz. Chciał się cofnąć, ale było za późno. Po chwili kościste palce staruszki mieszkającej na tym samym, drugim piętrze zacisnęły się na marynarce Heinza. Drugą ręką kobieta trzymała psa na smyczy. Patrzył na wygnieciony rękaw i zastanawiał się, co by było, gdyby starucha dostała szczękocisku.

– Słyszał pan, inspektorze? Straszne rzeczy się dzieją.

Staruszka od niepamiętnych czasów nazywała Heinza inspektorem. Wprowadziła się do „kukurydzy” w tym samym czasie co oni i szybko zyskała przydomek Gumowe Ucho. Kobieta wiedziała wszystko o wszystkich i, co gorsza, dzieliła się tą wiedzą równie chętnie jak opowieściami, jak to za czasów generała Ziętka sadziła drzewka w Parku Rozrywki.

– Jak pani wie, nie bardzo interesuję się...

– Policja musi coś z tym zrobić – przerwała Gumowe Ucho.

Heinz zmartwił. Dla staruszki policja to był on. Przypomniawsobie, jak nachodziła go przez dwa tygodnie, gdy wandaleniszczyli nowe ławki przy Alei Krzywoustego.

– Naprawdę teraz nie...

Usłyszał ciche warknięcie. Popatrzył na psa i pomyślał, że chętnie wgniótłby go w posadzkę.

– Zna pan pana Karolaka? Oczywiście – odpowiedziała sobie sama – że pan zna, bo mieszka pod panem. Ma takiego samego psa jak mój Kubuś. I ostatnio jego pies został zaatakowany przy naszym śmietniku przez szczury. A potem pan Karolak widział, jak szczury rozszarpały gołębia. Na jego oczach rozszarpały...

– Widzi pani, teraz wyjeżdżam, ale jak wrócę, zadzwonię gdzie trzeba.

– Niech pan dzwoni jeszcze dziś! Takie sprawy nie mogą czekać.

Komisarz zmrużył oczy i wyobraził sobie szczątki Kubusia rozwłócone przez szczury. Wtedy usłyszał dzwonek telefonu.

– O, widzi pani – wyzwolił rękę z uścisku – dobrze się składa, zaraz przy okazji o tym powiem.

Zniknął w windzie. W zasadzie ze względu na nadwagę powinien te dwa piętra pokonywać schodami.

Sygnal połączenia nie ustawał. Heinz sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Usłyszał znajomy głos.

– Nasz podopieczny siedzi w psychuszce na strzeżonym oddziale. Czyli bez zmian.

W głosie doktora Kornaka wyczuł lekkie wahanie.

– Dzięki. Chcesz coś jeszcze powiedzieć?

– To chyba bez znaczenia... Ale... Może to dziwne, ale ty nagrywasz się i pytasz o niego, a on ostatnio pytał o ciebie...

Rozmawiali jeszcze chwilę. W końcu Heinz się rozłączył. Zadzwoił do mieszkania. Za drzwiami było cicho. Klucz zgrzytnął w drzwiach, a on poczuł, że ma dłonie lepkie od potu.

Zapomniał o rozmowie telefonicznej. Więc tak wygląda życie w krainie wiecznego chłodu.

Otworzył pokój syna i zobaczył stłamszoną pościel. Od wczoraj nikt tu nie wchodził. Sięgnął po komórkę, ale się rozmyślił. Ostatnio nie układało się między nimi. Heinz czuł, że tracą kontakt, jeśli w ogóle o takim można było kiedyś mówić. Może przed sześciu laty, kiedy leżał w szpitalu po sprawie z Inkwizytorem. Gdy widział przestraszone oczy syna podczas odwiedzin i słyszał szept ciotki, która przyjechała z Warszawy, by opiekować się chłopcem.

Czuł się zmęczony. Wypił dwa piwa w wannie, spakował rzeczy i sięgnął po gitarę. Epiphone Les Paul wykonany z jesionu dawał ciepłe, niskie brzmienie. Zagrał kilka taktów i podgłośnił wzmacniacz. Gdy przestał grać, usłyszał, że pan Karolak, ten, któremu szczury pogryzły psa, wściekle wali czymś w sufit. Heinz postanowił zrobić to, co zwykle. Podszedł do szafy, by wyjąć kij bejsbolowy, który przywiózł ze Stanów, i przywalić nim w kaloryfer. Zapewne Karolak skuli się podobnie jak jego pies i nie będzie się więcej awanturował. Otworzył skrzypiące drzwi, wsunął rękę, ale nie natrafił na chłodny uchwyt. Otworzył szafę szerzej i zaczął macać w stercie pogniecionych ubrań, rzucanych jak popadło. Kija nie było. Pomyślał o synu i chwycił za telefon. Nie, to niemożliwe. Pewnie po ostatniej awanturze z Karolakiem wypił za dużo i rzucił kij byle gdzie.

Bylejakość. Byle jakie życie stało się normą.

Dochodziła dziesiąta, a syna wciąż nie było. Wybrał numer telefonu. Po dziesięciu sygnałach rozłączył się. Wybrał ponownie. Z tym samym skutkiem. Przypuszczał, że tak będzie, i dlatego odwlekał ten moment. Pozostało zrobić to, co zwykle robił w takich sytuacjach. Wziął żółtą kartkę samoprzylepną i napisał, że wyjeżdża na kilka dni. Doszło do tego, że porozumiewali się za pomocą kartek przyklejanych na lodówce. Z drugiej strony to pewien postęp, jeśli wziąć pod uwagę moje relacje z ojcem – pomyślał z goryczą Heinz. Może tak objawia się ewolucja.

Od czasu sprawy z Inkwizytorem zasypiał przy muzyce. Teraz słuchał, jak John Lee Hooker śpiewa o Tupelo – miasteczku w stanie Missisipi zalanym przez powódź, miasteczku, dla którego nie było ratunku – i przewracał się z boku na bok.

Takty bluesów mieszały się z głosem naczelnika wydziału kryminalnego. Dwaj martwi klerycy, torby foliowe, różowe trójkąty namalowane szminką. I pewnie coś jeszcze. Bonus. Jak na kompaktach i płytach DVD. W końcu musi być jakiś powód tej dziwnej nerwowości, która zapanowała w CBS. Poprosili o pomoc, chociaż nie minął tydzień od momentu, gdy znaleziono ciała. Dwunastego kwietnia nad ranem, dziś jest piętnasty. Raptem cztery dni. Najważniejsze w śledztwie jest pierwsze czterdzieści osiem godzin. Wtedy trzeba zamknąć sprawę, przynajmniej wytypować sprawcę. Każda następna godzina jest porażką. Po tygodniu zaczyna się dreptanie w miejscu. Najwyraźniej ktoś uznał, że w tej sprawie dreptanie zaczęło się wcześniej.

Heinz przewracał się z boku na bok i nie mógł zasnąć. Podeszedł do biurka, wyjął z szuflady tekturową teczkę i schował ją do torby.

Kobieta podziurawiona w Lasku Aniołowskim. Przejrzę raz jeszcze papiery w drodze do Warszawy.

Płyta włączona na autoodtwarzanie zaczęła powtarzać utwory. John Lee Hooker znów śpiewał o Tupelo, a Heinz kolejny raz powtarzał w myślach, co usłyszał od Kornaka.

– To chyba bez znaczenia... Ale podopieczny pytał o ciebie...

– Pytał?

– Lekarz, z którym rozmawiałem, powiedział mi, że podopieczny wczoraj go zapytał, czy przypadkiem nie wie, co porabia Rudolf Heinz. Gdy zaprzeczył, podopieczny powiedział coś takiego: „Jeśli się spotkacie, zapytaj go, czy pamięta wiersz”.

– Wiersz? Jaki wiersz?

Kornak za długo zwlekał z odpowiedzią. Heinz wiedział, że usłyszy coś jeszcze.

– Chyba nie powinienem ci tego mówić, ale trudno. Potem powiedział: „Chodzę i się pytam, gdzie jest moja szubienica”...

– To wszystko?

– Nie. Dodał jeszcze: „A gdzie jest twoja szubienica, Heinz?”.

5

InterCity odjeżdżał do Warszawy o szóstej czterdzieści. Heinz minął trzy puste przedziały i wszedł do swojego. Oczywiście – pomyślał – tak jest zawsze. Jak to się dzieje, że zawsze trafiam tam, gdzie ktoś już siedzi. Miał miejsce pod oknem. Naprzeciw usiadła trzydziestolatka z toną pudru na policzkach. Z blond odrostami przebijającymi przez czarną farbę wyglądała jak samica tygrysa. Naprzeciwko niej, po skosie, przy drzwiach, usiadł chłopak w kowbojkach i obcisłej białej koszulce polo.

Heinz wiedział, co teraz nastąpi. Nie pomylił się. Tygrysica wyjęła kosmetyczkę, sprawdziła w lusterku, czy perfekcyjny makijaż nie doznał uszczerbku, wyjęła dwa telefony komórkowe oraz dwutygodnik poświęcony galaktycznym gwiazdom seriali i estrady i zastępom ich czeladników mozolnie przeciskających się z dalszego planu na pierwsze strony. Chłopak przeciągnął się. Położył koło Heinza komórkę i ostatni numer „Runner's World”, pisma dla biegaczy. „Popraw swoją kondycję. Więcej biegu – lepszy seks” – bił po oczach nagłówek na okładce. A potem Tygrysica i Biegacz rozłożyli na kolanach laptopy.

Ledwo pociąg ruszył, Heinz wstał i poszedł do warsu. W wagonie restauracyjnym zamówił od razu dwie kawy ze śmietanką. W InterCity zawsze czuł się jak intruz. Wśród mundurów nowego

ustroju, garniturów i zakietów, menedżerów i dyrektorów rozmaitego szczebla czuł się jak kloszard. Gdy szedł korytarzem, widział przestrach w oczach podróżnych. Najwyraźniej spodziewali się, że ten mężczyzna z niechlujnym zarostem, w wygniecionej sztruksowej marynarce z łatami na łokciach, pamiętającej zapewne lata siedemdziesiąte, podejdzie i poprosi o datek. Gorzej od niego ubrani byli tylko turyści z zagranicy, a ich powyciągane t-shirty stanowiły jawne wyzwanie rzucone biznesowej elegancji.

Tym razem jednak nie był ubrany najgorzej. Przy stoliku najdalej odsuniętym od baru siedział chłopak w bluzie z kapturem. Przez pół godziny nic nie zamówił. Teraz przypatrywał się lampkom zwieńczonym kloszami z matowego szkła.

– Proszę pana, to nie poczekalnia. – Heinz usłyszał głos zirytowanego kelnera. – To restauracja. Proszę coś zamówić albo stąd wyjść.

– Mogę się zastanowić, nie? – Chłopak nie dawał za wygraną.

– Byle szybciej.

Heinz westchnął, dopił drugą kawę i wrócił do przedziału.

Gdy otwierał drzwi, zauważył, że Tygrysyca i Biegacz rozmawiają z ożywieniem.

– Och – szczebiotała kobieta – produkujemy nie tylko urządzenia słaboprądowe. Pilnujemy także naszych resellerów. Niekiedy trzeba ich postawić do pionu...

Chłopak kiwnął głową z uznaniem. Wachlował się „Runner's Worldem”.

– Podobnie u nas – powiedział – chociaż nadzór nad centralnymi systemami zarządzania w inteligentnych budynkach jest procesem bardziej złożonym. – Wpadł w rytm wykładu. – Nasze produkty

muszą być odpowiednio zestandaryzowalne i skalowalne. Z dbałością o customizację i integratorów.

Teraz ona kiwała głową z uznaniem.

– My w firmie wciąż mamy kłopoty na poziomie supportingu.

Heinz patrzył przez okno na kwitnące drzewa. W szybie odbijała się twarz rozentuzjasmowanej menedżerki. To już nie była rozmowa ludzi z branży. To była pieśń nad pieśniami. Przerywali rozmowę tylko wtedy, gdy musieli odebrać telefon. Nie było szans, że zamilkną. Równie dobrze mógłby walić kijem bejsbolowym w lalkę Barbie i oczekiwać, że ta stanie się alterglobalistką.

„Podłącz się, dostrój, odpadnij” – mawiał guru hipisów Timothy Leary. Heinz postanowił się wyłączyć. Wyjął zabrudzoną poźółkłą teczkę zawiązaną czarnym brudnym sznurkiem. Mięsień na twarzy Tygrysicy drgnął i na nienagannej fasadzie z pudru pojawiło się pęknięcie.

Znał dobrze Lasek Aniołowski. Kilka lat temu skinheadzi napadli tam na bezdomnych. Zakatowali starszego mężczyznę, ciężko ranili dwie kobiety. Teraz Lasek znów będzie omijany szerokim łukiem. Wprawdzie miejsce zabójstwa podlegało komendzie miejskiej w Częstochowie i to tam prowadzono sprawę, jednak – jak często bywało – Heinz został poproszony o konsultację.

Ofiarą była czterdziestopięcioletnia kobieta, od czterech lat wdowa, mieszkanka Interioru, jak często nazywano miasto, nad którym górował klasztor na Jasnej Górze. Samotna i spokojna. Jak takiej spokojnej kobiecie można zadać czterdzieści ciosów nożem? Heinz przekładał zdjęcia niczym karty do gry. Zryty teren. Tylko czy na pewno w trakcie walki? Istniało przecież ogromne ryzyko, że na miejscu pozostaną ślady umożliwiające identyfikację ofiary.

Tymczasem pod paznokciami zabitej nie było – jak to określił technik policyjny – „interesującego materiału”. Analiza mikrośladów na ubraniu też nic nie dała. Morderca – niemal na pewno mężczyzna – działał starannie. Metodycznie. Heinz znów spojrzał na zdjęcie. Przeczesał włosy na skroni. Nie, to się nie zgadza. Teren zniekształcono już po zabójstwie. Może po to, by stworzyć pozory, że zbrodnię popełniono po gwałtownej kłótni.

Heinz wyjął kolejną fotografię. Przedstawiała kobietę dłoń pokrytą zlepionymi grudkami ziemi i zaschniętymi plamkami krwi. Między kciukiem i palcem wskazującym trzymała ptasie pióro. Pióro gołębia. To z pewnością nie mógł być przypadek. Heinz przypomniał sobie wczorajszą rozmowę z Krygierem. Zapytał wówczas o Johna Jouberta.

Znów powróciła przeszłość. Pierwszy staż w Quantico, w Jednostce Nauk Behawioralnych FBI. Wtedy, wśród wielu przypadków analizowanych podczas ćwiczeń, zetknął się z historią mężczyzny, który zginął od ciosów ołówkiem. Narzędzie zbrodni wskazywało na byłego więźnia, wymierzanie sprawiedliwości za pomocą ołówka należy bowiem do więziennej klasyki. Ówczesny guru amerykańskich profilerów uznał, że jest inaczej: ołówek wskazuje na żółtodzioba, na kogoś, kto zabija pierwszy raz tym, co akurat ma pod ręką. Tak czy siak, ołówek okazał się kluczem do całej sprawy.

W jego sprawie pióro jest tak samo ważne, jak w tamtej ważny był ołówek. Metodyczność zbrodni w Lasku Aniołowskim wykluczała możliwość przypadku. Pióro włożone w dłoń kobiety było wizytówką mordercy. Jego podpisem, wciąż dla Heinza nieczytelnym. Rozkopana ziemia to element inscenizacji.

Najbardziej przerażała go liczba ciosów. Czterdzieści uderzeń, z których pewnie połowa to pchnięcia śmiertelne. Dlaczego więc dźgał kobietę bez opamiętania? Bo jej śmierć mu nie wystarczała. Śmierć nie zaspokoila jego potrzeb. Chciał czegoś więcej. Kogoś więcej.

Teraz skurwiel siedzi w pracy. Albo je obfite śniadanie w domu i ogląda telewizję. Przechodzi fazę wyciszenia. Fazę maskowania się, jak mawiają koledzy z Ameryki. Jednak faza normalności kiedyś się skończy. Znow uderzy. Może się to zdarzyć za tydzień albo za pół roku. Ale się zdarzy. Zamknął oczy. Położył teczkę na kolanach. Był zmęczony po źle przespanej nocy. Chyba przez kilka minut spał.

– I tak myślę sobie, że mogłabym być PR Count Manager – wyrzuciła z siebie Tygryśca z szybkością kałasznikowa.

– Ale to ślepa uliczka. Bo PR Count Manager to funkcja, nad którą nie ma innego stanowiska. Więc nie mogłabym awansować. Chyba że na prezesa...

Zobaczyła, że mężczyzna siedzący naprzeciwko patrzy na nią.

– O, już nie śpimy – niemal zaśpiewała, najwyraźniej znudzona rozmową z Biegaczem. – A pan, jeśli wolno zapytać, czym się zajmuje?

– Kiedyś powiedzieliby, że jestem alienistą – przypomniał sobie tytuł jednego z kryminałów, który czytał dawno temu.

– Słucham? – nie zrozumiała.

– Nieważne. Jestem konsultantem.

Chłopak, który wciąż wachlował się egzemplarzem czasopisma dla biegaczy, skinął głową z uznaniem.

– Konsultantem? – zapytał.

– Z angielska mówiąc, jestem profilerem. Oceniam, czy ktoś się do czegoś nadaje, czy nie. Czy mógłby zrobić coś, czego nie mogą inni.

Poczuł, że dwie kawy wypite w warsie bezlitośnie atakują pęcherz.

– Przepraszam państwa. – Wstał. Z teczki wysunęło się kilka zdjęć.

Chłopak podniósł je z rudawego dywanika i zbladł. Zdjęcia przedstawiały trupa kobiety. Krwi było tak dużo, że zdawało się, iż zaraz zacznie skapywać z fotografii.

– Przepraszam – mruknął Heinz. – Te zdjęcia nie są, by tak rzec, zestandaryzowalne. Tej kobiecie – pstryknął palcami w zdjęcie – supporting nie jest już potrzebny.

Spojrzał na Tygrysicę, która nagle zamilkła. Na półce przy oknie leżał kolorowy magazyn. Na okładce Heinz zobaczył znaną piosenkarkę i bijący po oczach tytuł: „Dlaczego odwołała ślub?!”.
– Jak pani myśli – zwrócił się do milczącej Tygrynicy – dlaczego odwołała ślub? – Pokazał na okładkę.

– Pewnie się rozmyśliła... – Ledwie dosłyszał odpowiedź.

– E tam, rozmyśliła... Umówili się z narzeczoną, że przesuną termin o miesiąc, by gazety znów mogły o nich napisać. Tyle o tym.

Schował pobrudzoną poźółkłą teczkę i wyszedł na korytarz.

Doszedł do toalety, ale ktoś zdążył go uprzedzić. Do odrapanych drzwi wc przymocowane były dwie plastikowe przegródki. Obie wypchane tą samą broszurą. Heinz otworzył na chybił trafił i przeczytał: „Z budowaniem zespołów ściśle związany jest temat coachingu. Raz zbudowanego zespołu nie można pozostawić bez pomocy”. Coaching. Jak customizacja i supporting. Na dole jeszcze wyczytał, że tematem broszury są „letnie rozważania na temat zarządzania”.

To zupełnie jak jakieś cholerne rekolekcje dla menedżerów.

Toaleta zwolniła się i Heinz niepewnie wszedł do środka. W pociągowym kiblu, nawet w InterCity, czekają niespodzianki, i tu żaden coaching nie pomoże. Ostatnio, gdy jechał na wykład do Poznania, na zgniłozielonej pokrywie muszli klozetowej zobaczył smugę białego proszku, który każdemu średnio rozgarniętemu policjantowi skojarzyć się może tylko z jednym. Heinz wysikał się i spuścił wodę. Rekolekcje dla menedżerów, stawiając opór wodzie, znikły w kloacznej rurze.

Pociąg zbliżał się do Warszawy Centralnej. Heinz bez słowa pożegnania wyszedł z przedziału. Na peronie przy ruchomych schodach stały dwie staruszki z gazetkami w ręku. Okładkę wypełniały różne odcienie błyskawic i groźna brodata twarz wyglądająca zza chmur. „Kiedy Armagedon?” – głosił napis wybity czerwoną czcionką.

– Może pan kupi? – zapytał jedna z kobiet. – Bardzo ciekawa gazeta.

6

Służbowy samochód wiozł go w stronę Pałacu Mostowskich. Heinz z trudem rozpoznawał miasto, w którym studiował, gdy podjął drugą próbę uwolnienia się od Śląska i wspomnień z dzieciństwa, krepujących swobodę niczym kaftan bezpieczeństwa. Pierwsze podejście – gdy dał się zamknąć w szkole z internatem – zakończyło się klęską, wstydem i hańbą, jaką niesubordynowany uczeń okrył rodzinę.

Wydawało się, że drugie podejście zakończy się inaczej – Heinz skończył w Warszawie socjologię, pracował w spółdzielniach studenckich, dorabiał jako stróż nocny, wyspecjalizował się w myciu okien na dużych wysokościach. I wtedy przypadek zwany miłością zrzucił, że powrócił do Katowic.

Samochód zatrzymał się na światłach na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Królewskiej. Podeszła Rumunka z dzieckiem na ręku. Wyciągnęła dłoń w stronę kierowcy, a gdy ten nie reagował, spojrzała na Heinza siedzącego z tyłu. Znow wyciągnęła dłoń, potem wskazała palcem na usta i śpiące dziecko. Wreszcie zamaszystym ruchem zaczęła kreślić znak krzyża. Trzy-, czteroletnie dziecko drgnęło, wybudzone ze snu. Zza szczelnie zamkniętych szyb do Heinza dobiegł płacz. Rumunka znowu się przeżegnała, dziecko zaczęło grozić kierowcom zaciśniętą piąstką, a jego opiekunka

wyciągnęła środkowy palec, tak by gest został zauważony. Ruszyli ostro w stronę Placu Bankowego.

Pewne rzeczy się nie zmieniają – pomyślał Heinz, gdy służbowy samochód minął bramkę wjazdową przy Pałacu Mostowskich.

Za każdym razem, gdy tu przyjeżdżał, w Fabryce, jak nazywano komendę stołeczną policji, trwał remont. I tym razem odgłos wiertarek skutecznie zagłuszał rozmowy na korytarzach.

Zebranie grupy specjalnej odbywało się w niedużym pokoju konferencyjnym, w którym, chociaż dzień był słoneczny, panował przygnębiający półmrok. Za oknami widać było zardzewiałe rusztowanie. Resztkę światła przesłoniły nogi, które nagle wypełniły okienne obramowanie. Rozległ się jazgot wiertła i wszystko przesłoniła mgła tynku.

– Oszaleć można – powiedział ponuro czterdziestolatek o pociągłej twarzy. Wydawało się, że mówi, nie otwierając ust układających się w cienką kreskę. Druga, równoległa linia biegła przez czoło, jakby ktoś naciął je skalpelem.

Podinspektor Osuch w istocie miał powody, by być w podłym nastroju. Sprawa podwójnego morderstwa ugrzęzła w miejscu. Zabójstwo kleryków nie zdarza się codziennie, nic więc dziwnego, że sprawa wzbudziła zainteresowanie w samym ministerstwie. Jeszcze bardziej zaniepokoiła go wczorajsza rozmowa telefoniczna, która zupełnie popsuła mu dobry weekendowy humor. Przesłanie było jasne: grupę specjalną miał wspomóc ktoś z zewnątrz. Profiler z Katowic. Rudolf Heinz. Nadkomisarz słyszał o nim wcześniej, a to, co wiedział na jego temat, nie wróżyło nic dobrego. Jak wynikało z opowieści, gwiazda profilowania nieznanymi sprawców lubi pracować samotnie, tymczasem Osuch lubił mieć u siebie porządek

i dyscyplinę. Samotni myśliwi stają się wzorem dla innych, którzy chcą ich naśladować. A wtedy, podpowiadało Osuchowi doświadczenie, wszystko zaczyna się sypać.

Jednak to nie swoboda działania profilerów była największym zmartwieniem nadkomisarza. Osuch po prostu nie lubił na swoim terenie obcych. „Policjant naprawdę jest psem – zwykły powtarzać podwładnym. – A wiecie dlaczego? Bo zna swoje terytorium i potrafi zagryźć, gdy ktoś na nie wkracza.” Przez telefon bezskutecznie próbował przekonywać, że jego ludzie dadzą sobie radę sami. – Heinz jest potrzebny jak wrzód na dupie – myślał.

Heinz czuł, że jest tu intruzem, że każda z sześciu osób obecnych w pokoju rejestruje jego nawet najdrobniejszy ruch.

– Komisarz Heinz ma nam pomóc – Osuch przełknął ślinę – w rozwiązaniu sprawy. Ma niejaki – to słowo wypowiedział z naciskiem – doświadczenie w takich sprawach. Jak wam mówiłem, jest profilerem...

– Czyli wróży z fusów – mruknął policjant o rudych włosach siedzący naprzeciw Heinza. Sąsiad rudego uśmiechnął się, odsłaniając poźółkłe od nikotyny zęby, i też coś szepnął, ale jego słowa zagłuszył jazgot wiertarki.

– Najlepiej będzie – ciągnął Osuch – jak jeszcze raz zbierzemy wszystko do kupy i przyjrzymy się temu pasztetowi. Rudi – skinął na rudego – zreferuj, co wiemy.

Heinz drgnął, słysząc dźwięk swojego imienia. Rudy Rudy. Wymyślna ksywa, jakże oryginalnie. Rzucił okiem na leżące na stole papierosy. Wyglądało na to, że nikt z obecnych nie pali ukraińskich bez akcyzy. Na szczęście. Wyjął paczkę chesterfieldów.

– Pasztet – zaczął Rudi – składa się z dwóch mężczyzn, najpewniej uduszonych. Najpewniej, bo okoliczności, w jakich znaleźliśmy ciała, mogą wskazywać, że ktoś próbuje nam podsunąć fałszywy trop. Ciała zostały zauważone około czwartej rano dwunastego kwietnia w krzakach przy Centrum Olimpijskim, Wybrzeże Gdyńskie 4, przez zbieracza butelek...

– Gość o mało nie wyrzygał własnego serca i wątroby – powiedział ten z pożółkłymi zębami. – Jeszcze wiele godzin później trząśł się jak osika.

– I nic dziwnego – ciągnął Rudi. – Ofiary miały na głowach torby foliowe. Jest prawdopodobne, że właśnie tymi zaciśniętymi na głowach torbami zostały uduszone, chyba że to jakieś przedstawienie zagrane dla nas. Tak czy inaczej możemy mieć niemal pewność, że mężczyźni nie żyli, kiedy zostali przywiezieni w okolice Pałacu...

– Pałacu?

– Tak nazywają Centrum Olimpijskie – wyjaśniła kobieta. – Pewnie nigdy nie był pan w środku. Jest tam – zawiesiła głos, szukając właściwego słowa – całkiem bogato.

Heinz przyjrzał się jej. Miała krótkie czarne włosy, czarny sweter i paznokcie pomalowane na fioletowo. Zupełnie jakby się wybierała na festiwal rocka gotyckiego na zamek w Bolkowie.

– Zatem ktoś ich zabił, a następnie przywiózł – ciągnął Rudi. – Nikt oczywiście niczego nie widział, niczego nie słyszał, nie mamy też żadnych ciekawych śladów, przynajmniej na razie. A co do toreb... – wyjął papierosa. – Standardowe foliowe białe reklamówki, bez żadnych nadruków. Takie, jakie są w tysiącach sklepów.

Czyli żaden trop.

Wyjął z aktówki zdjęcia i podał Heinzowi.

– Tu pasztet przemienia się w teatrzyk.

Dwaj policjanci, siedzący dotychczas w milczeniu, zachichotali cicho jak na komendę.

– Sprawca namalował na wysokości ust trójkąty. Różowe trójkąty – dodał Rudi. – Zrobił je szminką. Zanim powiem o tym więcej, kilka słów o ofiarach. Karol Rakowiecki i Grzegorz Leski, pierwszy z Warszawy, drugi spod Warszawy. Obaj byli seminarzystami w diecezjalnym seminarium duchownym na Żoliborzu.

– W jaki sposób ustaliliście ich tożsamość? – spytał Heinz.

– Żaden nie miał przy sobie dokumentów. Na rękawie kurtki jeden z nich miał niewielką kieszonkę, tam znaleźliśmy zwiniętą kartkę z numerem telefonu komórkowego. Zadzwoniliśmy i proszę, dodzwoniliśmy się do księdza Jana Rutgera, profesora biblisty. I tak po nitce do... Koniec końców profesor Rutger zidentyfikował ciała. A potem osunął się na podłogę. Możecie mi wierzyć, wyglądało to bardzo efektownie. Zresztą teraz myślę, że to swoją drogą jakiś dziwny ksiądz. – Rudi podrapał się w głowę.

– Dlaczego? – zapytał Osuch.

– Przyszedł, by tak rzec, ubrany po cywilnemu. Jak nie ksiądz. Zresztą ci dwaj też nie wyglądali na kleryków. Może taka teraz u nich moda, diabli wiedzą. Tak czy inaczej wiemy, kim oni są...

– Szukajcie, a znajdziecie – dodał policjant o pożółkłych zębach.

– Ruszyliśmy trzema torami. – Rudi zapalił kolejnego papierosa. – Oni – skinięciem głowy wskazał na dwóch policjantów – przepytują rodziny, kleryków i profesorów z seminarium...

– Na razie bez efektów – wtrącił policjant wskazany przez Rudiego. – Chłopcy jak baranki, żadnych wrogów, żadnych z nimi

kłopotów. W seminarium nikt nic o niczym nie wie. Tak się tam wystraszyli, że nawet oddychać się boją, a co dopiero mówić. Ale pytamy.

– Po drugie – kontynuował Rudi – rozpuściliśmy do gazet wiadomość, że zabójstwo jest wynikiem porachunków gangsterskich. Wprawdzie to klerycy, nie mafia, ale nigdy nic nie wiadomo. Gdyby strzał był celny, coś byśmy już słyszeli od naszych ludzi z miasta, byłoby jakieś poruszenie. A tu nic.

Zapadła cisza. Z oddali słychać było głucho uderzenia młotka.

– Jest jeszcze jedna droga. Ta, która wiąże się z torbami foliowymi i różowymi trójkątami. W ten sposób, właśnie różowymi trójkątami, faszyści znaczyli homoseksualistów. Tereny przy Centrum Olimpijskim to znane w Warszawie miejsce schadzek tych – uśmiechnął się – co to lubią inaczej. A nasi chłopcy lubili ten sport...

– Saneczkarstwo dwójkowe mężczyzn na torach naturalnych – znów ukazały się żółte zęby.

– Właśnie – Rudi przejął inicjatywę. – W przypadku jednego z nich można mówić o regularnej penetracji... Jezu, jak to brzmi – pokręcił głową. – Co do drugiego, pewności nie ma. Tak czy inaczej brakuje śladów stosunku odbytego na krótko przed śmiercią. Ten wątek – Rudi najwyraźniej zmierzał do końca – wydaje się na razie najbardziej obiecujący, sprawdzamy środowiska ostrych nacjonalistów i skinheadów, którzy mogliby mieć jakiś związek ze sprawą. Nasza koleżanka – popatrzył na policjantkę – przepytuje w klubach gejowskich. To z grubsza tyle. Prawie wszystko.

– Podobno świetnie się dogaduję z bywalcami, szefie. – Miłośniczka gotyku spojrzała na Osucha.

– I co o tym sądzi nasz mistrz? – zapytał Osuch.

Heinz milczał. Nad głowami zebranych unosił się papierosowy dym.

– Wciąż nie wiem – powiedział Heinz – dlaczego tu jestem. Podwójne morderstwo, torby foliowe na głowie, różowe trójkąty namalowane szminką... To jeszcze nie tłumaczy mojej obecności.

– Powiedzieć mu? – Policjant o pożółkłych zębach spojrzał na Osucha.

Heinz wstał gwałtownie. Jeden z plastikowych kubków przewrócił się, a kawa ściekła na spodnie siedzącego obok policjanta, który poderwał się z miejsca.

– Dosyć, kurwa! – wychrypiał Heinz. – Nikt w tej robocie nie lubi, jak obcy wkracza na jego teren. – Ale od teraz – popatrzył na wszystkich – koniec zabawy. Mam koordynować tę sprawę. Jeden mój telefon do CBS i będzie wam się palić koło dupy. A więc czego jeszcze nie wiem? Co zostawiliście na deser, żeby mnie sprawdzić?

– Spokojnie, Heinz! – Osuch nawet nie drgnął. – Nikt nie chce cię sprawdzać.

Akurat. Gówna prawda.

– Różowe trójkąty sprawca namalował na foliach w miejscu ust. Ale to nie wszystko. Z tyłu głowy tą samą szminką napisał cyfry.

– Jakie cyfry? – Heinz przymknął oczy.

– Jeden z kleryków miał dwadzieścia jeden, drugi – trzydzieści siedem. Rozumiesz, co to znaczy?

Heinz nie wiedział.

– To nie są numery totolotka. Ani rozmiary butów tych dwóch pedałów. Widać, że nie płakałeś z narodem, gdy...

Heinz wciąż nie kojarzył.

– Gdy umierał Ojciec Święty. To godzina śmierci papieża. Naszego
– dodał z naciskiem – papieża. Dwudziesta pierwsza trzydzieści
siedem. Każdy głupi wie. I każdy głupi zrozumie, że nie ma żartów.
Dlatego to morderstwo wywołało panikę w ministerstwie,
rozumiesz? Dlatego powołano specjalną ekipę. O wszystkich
szczegółach wie tylko kilka osób.

– Tak, teraz rozumiem – powiedział Heinz. Wreszcie stało się
jasne, dlaczego ktoś chciał, by to on zajął się tą sprawą.

7

Była ósma wieczorem, gdy Rudolf Heinz zszedł do baru w hotelu policyjnym przy ulicy Sierakowskiego. Człowiek, z którym był umówiony, spóźniał się. Komisarz zamówił piwo. W radiu nadawano więcej agresywnych reklam i konkursów niż piosenek, ale tego wieczoru Heinzowi było wszystko jedno. Dwa metry od niego, przy sąsiednim stoliku, rozmawiali dwaj mężczyźni, co jakiś czas sięgając po kieliszki ustawione równo niczym kompania reprezentacyjna przy Grobie Nieznanego Żołnierza.

Zamówił piwo. Wypijał teraz trzy, cztery piwa, już nie tak jak dawniej. Przypomniawszy sobie czasy alkoholowego Sturm und Drang, gdy często przyjeżdżał do Warszawy jako konsultant. Specjalnie wysiadał na Dworcu Wschodnim i szedł do Złotej Rybki – dworcowego baru opanowanego przez konduktorów i kanarów podliczających przy aromatycznej wątróbce ze złocistą cebulką apanaże zarobione na pasażerach na gapę. Heinz dostawał zawsze ogromną filiżankę z napisem „Cappucino”, w której pieniło się ciepłe piwo z warstwą gęstej piany. Wypijał dwie, trzy filiżanki, czuł, że dzień zaczął się dobrze, i dopiero wtedy jechał do Pałacu Mostowskich. Gdy czekał na pociąg powrotny do Katowic, rytuał się powtarzał. Bardzo często sama podróż była czarną dziurą. Nic nieznaczącym epizodem między przyjazdem a odjazdem.

Przypomniał sobie poranną podróż pociągiem i książkę, o której wtedy pomyślał. Alienista Caleba Carra. Ku zdziwieniu kolegów Heinz lubił czytać kryminały, zwłaszcza te, w których pojawiali się seryjni mordercy. Uważał, że analiza fikcyjnego modus operandi jest dobrym ćwiczeniem wyobraźni. Jednak powieść Carra zaciekała go z innego powodu. Alienistami nazywano dawniej policyjnych psychologów, którzy zajmowali się różnymi dewiantami i degeneratami. Tymi, którzy nie mieścili się w normach wyznaczanych przez społeczeństwo. Bardzo często alienista stawał się takim samym odszczepieńcem jak ten, którego ścigał. Heinz wielokrotnie myślał, że jest właśnie kimś takim. Alienistą.

Zmieniam się, gdy poczuje krew. Najpierw krew ofiary. A potem krew sprawcy. Gdy wystawiam skurwysyna do odstrzału.

Mężczyźni przy stoliku obok mówili coraz głośniej. W końcu tu, w barze hotelu policyjnego, byli sami swoi. Heinz spojrzał w ich stronę. Byli w podobnym wieku, mieli koło czterdziestki i nosili identyczne czarne t-shirty, jakby kupili je u „bambusów”, jak pogardliwie nazywano Azjatów handlujących nieopodal, na największym bazarze Europy. Mężczyzna siedzący bliżej Heinza miał gęste czarne włosy, drugi był blondynem o przeredzonych włosach sklejonych brylantyną. Skojarzył się Heinzowi z morskim ptakiem, który przeżył katastrofę ekologiczną, a teraz rozpaczliwie macha skrzydłami zlepionymi smarem i olejem.

– Kiedyś było zupełnie inaczej. – Brunet postawił na stoliku dwa wypełnione kieliszki. – Wiesz co, Limahl? Powiem ci coś. – Czknął. – Najlepiej pracowało mi się z chłopakami z Białorusi. Nawet jeszcze w latach dziewięćdziesiątych. Rozumieli, o co w naszej robocie

chodzi. Pamiętam, jak dostaliśmy cynk, że mają gościa, którego my podejrzewaliśmy o dwa wyroki wykonane na naszym terenie.

– Ale nic na niego nie mieliście – wtrącił blondyn.

Brunet kiwnął głową.

– Oni też nie mieli. No to zrobiliśmy tak: zapakowali gościa do prywatnego samochodu. Do popiełuszki. Do bagażnika, no wiesz...

Limahl czknął, dając do zrozumienia, że wie, jak w policyjnym slangu nazywany jest samochodowy bagażnik.

– Więc ja – mówił brunet – też prywatnym podjechałem na granicę. Wyciągają faceta i mówią: „Przechodź przez granicę”, a kutas nie chce. To pociągnęli mu pod nogi z kałacha. Gość skacze na naszą stronę, a tu my już jesteśmy przy nim i czule go witamy. On pyta, za co jest zatrzymany. A ja mu mówię: „A za nielegalne przekroczenie granicy”.

Obaj zaśmiali się i wypili.

– Teraz ja ci coś powiem, Cygan – odezwał się blondyn nazywany jak gwiazda muzyki pop z lat osiemdziesiątych. – Opowiadałem ci kiedyś o facecie, który miał ksywę Hokus-Pokus.

– Nie pamiętam. – Cygan pokręcił głową.

– Naprawdę nazywał się Józek Kaleta. Hokus-Pokus wzięło się stąd, że niepostrzeżenie rozpruwał człowieka na pół, a klient, zanim umarł, zdążył jeszcze wysłuchać od Józka, co to ma właśnie poprzecinane, jakie organy krwawią najbardziej, i tak dalej. Taki krótki kurs anatomii. Rozumiesz? Wykonywał od niechcenia ruch, a ty patrzyłeś, jak flaki wychodzą ci na wierzch.

– Fachowiec – z uznaniem stwierdził Cygan.

– Żebyś wiedział. Hokus-Pokus swoich zdolności nie nadużywał, likwidował konkurencję, poza tym chętnie dzielił się wiedzą, więc

był dla nas przydatny. Ale w końcu i na niego przyszedł czas.

Limahl w milczeniu napełnił kieliszki.

– Poćwiartowali Józka i spalili w piecyku koksowym. Głowa też się spaliła. Chłopaki z komendy nie wierzyli, bo głowa w piecyku koksowym podobno się nie spali. A tu taka niespodzianka... Nawet po śmierci zrobił hokus-pokus.

– No to wypijmy za Józka. – Cygan podniósł kieliszek.

– I za chłopaków z miasta – dodał Limahl. – Za kilka miesięcy idę na emeryturę. I wtedy zaproszę tylko miasto, bo jeszcze tylko oni na to zasługują. Tylko z nimi się jeszcze dogadasz.

– Wszystko się kiedyś kończy – powiedział Cygan i wytarł usta wierzchem dłoni. – No, to jeszcze po jednym.

Mają rację. Wszystko się kończy. Policja też się zmieniła. Gdy zaczynał pracę, uczył się od starych, doświadczonych milicjantów. Raptem w ciągu dwóch, trzech lat wszyscy ci ludzie zniknęli, jakby zmiotło ich tsunami. Byli wypłukiwani falami. Do policji wskoczyły młode wilki, wprowadzając nowe zwyczaje. Teraz Heinz sam był wśród oficerów niczym dinozaur z Jurassic Park. Był weteranem, który przekroczył policyjną smugę cienia.

Po raz kolejny przekonał się o tym dziś, kilka godzin temu, na przedpołudniowym zebraniu w komendzie stołecznej.

Zostali we trzech. Osuch skinął na policjanta o pożółkłych zębach, by nie wychodził.

– To jest komisarz Paweł Chłaściak – przedstawił go z nazwiska. – Jeden z moich najlepszych ludzi. I nie chcę – spojrzał zmrużonymi oczami na Heinza – by w tym zespole dochodziło do awantur. Rozumiemy się?

Heinz rozłożył ręce w pojednawczym geście.

– Też tego nie chcę. Dlatego proponuję, żebyśmy zrobili tak: zespół pracuje swoim rytmem, ja przyjrę się sprawie z boku, będę jak taki wolny elektron. Poprosiłbym tylko o wsparcie ze strony kogoś, kto pomoże mi się zorientować w sytuacji.

– Jeszcze coś? – warknął Osuch.

– Służbowy samochód. Skoro jestem koordynatorem...

– Zgoda. Bylebyś się nie wtrącał w pracę zespołu. Aha, Heinz – inspektor zawiesił głos – jeszcze jedno...

– Tak?

– Ta sprawa musi zostać zamknięta, rozumiesz? Nawet jeśli nie będzie sprawcy.

– Prawda to jedno, a statystyki to drugie – szybko dopowiedział Chłaściak.

– Jest dokładnie tak, jak on mówi. – Osuch wytarł spocone czoło.

– Musi być porządek w papierach. CBS też będzie nalegać. I żadnego niepotrzebnego rozgłosu. Jak chcesz być gwiazdą, to idź do telewizji. Do Kryminalnych albo do W-11.

– To wszystko? – zapytał Heinz.

– Chciałem cię o coś spytać... – Chłaściak uśmiechnął się. – Przez całe zebranie zastanawiałem się, czy ty w tej marynarce... Czy ty się nigdy nie pocisz?

Heinz nie odpowiedział od razu. Podszedł do Chłaściaka. Nie patrzył mu w oczy. Patrzył na jego pożółkłe zęby wyszczerzone w uśmiechu.

– Nigdy. A czy ty – dodał po chwili – nigdy nie myjesz zębów?

Spojrzał na zegarek. Ósma trzydzieści. Byli umówieni czterdzieści minut temu. Do baru przyszli kolejni goście. Postanowił zapłacić za piwa, odwrócił się w stronę kontuaru i wtedy poczuł, że ktoś kładzie mu rękę na ramieniu.

Stał przed nim mężczyzna wyższy o głowę, o pociągłej twarzy, z włosami postawionymi do góry. Nawet przy kiepskim oświetleniu widać było bliznę, która ciągnęła się od nasady nosa do prawego kącika ust.

– Komisarz Heinz? – usłyszał głos o niespodziewanie wysokim brzmieniu.

– Heinz. Jak marka ketchupu. Przez samo „h”.

– Nazywam się Piotr Karewicz. Wciąż podkomisarz. W firmie mówią do mnie Karloff. Chyba się domyślasz, dlaczego.

Faktycznie.

Karloff uśmiechnął się, a blizna na jego twarzy wydłużyła się dwukrotnie. Teraz skojarzenie z nazwiskiem sławnego aktora grającego w horrorach wydało się Heinzowi wręcz banalne.

Usłyszeli brzęk tłuczonego szkła. Spojrzeli w kierunku najbliższego stolika. Cygan spał na krześle odchylony do tyłu. Głowa Limahla opadła na blat stołu. Z przewróconego kieliszka sączyła się strużka wódki. Szkło dwóch innych kieliszków zrzuconych na podłogę chrupało pod butem Limahla. Miażdżył je, jakby gasił niedopałek papierosa.

– Może stąd wyjdziemy? – zaproponował Karloff. – W okolicy są ciekawsze miejsca. Tam spokojnie pogadamy.

Gdyby szedł sam, pewnie przeoczyłby wejście do lokalu. Ulica Ząbkowska, wyjaśnił Karloff, straciła sławę niebezpiecznego miejsca należącego do Trójkąta Bermudzkiego. Heinz pamiętał z czasów

studenckich, że samotne wędrówki po Trójkącie, pod czujnym okiem zakapiorów w różnym wieku wystających na pokieraszowanych przez czas podwórkach, były jak kuszenie złego losu. Ze zdumieniem zobaczył, że w jednym z takich podwórek wciąż wisi szyld sklepu muzycznego, w którym można było kupić t-shirty z nazwami deathmetalowych zespołów. Przypomniał sobie, że był tu przed wielu laty i że kupił wtedy kilka pirackich kaset. Przeszli koło kapliczki z Matką Boską i przecięli ulicę. Karloff otworzył drzwi i Heinz zderzył się z białym łbem bullteriera, zrobionym z plastiku.

Jedyny wolny stolik znaleźli w pobliżu małego podium, na którym produkował się chłopak, śpiewając standard Franka Sinatry.

Wróciła moda na swing – pomyślał Heinz. Neoswing i stare zdezelowane meble. I on, niepasujący do takich czasów. Zobaczył, że Karloff niesie dwa piwa.

– No dobra. Jak to widzisz? – zapytał Karloff, gdy wreszcie obaj usiedli.

– Mało wiem. Muszę się zobaczyć z medykiem sądowym.

– Tak przypuszczałem. Dlatego umówiłem nas na jutro z Sierściuchem. – Karloff uśmiechnął się.

– Z kim?

– Sam zobaczysz – blizna przy ustach znów się rozciągnęła. – Więc co myślisz tak na pierwszy niuch zaprawionego kokainisty? – Teatralnie pociągnął nosem.

Heinz nie odpowiedział. Lata pracy w policji nauczyły go, że w tym fachu nie ma przyjaciół. Rzadko miewa się nawet kolegów. Każdy pies obsikuje swoje drzewko i walczy o swój teren. Pytania

Karloffa wydały mu się zbyt natarczywe. Może dlatego Osuch bez szemrania dał mu człowieka do pomocy.

Karloff już się nie uśmiechał.

– Nie ufasz mi, tak? Myślisz, że jestem ucholem Osucha? Że będę składał mu raporty zawierające twoje błyskotliwe teoryjki, a jeśli przypadkiem tak się zdarzy, że któraś okaże się prawdziwa, to sukces przypiszemy sobie.

Rozległy się oklaski i piski dziewczyn. Najwyraźniej chłopak miał tu grono wiernych fanek.

Heinz spojrział na Karloffa, który zaciskał w dłoni szklanę, jakby zamierzał nią zaraz rzucić.

– Wszyscy jesteśmy podejrzliwi – mruknął. – Czytałem niedawno o takim plemieniu. Dobu czy jakoś tak podobnie... Otóż ci Dobu cenią sobie podejrzliwość, śmiech uważają za coś wielce niestosownego, a w centrum wioski umieścili cmentarz...

– Fajni kolesie. Zrobiliby furorę na You Tubie...

– My też jesteśmy jak Dobu z tą obsesją podejrzliwości, tajemnicy. Ty, ja, ona... – skinął głową w kierunku narożnego stolika.

Karloff spojrział na parę wskazaną przez Heinza.

– Gdy ten jej facet nie widzi, ona wciąż spogląda na zegarek – ciągnął Heinz. – I reaguje nerwowo, kiedy otwierają się drzwi... – Przechylił się przez stół. – Skąd mam wiedzieć, czy gdy stukasz się piwem, drugą ręką nie naciskasz w kieszeni dyktafonu? To teraz nasz taki sport narodowy.

Twarz Karloffa przypominała oblicze potwora.

– Skoro mamy pracować razem – mówił dalej Heinz – muszę wiedzieć, że jesteś okej. Spóźniłeś się czterdzieści minut. Dlaczego?

Karloff odstawił piwo. Heinzowi wydawało się, że na szklance powstał odcisk olbrzymiej dłoni.

– Miałem kilka spraw do załatwienia. Do wczoraj – ściszył głos – byłem zawieszony w czynnościach.

– Za co?

– Podobno wywiozłem faceta do lasu i kazałem mu kopać dół, by wymusić zeznania.

– To oczywiście nieprawda?

Karloff uśmiechnął się. Musiał ćwiczyć ten uśmiech, oglądając stare horrory.

– Chyba nie sądzisz, że byłbym do czegoś takiego zdolny.

Uniósł szklankę i wypił zdrowie Heinza.

– Mam jeszcze jedno pytanie. Skąd tam, w hotelu, wiedziałeś, do kogo podejść? Skąd wiedziałeś, że to ja?

– Dostałem dokładny opis. Chcesz usłyszeć jaki?

Heinz przytaknął.

– Powiedzieli mi, że bym szukał gościa, który jest tak zniszczony na gębie, że pewnie łapał jeszcze wampira Marchwickiego. I że będzie w wymiętoszonej marynarce. Pan „Wólczanka”... Sam chciałeś wiedzieć.

Chłopak na podium zapowiedział, że zaśpiewa jeszcze jeden przebój Franka Sinatry, a potem zaprasza na półgodzinną przerwę. Fanki jęknęły rozczarowane.

– Zatem, Karloff, szczerść za szczerść. Powtórzę ci to, co powiedziałem waszym ludziom z zespołu. Wedle mojej wiedzy w Polsce mamy – zawahał się – siedmiu, góra dziewięciu czynnie działających seryjnych morderców. Przynajmniej tak możemy szacować, nie będę ci teraz opowiadał, dlaczego. Nie wydaje mi się,

tak na pierwszy niuch kokainisty, jak to ująłeś, by klerycy byli ofiarami któregoś z seryjnych. W takich przypadkach mamy na ogół zabójstwa na tle seksualnym, czasem dochodzi motyw rabunkowy. A tu mamy inscenizację jak w operze. Torby foliowe, trójkąty, cyfry kojarzące się z godziną śmierci papieża... To jakiś – szukał odpowiedniego słowa – żart...

– Żart?

– Może zabawiali się w większym gronie, podduszali tymi torbami dla lepszego efektu i przesadzili. Spotkamy się z medykiem sądowym, to będziemy wiedzieli więcej. Tyle o tym.

– Żart... – powtórzył Karloff. – Ktoś, kto to zrobił, miał szczególne poczucie humoru.

– Tak jak i ty, gdy wywiozłeś tego gościa do lasu...

Tym razem Karloff nie odpowiedział. Znów zacisnął dłoń na szklance. Kobieta przy narożnym stoliku ukradkiem spojrzała na zegarek.

8

A jednak nie powiedziałem mu wszystkiego – pomyślał w hotelowym pokoju. Zdjął z szyi wytarty rzemyk, którym wprawiał wszystkich w osłupienie. Zabawne. Nikogo nie dziwi medalik z Matką Boską ani krzyżyk, ani wisiorek kupiony przez ukochaną podczas wakacji. Dlaczego więc ludzie unoszą brwi albo reagują śmiechem, gdy widzą kostkę do gitary zawieszoną na szyi niczym amulet? Przewiercona fioletowa kostka, wyraźnie starta po jednej stronie, była dla Heinza więcej niż relikwią. Była przedmiotem, w którym żywioł życia połączył się ze śmiercią. Kostka pochodziła z Alpine Valley Music Theatre w stanie Wisconsin, gdzie Steve Ray Vaughan zagrał swoje bluesy ostatni raz. Kilkadziesiąt godzin później gitarzysta runął na ziemię wraz z załogą i innymi pasażerami helikoptera. Za grube pieniądze Heinz kupił kostkę na aukcji internetowej, upewniwszy się, że do gitarowej relikwii dołączone są dwa certyfikaty potwierdzające jej autentyczność. Stary, sentymentalny Rudolf Heinz.

Późnym wieczorem nie myślał jednak o śmierci swojego idola. Myślał o mordercy.

Po tym, co usłyszał i zobaczył w Pałacu Mostowskich, było dla niego jasne, że ma do czynienia albo z kompletnym amatorem, albo z wyrafinowanym psychopata. Bez względu na to, kim był zabójca,

nie zadbał o usunięcie śladów. Usunąć ślady to, po pierwsze, usunąć zwłoki. Wystarczyło zakopać je w lesie, a sprawa nabrałaby innego wymiaru. Rodzina albo seminarium duchowne zgłosiliby zaginięcie i cały łańcuch zdarzeń ułożyłoby się inaczej. Bo w sprawie zaginięcia – nawet dwóch kleryków – nie powołuje się specjalnej ekipy. Nie traktuje się takich spraw jako priorytetowych, choć dzisiaj coraz trudniej orzec, co w pracy policji ma bezwzględne pierwszeństwo. Sprawą nie zainteresowałoby się CBS, jego też by przy niej nie było. Poza tym morderca nie przeszperał kieszeni ofiar. Kartka z numerem telefonu umożliwiła szybką identyfikację. Kompletna amatorszczyzna, która wyklucza udział chłopaków z miasta znajdujących się na robocie.

Chyba że jest całkiem inaczej. Cały czas nie mógł się opędzić od myśli, że w tej sprawie grozę budzi jakaś dziwna ostentacja. Teatralność. Jakby morderca chciał, byśmy zobaczyli zwłoki dwóch chłopaków. Jakby morderca celowo wystawił na pokaz zwłoki tych dwóch chłopaków. A właściwie więcej niż zwłoki. Skurwysyn ma poza tym nerwy ze stali. Oparł trupy o siebie plecami i przewiązał ciała sznurkiem. Co z tego wynika? Musiał wiedzieć, że teren będzie czysty. Że nikt mu nie przeszkodzi. Wniosek? Musiał obserwować ten rejon wcześniej, może ktoś go wtedy zauważył, może zapamiętał jakiś samochód.

Heinz wyjął notes i zaczął pisać. Wiedział, że nikt poza nim samym tych notatek nie odczyta.

Teraz trójkąty. Różowe trójkąty narysowane szminką. Przypomniawszy sobie czytany niedawno artykuł o homoseksualizmie w Trzeciej Rzeszy. Jednym z wymysłów Himmlera była narodowa Centrala do Walki z Homoseksualizmem i Aborcją oraz różowe listy,

na których umieszczano wszystkich podejrzewanych o zdegenerowane skłonności. Różowymi trójkątami znakowano homoseksualistów w obozach koncentracyjnych. Różowy trójkąt oznaczał dno w obozowej hierarchii. Zamordowani klerycy byli gejami, a to nadawało całej sprawie specyficzny charakter. Morderca malujący trójkąty musiał o tym wiedzieć. Znacząc ofiary, rzuca nam wyzwanie.

Rzuca mi wyzwanie.

Czy mogła to być zemsta odtrąconego kochanka? Wątpliwe. Kto by aż tak ryzykował? A może rzeczywiście jacyś ultrapravicowcy wyłowili tych chłopaków z jakiegoś klubu, a potem zabawili się z nimi zbyt ostro? Ten trop nie był zły. Tak czy inaczej morderca, zostawiając trójkąty, powiedział: „Ja wiem, kim oni są. I teraz wy się dowiecie, że ja to wiedziałem”.

Heinz usłyszał brzęczenie. Do żarówki podleciała mucha, tłukąc skrzydełkami to o rozgrzane szkło, to o tandetny abażur.

Jeszcze jedna sprawa – pomyślał. – Godzina śmierci papieża wypisana na folii. To, co tak zaniepokoiło CBS. Różowe trójkąty to już ostentacja, a tu na dodatek liczby. Dwudziesta pierwsza trzydzieści siedem. Śmierć papieża i śmierć kleryków. A jeśli jednak podwójne morderstwo to dzieło kolejnego nawiedzonego wizjonera? Śmierć nie każdemu wydaje się końcem. Może być także początkiem.

Śmierć jako odrodzenie i odkupienie – notował nerwowo. Czy dla dwóch grzesznych kleryków może być lepsza forma odkupienia niż śmierć? Czy można lepiej rozpocząć naprawianie świata? Nie można. Koniec końców dwaj homoseksualiści zostali nawróceni, przeszli na jasną stronę.

Mucha biła skrzydłami o żarówkę. Przypomniał mu się dźwięk przeskakującej iskry elektrycznej. Na ułamek sekundy stanęła mu przed oczyma twarz Inkwizytora. Zamrugął.

To byłoby najgorsze. Jeśli mają do czynienia z mścicielem psychopata, znowu uderzy. Zabójstwo dwóch chłopaków to dopiero początek. Zwłaszcza, że poszło tak łatwo. Jakby splunąć.

Sięgnął po komórkę i wybrał numer syna. Po kilku sygnałach włączyła się sekretarka. Nagrany był nowy komunikat: „Tu Krzysiek. Uczę się do matury. Jak już się nauczę, oddzwonię”. Przez moment wahał się, czy zostawić wiadomość. W końcu się rozłączył.

Nie zdążył odłożyć telefonu, gdy usłyszał sygnał połączenia. „Korn” – przeczytał na wyświetlaczu.

– Podopieczny bardzo się uaktywnił – zaczął Kornak.

Heinz poczuł gwałtowne bicie serca.

– W jaki sposób?

– Najpierw chciał wysłać do ciebie esemesa, potem maila, wreszcie zwykły list.

– Jest jeszcze Gadu-Gadu albo skype – skwitował cierpko Heinz.

– Gdy mu oczywiście odmówili, poprosił, by ci przekazać, że nadrabia zaległości lekturowe.

– Imponujące. I chce, żebym przysłał mu trochę książek? – Heinz zaczynał tracić cierpliwość.

– Nie. Chce, żebyś zajrzał do Becketta. Powiedział tak: „Ostatnia taśma Becketta. Finał, że normalnemu człowiekowi ciarki chodzą po plecach. A nienormalnemu? To coś w sam raz dla Heinza”.

– No i? Sprawdziłeś może, o co mu chodzi? Nie jestem chodzącym zbiorem cytatów.

– Nie. Ale niepokoi mnie, że zaczął tyle mówić o tobie. Otoczony jestem psycholami – myślał Heinz pół godziny później, leżąc w ciemnościach. W uszach miał słuchawki.

Słuchał, jak John Lee Hooker śpiewa o powodzi w Tupelo, i znów długo nie mógł zasnąć.

Gdy się obudził, poczuł, że palce u rąk ma zimne jak lód. Próbował je na przemian to zginać, to prostować, ale każdy ruch sprawiał mu ból. Patrzył na blade palce i wiedział, co się stanie: niedługo przybiorą kolor sinoniebieski, a na koniec szczerwienieją. Zimno wtedy ustępuje, pojawia się obrzęk. Palce wyglądają jak ugotowane kiełbaski.

Objaw Raynauda. Pierwsze symptomy tej choroby o tajemniczym podłożu pojawiły się u Heinza przed trzema laty. Razem z zespołem grał koncert w niewielkim klubie w Sosnowcu. Pamiętał, że grali własną wersję Black Magic Woman i miał zacząć gitarowe solo, gdy poczuł, że nie jest w stanie ruszyć palcami lewej ręki. Zupełnie jakby ktoś przykleił je do gryfu gitary. Potem, już w trakcie leczenia, dowiedział się, że przyczyną objawu Raynauda może być silny stres. Medyk sądowy z Katowic załatwił mu po znajomości konsultacje w Instytucie Reumatologii w Warszawie i przez kilka miesięcy Heinz pojawiał się regularnie w szarym budynku przy Spartańskiej. Przyzwyczał się wtedy do widoku ludzi powyginanych przez ból na tak wyrafinowane sposoby, jakich nie ogarnęłaby wyobraźnia genialnego rzeźbiarza. Przyzwyczał się też do osób korzystających z umieszczonego koło Instytutu ujęcia wody oligoceńskiej i proponujących niekiedy swoje sposoby leczenia wszelkich

schorzeń. Oswoił się z widokiem ubrań rozwieszonych na parkanie Instytutu i sprzedawanych za grosze. By skrócić czas oczekiwania na wizytę, zaczął się uczyć rozkładu jazdy autobusów, które miały pętlę przy ulicy Spartańskiej, od czasu do czasu chodził oglądać rośliny przez pordzewiałe szkielety szklarni z podziurawionymi dachami.

Nie pogodził się tylko z jednym. Z diagnozą.

– Musiał pan sporo przeżyć – powiedział mu kiedyś doktor Piotr Poraj, lekarz, który zajmował się nim w Instytucie. – Objaw Raynauda może się nasilać przy stresie, a w pańskiej pracy... Poza tym objaw Raynauda może sygnalizować coś znacznie gorszego... Coś, co ujawni się za kilka, może kilkanaście lat. Myślę o reumatoidalnym zapaleniu stawów.

Heinz wolał nie wiedzieć, co to jest. Nie znosił swojej słabości. Znienawidził ją, gdy przyśnił mu się sen. Było to dwa lata temu. Śniło mu się, że ma strzelać do mordercy, sięga po broń, celuje... I czuje, że sztywnieją mu palce. Nie może nacisnąć spustu. Morderca ucieka.

Następnego dnia przestał nosić służbowego glocka.

Teraz też coś musiało być nie tak. Coś, czego Heinz nie umiał nazwać, ale co już intuicyjnie wyczuwał.

Myślał o tym jeszcze wtedy, gdy milczący policjant z komendy stołecznej wiozł go na ulicę Oczki na sekcję zwłok. Heinz w czasie studiów wynajmował kawalerkę na peryferyjnym wtedy Targówku, a Śródmieście uważał za siedlisko psycholi. Troje z nich wspominał nawet dobrze. Pamiętał obłąkaną staruszkę, która stała na skrzyżowaniu w Alejach Ujazdowskich, przy ambasadzie Stanów Zjednoczonych, i samozwańczo kierowała ruchem drogowym,

wyposażona w milicyjny lizak i biały kask, jakich pełno było na budowach.

Gdy dwóch chłopaków chciało umyć szyby samochodu, milczący policjant odezwał się po raz pierwszy.

– Spierdalać! – krzyknął. – Bo wezwę straż miejską.

Heinz zdążył jeszcze zobaczyć, jak zbliża się do nich kolejny mężczyzna. Nogi kończyły mu się na wysokości kolan.

Kikuty stały na białej desce z przymocowanymi kółkami. Na rękach miał rękawice, jakich używa się na budowie. Kaleka odepchnął się energicznie od ziemi i minął stojącego przed nimi land cruisera. Był na wysokości drzwi kierowcy, gdy zapaliło się zielone światło. Kierowca parsknął śmiechem.

– Wie pan co? Wie pan, z kim mi się oni kojarzą?

Heinz milczał. Widział oczy wpatrzone we wsteczne lusterko. Pokręcił przecząco głową.

– Z lalkami. Z lalkami w wózku. A zauważył pan jego dłonie?

Heinz powtórzył swój gest.

– Grube budowlane rękawice. Żeby nie poobcierać pięści. Tyle że z poobcinanymi palcami, żeby lepiej chwycić kasę. Zawodowcy. Rozumie pan?

Heinz trzeci raz kiwnął głową. Zrobił znak, że rozumie. Był wściekły. Mieli mu dać służbowy samochód. I miał dosyć kierowcy. Chciał być jak najszybciej przy sekcyjnym stole. W prosektorium na ulicy Oczki, nazwanej tak na cześć nadwornego lekarza dwóch polskich królów, czekał na niego prawdziwy komitet powitalny. Obok Karloffa stał dwudziestokilkuletni zadbany brunet w beżowej skórzanej kurtce. Wyglądał, jakby właśnie wyszedł z salonu kosmetycznego. Heinz raz jeszcze spojrzął na jego kurtkę i aż

pokręcił głową. Model stał między Karloffem a niskim łysym mężczyzną. Jego łysina jaśniała, czego nie można było powiedzieć o fartuchu. Mężczyzna miał blade policzki pozbawione cienia zarostu i Heinz zrozumiał, dlaczego nazywany był Sierściuchem. Komitet powitalny uzupełniały dwa nieruchome ciała rozłożone na stołach.

– Doktor Jan Talar, nasz geniusz medycyny sądowej – Karloff wskazał na Sierściucha. – A to podkomisarz Leszek Baryka, świeżo upieczony absolwent szkoły oficerskiej. – Widząc, że Heinz wpatruje się w kurtkę Baryki, dodał: – Debiutuje tu na Oczki i tym można tłumaczyć ten odświętny strój.

– Jak tracić dziewictwo, to w dobrym towarzystwie. – Sierściuch zaśmiał się. – A tu – teatralnym gestem wskazał na stoły – coś specjalnego...

– Super truper. – Podkomisarz nazwany Dziewicą starał się być zabawny.

– Dla porządku, nazywam się Heinz. Pisze się tak samo jak nazwę ketchupu. Wybiera się do nas prokurator?

– Dzwoniłem do niego – szybko odparł Baryka. – Powiedział, że się spóźni i żeby na niego nie czekać.

Karloff popatrzył przeciągle na Heinza.

– To nie ma znaczenia – powiedział Sierściuch. – Ciała są i tak otwarte. Zresztą zobaczcie... – Szybkim ruchem zdarł prześcieradła.

Heinz spojrzał uważnie na twarze, które jeszcze niedawno mogły się podobać. Jak lalki – przypomniał sobie, co mówił niedawno jego kierowca. Ktoś ich posadził jak lalki i naznaczył szminką. Jak w jakimś teatryku dla dzieci.

– Znalezione ich – medyk zajrzał do dokumentacji – o czwartej nad ranem. Biorąc pod uwagę miejsce znalezienia zwłok i warunki atmosferyczne, możemy przyjąć, że śmierć nastąpiła jedenastego kwietnia między szesnastą a dwudziestą, a więc jakieś osiem do dwunastu godzin wcześniej.

– Co spowodowało zgon? Czy ma to związek z torbami foliowymi, które mieli na głowach? – Heinz wpatrywał się w martwą twarz leżącą bliżej niego.

– Proszę spojrzeć. Szyja – medyk odwrócił się. – U drugiego to samo. Widać ślady po taśmie samoprzylepnej albo jakimś materiale zaciskającym dolną część torby. Zostali w ten sposób uduszeni. Co do tego nie mam wątpliwości. Są też inne ślady w postaci otarć naskórka na szyi i twarzy, a także krwawe podbiegnięcia w śluzówce warg, trochę wybroczynek w spojówkach oczu...

– A zaczerwienienie przy ustach? U obu... – przerwał Heinz.

– To rzeczywiście jest ciekawe – przytaknął Talar. – Wygląda tak, jakby mieli usta zaklejone taśmą.

– Bez sensu – model w beżowej skórze postanowił coś powiedzieć.
– Skoro duszono ich torbą, to po co zaklejano usta?

– I mamy jeszcze otarcia skóry na przegubach i na nogach, przy kostkach. – Medyk sądowy zignorował pytanie Baryki. – Oni byli do czegoś przywiązani... Szarpali się... Aha, i w jednym przypadku, u Leskiego, ślady defekacji na ciele i na bieliźnie. Najpewniej skutek duszenia lub stresu.

– Czy takie duszenie torbą... – Baryka przełknął ślinę. – Czy takie duszenie... boli?

– Czy boli? – Sierściuch oderwał wzrok od ciał i popatrzył na Dziewicę. – Mój profesor cytował Franza Kafkę, który mawiał, że

śmierć to pozorny koniec, który powoduje realny ból. Powiem ci tak, młody przyjacielu: takie duszenie jest jedną z najgorszych tortur. W torbie założonej na głowę jest po prostu bardzo mało tlenu i szybko zaczynasz się dusić. Ale nie to jest najgorsze. Niby nie czujesz fizycznego bólu, ale wiesz, że umierasz, i to wywołuje niedający się z niczym porównać strach. To ten strach boli cię, by tak rzec, naprawdę. Oczywiście znamy rozmaite wariacje tego sposobu – od prymitywnej metody umywalkowej, gdy podtapiamy ofiarę, do bardziej wyrafinowanych. Widzieliście film Bitwa o Algier?

Wszyscy trzej pokręcili przecząco głowami.

– W zasadzie niepotrzebnie pytałem. – Sierściuch był zde gustowany. – Przecież tylko ja pamiętam takie stare filmy. Była tam taka scena, jak Francuzi przywiązują faceta do deski i zanurzają w wodzie. Trzymają nieszczęśnika pod powierzchnią tak długo, aż zaczyna się na dobre dusić. Wyciągają i po chwili znowu powtarzają manewr. A Pola śmierci widzieliście?

– Widziałem – Karloff i Heinz odpowiedzieli niemal równocześnie.

– Nie wierzę wam – medyk uśmiechnął się. – Warto wiedzieć, że również ludzie Pol Pota w Kambodży przy pomocy toreb uśmiercili tysiące ludzi. Był to widowiskowy – i tani – sposób zabijania... Tak to z grubsza wygląda. Pan się nie najlepiej czuje? – Popatrzył na Barykę.

Podkomisarz pobladł.

– Nie... wszystko w porządku – wydusił.

– W jaki sposób pana zdaniem ci tutaj zostali obezwładnieni? – zapytał Karloff. – Dwóch młodych, sprawnych fizycznie chłopaków. To przecież nie jest łatwe. Nawet jeśli ma się broń... Przecież ich nie ogłuszył...

– Teoretycznie mógł. Sami wiecie... Wystarczy skarpetka wypełniona piaskiem albo pałka owinięta materiałem... Może się zdarzyć, że po takim uderzeniu nie będzie śladu na ciele. Ale chłopaków było dwóch, poza tym brak śladów walki. Poza tym po co się męczyć, mamy farmakologię...

Medykowi przerwał niespodziewany odgłos. Wszyscy spojrzeli w stronę starego żeliwnego zlewu. Podkomisarz trzymał się jego brzegów, pochylił głowę. Wstrząsnął nim skurcz.

– Rzygaj, chłopczyku, rzygaj. Najlepiej na podłogę, bo mi zlew zapchasz – powiedział Karloff, po czym odwrócił się do medyka sądowego. – Czyli przypuszcza pan, że ofiarom zaaplikowano coś w rodzaju kwasu gamma-hydroksymasłowego?

Medyk przytaknął.

– Tak, stawiam na którąś z odmian pigułek gwałtu. Na coś subtelniejszego niż na przykład popularny clonazepam.

– Dlaczego? – Karloff był wyjątkowo dociekliwy.

– Bo clonazepam można łatwo wykryć w czasie sekcji, a także u żyjących. Wystarczą badania toksykologiczne krwi i moczu. W naszym przypadku sprawca czy też sprawcy – medyk poprawił się – mogli się posłużyć choćby rohypnolem, środkiem, który szybko obezwładnia ofiarę. Przyjmujesz dawkę i za chwilę nie wiesz, co się z tobą dzieje, dajesz się bezwolnie wyprowadzić z restauracji życzliwym znajomym, i tak dalej... Na dodatek rohypnol, i podobne środki, powoduje niepamięć wsteczną, bardzo szybko rozkłada się i wydalą z organizmu, co utrudnia późniejszą diagnostykę. Takie cudeńka najlepiej podawać z alkoholem, ale można też w kanapce o jakimś zdecydowanym, wyrazistym smaku.

Z okolic zlewu znów dobiegł odgłos uświetniający debiut podkomisarza Baryki na ulicy Oczki.

Heinz milczał. Uważnie oglądał dłonie zmarłych i patrzył na ślady na nadgarstkach. Ślady walki o życie.

– Gdzie są ubrania ofiar? – zapytał Karloffa.

– Powinny być w magazynie depozytów, ale sam wiesz, jak jest...

Heinz wiedział. Nawet ubrania zatrzymane w celu zabezpieczenia śladów zwyczajowo przechowywano w policyjnych pokojach, zapakowane w czarne worki foliowe.

– Będę chciał na nie rzucić okiem. I wyprowadźmy go stąd – wskazał w stronę zataczającego się Baryki. – Bo wszystko doktorowi zachłapie.

– Byłbym zobowiązany – medyk uśmiechnął się. – A w wolnej chwili polecam Bitwę o Algier.

We trzech stanęli na ulicy. Baryka wdychał spaliny samochodów z taką lubością, jakby znalazł się w barze tlenowym.

– Coś ci powiem, Karloff – najwyraźniej odzyskiwał siły. – Nigdy więcej nie nazywaj mnie chłopczykiem.

– To ja ci coś powiem – Karloff zmrużył oczy. – Ty to na razie możesz mi wieśmaka przynieść. W najlepszym razie...

Heinz odciągnął Karloffa. Patrzył na pozieleniałą twarz Baryki.

– Pozwól, że ci coś wyjaśnię – zachrypiał, przekrzykując przejeżdżającą na sygnale karetkę. Najpierw uzupełnię to, co mówił zimny doktor. Jest jeszcze taka wariacja duszenia torbą foliową, jaką stosują nasze służby specjalne... Zresztą tak robią specsłużby na całym świecie. Wyobraź sobie nowoczesną, dobrze wyposażoną salę operacyjną. Leżysz przywiązany do stołu jak w czasie operacji. Jesteś zaintubowany jak do zabiegu. Facet w białym fartuchu

i masce chirurgicznej robi ci zastrzyk. Podaje środek zwiotczający mięśnie oddechowe. Choćby osławiony pavulon. „Łowców skór” z Łodzi pamiętasz?

Nie czekał, aż Baryka odpowie.

– Zaczynasz się dusić – chrypiał Heinz. – Czujesz zwierzęcy strach przed śmiercią, przy pełnej świadomości zaczynasz umierać. Wtedy podają antidotum i zaczynasz znowu oddychać. I to się powtarza. Pavulon. Antidotum. – Palce Heinza wbiły się niczym ostrza noży w okolice ramion podkomisarza. Punkty atemialne. Szczególnie czułe punkty na ciele człowieka, przy których, jak mawiał sensei Kastoriadis, pięta Achillesa to mały pikuś. Mały pikuś. Swoją drogą ciekawe, gdzie Lambros nauczył się tego wyrażenia. – Pavulon. Antidotum. Pavulon. Antidotum... – Heinz powtarzał jak w transie, dźgając Barykę w okolicach pach. – Ile razy jesteś gotów tak umierać?

– Chcesz powiedzieć... – Oficer, który kilka minut temu przestał być dziewicą, odzyskał głos. – Chcesz powiedzieć, że służby specjalne mają coś wspólnego z tym zabójstwem?

– Nic nie rozumiesz. – Heinz odsunął się od swojej ofiary. – Ale może się jeszcze wyrobisz... Może... To była lekcja. Czas na podsumowanie. Po pierwsze, nigdy nie dzwoń do prokuratora z pytaniem, czy przyjdzie na sekcję zwłok. W dziewięciu przypadkach na dziesięć i tak nie przychodzą. Unikają nieprzyjemnych wrażeń. Poza tym zapamięta twoje nazwisko. I gdy następnym razem będziesz do niego dzwonił z naprawdę ważną sprawą, posłuży się byle pretekstem, żeby cię spuścić na drzewo.

– Dobrze gada – zaśmiał się Karloff.

– Teraz nauka druga. Ci dwaj na stole wyglądali tak niepozornie, prawda? Nie widać po nich, co przeszli, zanim umarli. Ale możesz być pewien, że cierpieli. Cierpieli jak skurwysyn. Twoje rzyganie to przy tym niewinne pieszczoty. Dlatego nigdy nie mów o ofiarach z lekceważeniem. Nawet wtedy, gdy chcesz stłumić własną niepewność albo tylko odruch wymiotny. Nie wyśmiewaj się z nich. To nie są żadni „super truper”, rozumiesz? I wreszcie – Heinz zawiesił głos – nauka trzecia. Masz wydatek w pralni chemicznej czy ekologicznej. Zarzygałeś sobie kurtkę.

Baryka spojrział w dół. Przy kieszeni po prawej stronie i na rękawie widniały plamy, które odcinały się barwą od beżu.

– Kurwa... O kurwa... – Podkomisarz gwałtownymi ruchami zaczął rozcierać plamy. – Co Jolka powie? Ona tak lubi tę skórę...

– Powiem ci jeszcze coś – przerwał mu Heinz. – Gdy odbierzesz kurtkę z pralni, wciąż będziesz czuł, że coś jest nie tak. A wiesz, dlaczego? Bo zapach trupa wsiąka w skórę jak jasna cholera. Nigdy nie przychodź tu – ruchem głowy wskazał wejście do zakładu medycyny sądowej – tak ubrany. Ani na miejsce zdarzenia, jeśli możesz tam zastać rozkładające się ciało. To nauka numer cztery. Tyle o tym. – Przeczesał siwe włosy na skroniach.

Do Pałacu Mostowskich pojechał razem z Karloffem. Baryka poszedł szukać pralni. Całą drogę milczeli.

– Dlaczego tak go potraktowałeś? – zapytał Karloff, gdy wjeżdżali na dziedziniec. – Po co to całe kazanie o szacunku dla ofiar? Przecież nie żyją, a chłopczyk niech jakoś sobie radzi, by jak najszybciej przestał być chłopczykiem...

– Powinieneś jeszcze dodać – cierpko zauważył Heinz – że przyszłość należy do takich jak on. Młodych i ambitnych... Ty wciąż

będziesz podkomisarzem, a on będzie się piął. I może zacząć się odgrywać...

– Nie odpowiedziałeś mi. Poza tym skąd w tobie tyle agresji, Heinz?

– Dlaczego tak go potraktowałem? – Heinz wpatrywał się tępym spojrzeniem w przednią szybę samochodu. – Kiedyś ci opowiem.

– Opowiedz teraz! – Karloff nie panował nad sobą. Heinz popatrzył mu w oczy.

– Okej. Może urzeknie cię moja historia.

Karloff zawrócił z piskiem opon. Heinz zdążył zauważyć, że posterunkowy stojący przed komendą spojrzał uważnie na ich samochód. Pięć minut później siedzieli w pubie przy Placu Bankowym.

Wszystko zaczęło się w pochmurny wrześniowy dzień 2001 roku w Mysłowicach, gdy do spalonego domu wkroczyli policjanci. W ogrodzie na tyłach posesji znaleźli zwęglone zwłoki młodej kobiety. Nikt nie miał wątpliwości, w jaki sposób zginęła. Morderca posadził ją na krzesło i przywiązał ręce do oparcia. Potem oblał benzyną i podpalił. Żaden z sąsiadów mieszkających w tej spokojnej okolicy nie słyszał krzyku płonącej żywcem ofiary.

Wtedy do sprawy wkroczył Rudolf Heinz. Voodoo Child. Prawdziwe dziecko czarnoksiężnika. Profiler po stażach w Quantico i Liverpoolu, policjant, o którym mówiło się, że potrafi przestępcę wyczarować, gdy inni w nieskończoność analizują zabezpieczone ślady i po raz setny czytają przesłuchania. Ale dziecko czarnoksiężnika ma także swoje mroczne oblicze, i Heinz też je miał. Pobyt na oddziale odwykowym po rodzinnej tragedii, a później głęboka depresja zatrzymały wspinaczkę po szczeblach policyjnej kariery. Koledzy pięli się w górę, on należał do grupy wiecznych podkomisarzy. Doszło do tego, że chciał odejść z policji i wpadł na szalony pomysł, że zrealizuje marzenie swojego życia – zacznie grać w pubach rockoweprzeboje. Już miał cisnąć papierami, gdy zdarzyła się ta historia.

Na posesji w Mysłowicach znaleziono ślady. Cztery niewielkie wgłębienia w ziemi. W zasadzie to Heinz zasugerował, by ich szukać. Godzinami myślał o tym, co zrobił morderca. Bo nie zabił ot, tak, po prostu. Dokonał egzekucji. Spalił na stosie. Jak inkwizytor. Heinz utwierdził się w tym przekonaniu, gdy prześwietlono życie ofiary. Kobieta, oficjalnie zarejestrowana jako bezrobotna, trudniła się najstarszym zawodem świata i radziła sobie całkiem nieźle wśród licznej konkurencji. Ale mordercy spalenie żywcem nie wystarczało. Było zaledwie jak poranna kąpiel. Jak oczyszczenie ciała. Musiał wymierzyć karę jeszcze jakoś inaczej. Co robił, zanim podpalił szmatę, której użył jako lontu? Heinz domyślił się. Morderca mówił. Mówił do kobiety. Opowiadał jej, dlaczego ją zabije i jak to zrobi. Jak będzie cierpieć. Wyniósł do ogrodu drugie krzesło i usiadł naprzeciwko niej. Nie za blisko, bo bliskość może sprawić, że w ostatniej chwili niespodziewanie litość weźmie górę. I nie za daleko, żeby nie tracić kontaktu. Usiadł tak, by sycić się jej przerażeniem, by patrzeć, jak płonie. Cztery ślady po nogach krzesła znaleziono w odległości trzech metrów od spalonego ciała. Heinz wiedział już, jak on to robi, nie wiedział, gdzie szukać sprawcy.

Seksualne tło zbrodni nie ułatwiało typowania mordercy. Inkwizytor uderzył dwa tygodnie później w Tarnowskich Górach. Wszystko odbyło się według podobnego scenariusza. Posesja na skraju ulicy, brak świadków, środek dnia. Ofiara skrupowana kablem elektrycznym i przywiązana do krzesła. I cztery wgłębienia w ziemi w niewielkiej odległości od zwłok. Różnice były dwie. Inkwizytor zabił tym razem mężczyznę, dobrze zresztą znanego policji. Facet był „opiekunem” katowickich prostytutek.

– Jednego alfonsa mniej. I dobrze – mówili policjanci z Tarnowskich Gór. – Ale żeby komuś zrobić coś takiego?

Ze środka uszu zwisały dwa kable. W pewnej chwili morderca zamknął obwód elektryczny. T-shirt zalany był na brzuchu krwią. Gdy mężczyzna umierał rażony prądem, odgryzł sobie język, co doprowadziło do obfitego krwawienia. Za pierwszym razem śmierć na stosie, teraz krzesło elektryczne. I, nieodmiennie, przemowa kata przed wykonaniem wyroku. Mowa kata, który przemienia się w świadka egzekucji i rozgrzesza samego siebie.

Heinz wpadł wówczas na pomysł, który zatrzęsł komendą wojewódzką w Katowicach. Naczelnik Krygier z pewnością pamiętał tę naradę.

– Mogę się oczywiście mylić – sugerował Heinz zebrany – ale to raczej nie jest maniak seksualny. To mściciel. Ktoś, kto morduje dla idei. Ktoś, kto wypala zło. Używa jedynej w pełni niszczycielskiej siły – ognia. Wiecie doskonale – referował fachowo – że każdy zawodowiec, jeśli nie chce narobić sobie kłopotów i pozostawić śladów, wybierze ogień. Ślady krwi mogą być wszędzie, czasem ich obecność zdaje się przeczyć prawom fizyki. A jednak są. W zasadzie nie da się ich ukryć ze stuprocentową skutecznością. Z jednym wyjątkiem...

– Można dokonać zabójstwa, a potem spalić budynek – powiedział wtedy ktoś z obecnych, Heinz już nie pamiętał kto. – O to ci chodzi?

– Tak. Ogień trawi wszystko. Jest receptą absolutną. Antybiotykiem antybiotyków w świecie zbrodni. Ogień trawi ciało. Opowieść o ogniu – a nasz sprawca lubi opowiadać – trawi duszę. W Mysłowicach sfajczyło się ciało, bo ofiara pracowała ciałem i grzeszyła. W Tarnowskich Górach morderca zajął się samą głową,

bo „opiekun” dziewczyn był mózgiem, organizatorem. No to trafił na „krzesło łaski”.

– Na co?

– Krzesło łaski. Mercy seat. Jest taka piosenka o facecie, który za chwilę ma być stracony na krześle elektrycznym...

– Chcesz powiedzieć, że twój Inkwizytor słucha rocka?

– Nie. Ale metodę karania wybiera z rozmysłem. Z precyzją. Planowanie go rajcuje, rozumiecie? Zresztą tak dzieje się często w przypadku seryjnych morderców.

– Chwileczkę. – Heinz zapamiętał uwagę obecnego na spotkaniu prokuratora nadzorującego sprawę. – W drugim przypadku mamy do czynienia nie z podpaleniem, lecz z porażeniem.

– Ale sprawca doskonale wie, jaka jest zasada działania krzesła elektrycznego – odparł. – Jestem pewien, że zna opisy, jak skazańcom płonęła głowa, paliły się włosy, w całym więzieniu czuć było swąd... – Wziął głęboki oddech. – I w związku z tym wszystkim mam pewien pomysł... – Wszys cy słuchali w napięciu. – Chcę powiedzieć, że sprawca traktuje karę dosłownie. Zawiniło ciało, niech spłonie ciało. Byłeś alfonsem i organizowałeś pracę dziwek, niech płonie twój mózg. Wydaje mi się, że równie literalnie powinniśmy potraktować nadaną mu przez nas nazwę Inkwizytor. Bo to jest inkwizytor.

– To znaczy? – Krygier przygryzł wargę.

– To znaczy, że to może być ksiądz. Były ksiądz. Może były zakonnik... Tyle o tym.

Heinz wielokrotnie zastanawiał się, jak brzmi cisza. Ta ze starej piosenki Simona i Garfunkela. Raz w życiu, właśnie wtedy, usłyszał jej prawdziwe brzmienie.

W końcu Krygier powiedział cicho: – No to, Hipis, pojechałeś po bandzie.

Potem wszyscy zaczęli się przekrzykiwać. Prokurator zrobił się czerwony na twarzy. Zaczęło się walenie pięścią w stół i rzucanie papierami. W końcu ktoś pobiegł po butelkę wódki.

– Komendant na to nie pójdzie – spokojniej, po dwóch głębszych, przekonywał Krygier. – Rządzący utrzymują dobre stosunki z naszym biskupem i dyplomacja jest najważniejsza.

Stało na tym, że Heinz miał się kontaktować z księżmi z diecezji śląskiej. Udało mu się w końcu sporządzić listę kapłanów, którzy porzucili stan duchowny. Szczególnie interesowali go księża, u których zdiagnozowano chorobę psychiczną. Może nie przypadkiem Inkwizytor raz był prokuratorem, raz katem, a zawsze świadkiem egzekucji. Kobieta z Mysłowic i mężczyzna z Tarnowskich Gór zostali skrupowani i przywiązani do krzeseł takim samym kablem elektrycznym o średnicy trzech milimetrów. Przy drugim morderstwie pozostały ślady kremu orzechowego na nadgarstkach ofiary.

Heinz wykonał kolejny telefon. Najpierw usłyszał śmiech, potem echo swojego zachrypniętego głosu.

– Stara sztuczka. Taka tajemnica zawodowa. – Rozmówca Heinza był elektrykiem z trzydziestoletnim doświadczeniem i uprawnieniami do montowania instalacji elektrycznych. – Tłusty krem. Orzechowy czy nie – znów usłyszał śmiech kojarzący się z kiepskim horrorem – wszystko jedno. Chodzi o to, że smaruje się kable, żeby lepiej wchodziły w aluminiowe rurki, w obudowę. Stosuje się to zwłaszcza przy starych instalacjach. A przy okazji, jak coś nawali, to wiesz, gdzie dzwonić?

W końcu trafił. Jerzy Urbaniak, ksiądz z Katowic. Jeszcze gdy był kapłanem, uważano go za dziwaka. Gdy zrzucił sutannę, ponoć „pogłębiło mu się” – tak mówiła siostra, z którą Urbaniak mieszkał. Zawsze miał smykałkę do techniki. Od wielu lat pracował jako elektryk w Katowicach i Sosnowcu.

Wtedy Heinz zaczął popełniać błędy. Zgubiła go pewność siebie. Tak to już jest. Pomyłka prowokuje kolejną pomyłkę. Heinz zrobił coś, czego nie robią policjanci z dużo mniejszym doświadczeniem. Postanowił z Urbaniakiem porozmawiać sam, bez świadków, upewnić się przed ostateczną rozgrywką, czy miał rację. Dobrze, że przynajmniej zostawił notatkę służbową informującą, co zamierza robić. Był pewien, że siostra Urbaniaka nie zdradziła się z tym, że wypytywał ją policjant. Nie przewidział, że przypadkiem zobaczy go z okna podczas banalnej czynności podlewania kwiatów i że go pozna. I że powie bratu. Potem, gdy wchodził na drugie piętro sennego familoka na Nikiszowcu, jakby żywcem przeniesionego z filmów Kazimierza Kutza, zapomniał o tym, czego uczył mistrz wszystkich karateków Ginchin Funakoshi: „Przekraczając próg domu, stajesz twarzą w twarz z tysiącem wrogów”. Heinz nie przewidział, że zostanie zaatakowany przez byłego księdza. Jakoś... Jakoś nie mieściło mu się to w głowie. Potem Inkwizytor wyrzucił siostrę za drzwi. Ta pobiegła do sąsiadki, zadzwoniła na pogotowie i policję. Gdy Heinz odzyskał przytomność, siedział przywiązany do krzesła, odurzony zapachem benzyny.

Modlił się wtedy po raz pierwszy od wielu lat. I – był tego pewien – po raz ostatni w życiu. Tak jakby płomieniami, które ogarnęły jego ciało, ostatecznie wypalono w nim wiarę. Kocie łby na Nikiszowcu wypełniły się policją, karetkami i strażą pożarną. Ceglaste familoki,

rdzawy płomień w oknie na drugim piętrze i zachód słońca u schyłku złotej polskiej jesieni tworzyły harmonię kolorów.

Nigdy, nawet po latach, Heinz nie zrozumiał dwóch rzeczy: nie wiedział, dlaczego tak szybko przyjechała policja, i dlaczego – skoro już przyjechali – nie skorzystali z procedury „dynamicznego zatrzymania”. Dlaczego po prostu skurwysyna nie zabili?

Specjalistyczny szpital w Siemianowicach Śląskich stoczył walkę z jeszcze jednym poparzonym, który nie chce żyć. Heinz przeszedł kilka przeszczepów. Nieprzytomny, całymi dniami majaczył. Gdy odzyskał przytomność, obsesyjnie myślał, że byłoby lepiej, gdyby go nie uratowali.

A Inkwizytor wywinął się od dożywocia. Sąd skierował go na obserwację psychiatryczną, a potem uznał, że Jerzy Urbaniak, niegdyś ksiądz, w chwili popełniania czynu był niepoczytalny. Ze względu na rehabilitację Heinz nie mógł stawić się przed sądem. Złożył wyjaśnienia, które spisano.

Sąd je zlekceważył, mimo że Heinz dowodził, iż Inkwizytor działał świadomie i metodycznie niczym Garri Kasparow rozgrywający partię szachów. Urbaniaka zamknięto w zakładzie psychiatrycznym na oddziale strzeżonym.

Tyle o tym.

Był środek dnia i upał dawał się we znaki. Heinz zdjął marynarkę. Kelnerka drgnęła na widok blizn na przedramieniu mężczyzny z niechlujnym zarostem.

– To wszystko chuj – Heinz wskazał na rękę. – Idzie o to... Idzie, Karloff, o to, że...

Nie dokończył zdania. Chciał powiedzieć, że wtedy, gdy płonął na krześle i patrzył w oczy Ikwizytora, oczy błyszczące z podniecenia, wraz z ciałem wypalało się w nim życie. Wypalało się to, co w Heinzu było najlepsze.

To wszystko miał już na końcu języka, gdy uznał, że nie ma powodu, by zwierzać się Karloffowi. Dlaczego miałby mu ufać do tego stopnia? Tu przecież każdy grał w swoją grę.

Karloff milczał. Wstał, podszedł do baru i dopiero wtedy odzyskał głos. Złożył zamówienie i wypił trzy kieliszki wódki w tempie sprintera biegnącego na setkę. Gdy wrócił, oparł się o blat i zakołysał nad stolikiem, jakby tańczył salsę.

– Nie urzekła mnie twoja historia, Heinz... Nie urzekła. Ale – popatrzył rybim spojrzeniem – możesz na mnie liczyć. Może jeszcze ze dwóch ludzi ci pomoże. Oczywiście – zawiesił głos – wszystko w granicach rozsądku.

W komendzie Heinz przejrzał rzeczy ofiar. Ze zdumieniem patrzył na markowe spodnie, na Diesle i Levisy, koszulki polo i sportowe buty. Nie tak wyobrażał sobie strój kleryków. Nie trzeba było być wytrawnym stylistą ani czytelnikiem pism o modzie, aby zrozumieć, że ubrania, w jakich zostali znaleźieni klerycy, bardziej pasowały do bywalców klubów przechodzących na bramce obrzęd selekcji, niż do ascezy panującej w seminarium duchownym. Wprawdzie czasy się zmieniły, księża jeżdżą maybachami, jaguarami, ich twarze zdobią etykiety win, a oni sami nierzadko stają się kimś w rodzaju menedżerów Kościoła, ale żeby zaczynało się to już na etapie studiów? Karloff patrzył ze zdziwieniem, jak milczący przez cały czas Heinz zapisuje nazwy marek odzieżowych. W którymś z tych ubrań morderca pozostawił kartkę z numerem telefonu do tego profesora z seminarium. Pozostawił czy nie zauważył? A może chciał wskazać na coś lub na kogoś?

– U którego znaleźliście tę kartkę z zapisanym numerem? – odezwał się po raz pierwszy od dłuższej chwili.

– U Rakowieckiego. To ten – Karloff wskazał na rozrzucone rzeczy – co był w jasnej skórzanej kurtce.

Jasna skórzana kurtka. Lekko wpadająca w bez. Swoją drogą ciekawe – pomyślał Heinz – czy Dziewica oddał już swoją skórę do

pralni. I co powiedziała Jolka?

Przeszukał kieszenie w drugiej, grubszej szarej kurtce przypominającej polar.

– Szukania nigdy dość – mruknął, widząc pełne urazy spojrzenie Karloffa.

Obejrzał podeszwy butów. Odłożył jedną parę i uważnie przyglądał się drugiej. Zmrużył oczy, włożył dłoń do biało-czerwonej Pумы i podszedł do okna. Wolną dłonią przywołał Karloffa.

– Widzisz? – wskazał na niezniszczony protektor. – Co to jest?

Jasny spód buta był w stanie niemal idealnym. Chłopak albo dopiero co kupił te Pумы, albo w nich jeszcze nie chodził. Podeszwa, z dziesiątkami niewielkich wybrzuszeń i wyżłobionymi paskami, skojarzyła się Heinzowi z powierzchnią księżyca. Przypomnił sobie reklamy telewizyjne. Kosmiczna technologia. „Komfort za życia, wygoda w chwili śmierci” – bezwiednie ułożył mu się w głowie własny slogan reklamowy. Na wysokości śródstopia, między dwoma wybrzuszonymi punktami utkwilo coś, co wyglądało jak kamyk. Heinz wyjął długopis z kieszeni marynarki i podłubał w bucie. Nie. Z pewnością nie był to kamień.

– Co to jest? – powtórzył.

Karloff wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– Skąd to się mogło wziąć? Czy pasuje do podłoża, na którym znaleźliście ofiary? To kolec jakiś czy owad? – Heinz zasypywał Karloffa pytaniami.

Blizna na twarzy policjanta wydłużyła się. Tym razem jednak podkomisarz się nie uśmiechał.

– Posłuchaj uważnie... Mamy dwa trupy, głowy w torbach foliowych, wymalowane trójkąty i wreszcie godzinę śmierci papieża... A ty... – wskazał na but – ty wyjeżdżasz z jakimś gównem w bucie. Co tobie się wydaje? – Karloff stracił panowanie nad sobą.
– Że jesteś jakąś Jodie Foster, a my gramy w Milczeniu owiec? Taaa... – teatralnie rozłożył ręce i przeciągnął samogłoskę, ujawniając sceniczne zdolności – mniemam, panie komisarzu, że to kokon ćmy Erebus odora, znanej także jako czarna wiedźma. Zapamiętałem, bo tak nazywałem narzeczoną...

Faktycznie, uroczy jesteś, Karloff.

– A za chwilę w dupie jednego z tych pedałów też znajdziemy ćmę, która żywi się ludzkimi łzami!

Bitwy o Algier Karloff nie oglądał. Ale z fabułą Milczenia owiec radzi sobie nadzwyczaj dobrze. Pomijając, rzecz jasna, ćmę w odbycie.

– Nic mi się nie wydaje. – Heinz starał się zachować spokój. – Po prostu sprawdźmy, co to jest. Pewnie nie ma to żadnego znaczenia, ale zróbmy to na wszelki wypadek. W porządku? – położył dłoń na ramieniu Karloffa.

– Jak chcesz. Dam to chłopakom z laboratorium kryminalistyki. Powinni sobie poradzić.

– Nie chciałbym ich poganiać – Heinz starał się mówić jak najbardziej pojednawczym tonem. – Ale powiedz, żeby zrobili to na cito.

Zapakowali ubrania z powrotem w czarne foliowe worki i wyszli. Heinz dowiedział się, że służbowy samochód dostanie dopiero jutro. Znowu musiał prosić, by ktoś go zawiózł do Centrum Olimpijskiego.

Gdy szedł do windy, zobaczył, że z jednego z pokoi wychodzi policjantka, którą widział wczoraj na zebraniu zespołu. Czarne wojskowe buty, krótkie włosy barwy smoły, reszta w tym samym pogrzebowym stylu. Czarna wiedźma – skojarzyło mu się. Posepna wokalistka z festiwalu rocka gotyckiego. Podeszedł do policjantki.

– Przepraszam, mam jedno pytanie... Poznaliśmy się wczoraj... – czuł się coraz bardziej zażenowany.

– Komisarz Heinz, pamiętam. Zwany gdzieniegdzie „przyjemniaczkiem”...

– Miło mi to słyszeć – odparł na odczepnego. Swoją drogą wyrobili sobie o nim niezłą opinię. – Mam do pani pytanie, jako do kobiety...

Czarna wiedźma znieruchomiała.

– Chodzi mi o paznokcie. Jak to się nazywa, gdy modeluje się je tak, by miały prostokątny kształt i kończyły się takim białym, dwu-, trzymilimetrowym paskiem?

Policjantka milczała. Trochę dłużej niż powinna.

– To french. Poza tym też jestem komisarzem. Jolanta Biedrzycka. Ale mów mi Jolka. Czy zamierzasz sobie coś takiego zrobić?

Jolka. Co Jolka powie? – przemknęło przez głowę Heinza. Czyżby chodziło o tę właśnie Jolkę? Słowa rozdzielczoności dziś na Oczki podkomisarza Baryki wracały jak echo.

– Halo! Nie odpowiedział mi pan na pytanie... – Erebus odora wpatrywała się w profilera oczami, które ze względu na podkrążenia wydawały się jeszcze większe.

– Przepraszam... Czy może pani... Czy możesz...

– Mogę – weszła w słowo. – Pytałam, czy zamierzasz strzelić sobie frencha. Do dziś dość modny wśród facetów. Pamiętasz pierwszą czy

drugą edycję Big Brothera? Był tam taki chłopak, co bzykał się na oczach widzów z taką lalką w jacuzzi, tylko bąbelki w obiektyw leciały... No więc on robił sobie frencha...

Rozmawiali jeszcze kilka minut. W tym czasie winda zatrzymywała się kilka razy na ich piętrze i zjeżdżała na dół. W końcu komisarz Biedrzycka spojrzała na zegarek z dużą tarczą, bardziej pasującą na nadgarstek mężczyzny. Pożegnali się.

Heinz słyszał, jak ciężkie buty wybijają równy, zdecydowany rytm na stopniach schodów.

Poczuł ulgę, gdy zobaczył, że przydzielili mu nowego kierowcę. Gdy znalazł się na Wybrzeżu Gdyńskim, od razu zrozumiał, dlaczego budynek Polskiego Komitetu Olimpijskiego nazywany jest ironicznie Pałacem. Gmach powalający luksusem miał się nijak do mizernych osiągnięć polskich sportowców zdobywających medale najczęściej w dziwnych konkurencjach. Latanie precyzyjne, brydż sportowy, zawody strongmenów. W tym jesteśmy dobrzy. I jeszcze – przypomniał sobie wątpliwej jakości dowcip – saneczkarstwo dwójkowe mężczyzn na torach naturalnych.

Minęli parking dla vipów, na którym stało kilkanaście samochodów, głównie terenowych.

– Rozejrzę się. To nie potrwa długo – rzucił do kierowcy, który bez słowa sięgnął do schowka i wyjął „Naszą Legię”.

Zabrał teczkę z dokumentacją fotograficzną i szkicem terenu. Popatrzył na zieleniące się zarośla i kilka potężnych drzew. Zobaczył, że ktoś mu się przygląda z budki ochroniarskiej. Drzwi otworzyły się i stanął w nich niski sześćdziesięciolatek. Heinz podszedł bliżej.

– To tam, proszę pana – ochroniarz wskazał ręką. – Tak jak kończy się główna ścieżka i zaczynają krzaki. Pod tamtym drzewem. Chodzi panu o tych dwóch? Nie mogę z panem podejść, bo zaraz ktoś będzie chciał wyjechać z parkingu. Człowiek pójdzie się odlać w krzaki, zabawi tam pół minuty, a potem tu – skinął w stronę terenówki – robi się siwy dym. Tak jakby ich tych kilka sekund miało zbawić.

Heinz milczał. Milczenie przeciągało się, a mężczyzna, który przytrzymał ręką drzwi budki ochroniarskiej, tracił pewność siebie.

– Chyba że pan w jakiejś zupełnie innej sprawie...

– Nie. Skąd pan wie, że chodzi mi o tych dwóch?

Mężczyzna wyprostował się.

– Znam się na ludziach, proszę pana.

Zna się na ludziach. Zobaczymy.

– No i co podpowiedziało panu doświadczenie? – Heinz podszedł do ochroniarza, który na czarnej bluzie miał naszywkę „Zubrzycki”.

– Mężczyzna z szoferem. Sam. Aktówka w ręku. Nie jest pan dziennikarzem. Za staryś pan, teraz tylko takich szczawi przysyłają. No to skąd pan może być? Ze służb. To proste... No, a co tam jest? Ma pan ich zdjęcia? – Zerknął na szarą teczkę.

– Rozumiem, że nie było tu pana wtedy, gdy ich znaleźli...

– I chwała Bogu! Noc można spędzić przyjemniej – zarechotał strażnik.

– Ale pewnie ma pan dyżury o różnych porach – Heinz nie ustępował. – Może zauważył pan coś niezwykłego w ostatnim czasie... Jacyś niespodziewani goście... Może ktoś się tu rozglądał?

– A co miałyby być niezwykłego? Mamy piękny kwiecień, ciepło jest. Wieczorem co chwila ktoś tu podjeżdża i wie pan...

– Nie wiem – szybko przerwał Heinz.

– Sodomici, proszę pana – wyszeptał mężczyzna. – A w ogóle to dokąd ten kraj zmierza? Albo pedały, albo Żydzi, albo Niemcy – wskazał budynek w głębi Centrum Olimpijskiego. – Widzisz pan szyld? Deutsche coś tam... I jak ma tu być dobrze? Poza tym – ochroniarzowi nie zamykały się usta – to był środek tygodnia. Największy ruch jest w weekend. Pan patrzy – wyciągnął rękę w stronę Wisłostrady – tam szkolenie psów, tam – obrócił się w prawo – jazdy konne. Zwariować można. Ale tak jest w weekend. A w tygodniu tylko pedały...

Heinz pogrzebał w kieszeniach, jak zwykle ponapychanych niepotrzebnymi kartkami. Portfel. Telefon komórkowy. Jak zwykle niczego nie mógł znaleźć. W końcu wydobył jakiś czysty skrawek i długopis.

– Faktycznie zna się pan na ludziach – powiedział. – Zapiszę mój telefon. Gdyby pan sobie coś przypomniał, proszę dzwonić, o każdej porze...

– A kogo mam prosić? – W oczach mężczyzny pojawiła się czujność.

– Komisarz... – zawahał się. – Komisarz Krakowiak – dopisał na kartce.

Gdy chował długopis, namacał w kieszeni plik wizytówek.

Kontrola. Panować nad sobą. Odruchowo daje się zawsze wizytówkę. Nigdy nie wiadomo, kiedy ludzie przypomną sobie coś, wydawałoby się, całkiem nieistotnego. Tym razem jednak postąpił inaczej. „Albo pedały, albo Żydzi, albo Niemcy.” Wyobraził sobie

minę tego ochroniarza, gdy odczytuje na wizytówce brzmiące z niemiecka nazwisko: Heinz. Albo imię Rudolf.

Poszedł w stronę, gdzie znaleziono zwłoki.

Otworzył teczkę i popatrzył na zdjęcia. Tak, to musiało być tu. Był na miejscu. Poczuł suchość w ustach. Zamknął oczy.

Ofiary zostawiono przy głównej ścieżce. Na środku sceny. Jeśli mamy do czynienia ze sceną. Wystarczyło postawić samochód w poprzek drogi, a następnie wynieść ciała i położyć przy drzewie. Heinz przeszedł kilkadziesiąt metrów w prawo, tam, gdzie mniej wydeptana ścieżka opadała w dół, aż do zwalonej brzozy. Ślady prowadzące za drzewem do Wisły stawały się coraz mniej wyraźne. Odwrócił się i kilka metrów od siebie zobaczył narożnik siatki okalającej Centrum Olimpijskie. Nie wiedzieć czemu przypomniał sobie posąg Ikara z urwanym skrzydłem autorstwa Igora Mitoraja, stojący przed Pałacem. Ikar – symbol szlachetnej naiwności i klęski – jakoś dziwnie komponował się z ciałami kleryków. Kto wie? Będzie pamiętał o tym skojarzeniu.

Ziemia była coraz bardziej grząska. Postanowił się wycofać. Wrócił do miejsca, gdzie znaleziono ciała kleryków. Znowu zamknął oczy.

Wyobraził sobie, że jest noc. Zobaczył podejrzający samochód. Na dziewięćdziesiąt procent miał do czynienia z jednym sprawcą. Dlaczego? Bo praktyka wskazuje, że mordercy, jeśli działają w grupie, na ogół unikają inscenizacji takich jak ta. Rajcuje już samo współdziałanie, współuczestnictwo innych. Gdy zabójców jest dwóch – albo więcej – ukrywają ciało. Ryzyko, że któryś ze współników się wygada albo że policja przypadkiem wpadnie na ślad, jest statystycznie większe. Poza tym jeszcze kilka mniej

oczywistych drobiazgów świadczyło o tym, że morderca działał sam. Na przykład taki, że podjechał w miejsce, gdzie jednemu człowiekowi łatwo było położyć dwa ciężkie, bezwładne ciała.

Nie. Nie położyć. Ułożyć.

Dlaczego jednak podjął ryzyko, by pozostawić je na głównej ścieżce? Dlaczego nie pojechał tam, gdzie byłoby bezpieczniej, w stronę powalonej brzozy?

Wyobraźnia Heinza pracowała na pełnych obrotach.

Samotny morderca nie dałby rady przenieść tam ciał. Za duży wysiłek dla jednego człowieka. Człowieka zbyt słabego, niewysportowanego albo po prostu za starego na takie wyczyny. A może bał się, że na nadwiślańskich wertepach wysiadzie mu samochód? Może ma kiepski samochód. Może być i tak. Tak czy inaczej nie każdego stać na to, by przewieźć ciało z miejsca zbrodni w inne, starannie wybrane miejsce.

Wiesz trupa. W tym przypadku – wiesz dwa trupy. Najpewniej w bagażniku. W popiełuszcze – przypomniał sobie rozmowę w hotelowym barze. Wiesz dwa trupy i musisz mieć nerwy ze stali. Wystarczy, że zwyczajnie zatrzyma cię drogówka. Jakiś znudzony wąsaty sierżant. Albo złapiesz gumę. Ktoś postanawia ci pomóc. I wszelkie twoje zamierzenia nagle biorą w łeb.

Heinz rozejrzył się jeszcze raz. Kilkaset metrów na lewo znajdowała się stacja benzynowa. Był pewien, że policjanci uważnie przejrzeni nagrania zarejestrowane przez kamery jedenastego i dwunastego kwietnia. Odwrócił się. Szeroka nić Wisłostrady przecinała gigantyczne, zieleniące się połacie. Po drugiej stronie jezdni dostrzegł pub należący do nadwiślańskiego szlaku barów,

z którego dziś pozostały tylko relikty. Pewnie tam też ci z komendy stołecznej już zajrzeli.

Usłyszał głosy ptaków znad Wisły.

Mam do czynienia albo z osobnikiem niepoczytalnym, który nie jest świadomy ryzyka, albo z totalnym desperatem. Z desperatem, który przemyślał wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Morderca wiedział, co robi. Tu nie było żdźbła improwizacji. Morderca miał czas, by wymalować szminką trójkąty i wypisać cyfry z godziną śmierci papieża. Chyba że zrobił to już wcześniej, tam, gdzie zabił chłopaków. Tak czy inaczej – i to zaplanował. Wiedział, że klerycy są gejami. Stąd trójkąty. Stąd miejsce schadzek homoseksualistów.

Czytaj ślady, nawet te nikłe – Heinz mówił do siebie – to wszystko ma znaczenie. Skłonności seksualne są tu kluczem. Oraz to, że ofiary były w tym samym seminarium. Nic innego nie wchodzi w grę.

Myślał teraz o ofiarach. Morderca odstawił przedstawienie. Ale i oni odegrali przed śmiercią swoją scenkę. Nowe firmowe ubrania. Buty. Każdy włożył na siebie z tysiąc złotych albo więcej. Chłopak, który chodzi do manikiurzystki i ma zrobionego frencha. To nie jest szary świat zamkniętych w celach zakonników. Oni szli na występ. Na podryw. Na umówione spotkanie. Jak męskie kurwy. – Heinz myślał gorączkowo. – Sądził, że wrócą późno w nocy. Stąd te ciepłe kurtki. Jedenastego kwietnia w Warszawie – sprawdził to w dokumentacji – było ciepło. Prawdziwie letnia pogoda. Ale noce w kwietniu, nawet takim jak ten, bywają chłodne. Przygotowali się starannie, lecz stało się coś niespodziewanego nawet dla nich. Ktoś, kto ich udusił, znał ich plany. Albo poznał je na tyle dobrze, by działać z zegarmistrzowską precyzją.

Obrazy w głowie Heinza przypominały teledysk zespołu Prodigy. Teraz widział dwa martwe ciała na zimnych stołach sekcyjnych. Otarcia naskórka na przegubach i kostkach stóp. Podobne ślady na ustach. Szarpali się. Krzyczeli. Dlaczego? Bo morderca przywiązał ich najpewniej do krzesła i zalepił im usta taśmą. Bał się, że ktoś może usłyszeć krzyk. Dlaczego nie zabił ich od razu? Dlaczego zdierał taśmę z ust? Jak to wszystko się odbyło?

Gdy powiał wiatr, Heinz poczuł, że wilgotna koszula lepi mu się do ciała. Przeszył go dreszcz.

Raz jeszcze zobaczył tę scenę. Morderca trzyma ich gdzieś w zamknięciu. Może w piwnicy. Może w domku letniskowym. Poddusza, a potem, gdy brakuje tlenu, znów daje nadzieję. Zrywa taśmę z ust. Chce słuchać.

Czego, skurwysynu, chciałeś posłuchać? Jak błagają o litość? Nie, to nie o to chodzi. Nie to cię kręciło.

Znów przeszył go dreszcz. Tym razem nie wywołał go wiosenny wiatr znad Wisły. Heinz przypomniał sobie, jak siedzi z rękami i nogami przywiązanymi do krzesła, a nad nim pochyła się uśmiechnięta twarz Inkwizytora.

– Wyznaj swoje grzechy – usłyszał wtedy w starym śląskim mieszkaniu.

Oni też mieli się wyspowiadać – pomyślał o klerykach. Morderca chciał, by klerycy się wyspowiadali. Cokolwiek to znaczy. Dusił ich i odpuszczał. Czekał. A oni umierali i zmartwychwstawali.

Nie – Heinz zapiął sztruksową marynarkę – w tym wszystkim nie było żdźbła improwizacji. Panowanie nad sobą. Pełna kontrola – przypomniał sobie, co myślał, gdy wręczał ochroniarzowi kartkę z numerem telefonu. To samo można powiedzieć o mordercy.

Długo wpatrywał się w miejsce, gdzie leżały ciała, jakby chciał wywołać ducha sprawcy. A najlepiej – nie tylko ducha.

Seks za pieniądze. Klerycy. Spowiedź. Spowiedź ostateczna. Wyznanie winy jako element krucjaty. Przypomniawszy sobie statystyki. Morderców zabijających z pobudek religijnych, pomijając niepoczytalnych i jednocześnie przekonanych, że są instrumentem w rękach Boga, było niewielu. Nawet w tak popieprzonym kraju jak Stany Zjednoczone, a co dopiero w Polsce. Wprawdzie – przypomniał sobie – sławni seryjni mordercy Henry Lee Lukas i Ottis Toole uważali, że należą do satanistycznej sekty „Ręce Śmierci”, a Richard Ramirez podczas procesu pokazywał pentagram wytatuowany na dłoni. Nie zmienia to faktu, że seryjni mordercy na tle religijnym należą do rzadkości. A tu mamy tę cholerną godzinę śmierci papieża, wymalowane różową szminką cyfry, które postawiły na nogi polską policję.

Richard Ramirez – przypomniał sobie mężczyznę, który w lustrzanych okularach wyglądał jak Jim Morrison z zespołu The Doors. Skurwiel miał ksywę Mroczny Łowca. Ciekawe – pomyślał Heinz – jak nazwą naszego specjalistę od kleryków. Jeśli znów da znać o sobie. Torebkowy Klecha? Syn Karola? A może – biorąc pod uwagę miejsce znalezienia zwłok – Krwawy Olimpijczyk?

Zmęczony, zapadł się w fotelu dla pasażera. Miał złą noc. Postanowił wrócić do hotelu i przespać się.

Gdy ruszyli, poczuł smród.

– Chodził pan, chodził, aż w coś pan wdepnął, komisarzu – usłyszał głos kierowcy. – Wiosna jest przecież. Psie kupy wybiło.

Zatrzymali się, by Heinz mógł wytrzeć podszewę. Gdy oglądał wyczyszczony but, przypomniał sobie sportowe obuwie jednego

z zamordowanych i dziwny ślad w protektorze.

Ani zdźbła improwizacji. Żadnego błędu. Czy aby na pewno żadnego?

Zaśmiała się i podpisała na siebie wyrok.

Patrzył, jak jej oczy rozszerzają się, usta rozchylają gwałtownie, wydobywając zmarszczki skryte pod grubą warstwą makijażu. Usłyszał głośny gardłowy śmiech i spostrzegł, że obfite piersi falują ciężko. Nie, nie była już dla niego piękna. Ani czuła i delikatna. Nagle, jakby zdarł niewidzialną zasłonę, zobaczył, jaka jest naprawdę. Dojrzał, że jej starzejące się ciało to zwały tłuszczu. Dostrzegł prostactwo i nieokrzesanie. Wreszcie do niego dotarło, że jest taka sama jak inne.

Kobieta wciąż się śmiała, na dodatek wyciągnęła w jego stronę palec zakończony paznokciem, z którego odłupał się kawałek różowego lakieru. Gdy zobaczył wycelowany w siebie palec, cofnął się o krok i zatrząsł. Tak samo pokazywały go sobie siostry, potem koleżanki w klasie i nauczycielki. Wycelowany palec i śmiech. Pierwsze stadium tortur i upokorzenia.

– Ale się, chłopczyku, zaczerwieniłeś! Zjarałeś cegłę, wiesz? Masz policzki jak buraki, o takie!

Nadęła policzki i uszczypnęła się w nie. Ze świstem wypuściła powietrze i znowu zaczęła się śmiać.

– Burak, burak! – Nagle spoważniała. – Ale ty jesteś nieśmiały. Chciałam tylko, żebyś mnie pocałował... – Zmrużyła oczy i zaczęła

przywoływać go dłonią. – No chodź...

Jest taka sama jak inne – pomyślał. Wszystkim chodzi o to samo. O to, by mnie ośmieszyć.

Cofnął się w stronę drzwi.

– Pój-pójdę zro-o-bić herbatę.

Zaśmiała się. Zobaczył, że jej górna jedynka ma różowy odcień w kolorze szminki i lakieru do paznokci.

– I jeszcze zaczynasz się jąkać – westchnęła.

Poszedł do kuchni. Odkręcił kran i wpatrywał się w nieusuwalne ciemne plamy w zlewie. Jak plamy na rękach chorego starego człowieka. Jak plamy na rękach ciotki, która wychowywała jego i dwie starsze siostry. Ciotki, która, gdy miał dziesięć lat, zaczęła przychodzić do jego sypialni. Mieszkał teraz sam, w zrujnowanym domu. Jego wiek był zagadką dla wszystkich. Są tacy ludzie, którzy wyglądają tak samo, gdy mają piętnaście lat i gdy są po czterdziestce. Wyglądają równie beznadziejnie. Podwinął rękawy. Zobaczył, że na czarnej koszuli osiadły płatki łupieżu, który trapił go przez ostatnie dwadzieścia lat. Znowu poczuł falę ciepła na policzkach. Całe szczęście, że stał tu, w kuchni, sam.

Patrzył w otwór odpływowy zlewu i na ściekającą wodę, która zagłuszała kobiecy śmiech. Był pewien, że ta gruba śmiejąca się zdzira rozsiadła się teraz wygodnie na kanapie i czeka na jego powrót. Przywołał obraz sprzed chwili, gdy jej zdziwione oczy otworzyły się szeroko. Tyle że tęczęwki nie były piwne, ale zielone. Takie jak u tamtej, którą ukarał w Lasku Aniołowskim.

– Jest taka sama jak inne – wycedził.

– Mówiłeś coś? – zawołała.

– N-nie. N-nic.

Zbyt mocno przekroił cytrynę i zranił opuszkę kciuka. Patrzył, jak krew miesza się z kwaskowym sokiem. Zacisnął zęby. Bolało. Niedługo to ją będzie bolało. I to bardzo.

Gdy wszedł z powrotem do pokoju z plastrem na lewym kciuku i herbatą w prawej dłoni, zobaczył, że schyliła głowę i grzebie w torebce. Wystarczyło mocno uderzyć. Być może wystarczyło uderzyć tylko raz.

Nie żyjesz. Dla mnie już nie żyjesz.

– A może – postawił herbatę na stoliku – wy-wyberzemy się pojutrze na spacer? Zapowiadali ładną pogodę na ten tydzień...

– A jutro? Też pracuję na pierwszą zmianę... O piętnastej jestem już wolna.

– Jutro nie mogę. Mam zebranie klubu.

Westchnęła.

– Tak, zapomniałam. Ten twój klub. I ten wasz prezes, co go kiedyś widziałam. Z hitlerowskim wąsikiem...

– Nie śmiej się, proszę, z Jurka. Super gość. To jak, pojutrze?

– Czemu nie? – powiedziała. – Może wtedy będziesz bardziej odważny.

Wstała i włączyła telewizor.

Z pewnością będę odważny – pomyślał. – W Lasku zawsze jestem odważny. Jeszcze się zdziwisz, jak.

Natarczywe stukanie wyrwało go ze snu. Rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem po pokoju pogrążonym w mroku. Za oknem było ciemno, musiał spać dobre kilka godzin. Podszedł do drzwi i otworzył. Karloff trzymał się framugi, jakby zamierzał ją wyrwać i wynieść w sobie tylko znanym kierunku. Głowę pochylił do przodu. Nawet w słabym świetle Heinz zauważył początki łysienia, wyczuł też zapach źle strawionego alkoholu. Głowa Karloffa drgnęła, zaatakowana czkawką. Nie wiedzieć czemu Heinzowi wydawało się, że stojący przed nim policjant łka.

– Nie odbierałeś telefonu. – Karloff uśmiechał się niepewnie, a jego głowa znów podskoczyła. – Mamy taką... taką małą imprezkę firmową na Mokotowie. Pomyślałem, że może się przyłączysz. Poznałbyś lepiej chłopaków. A jutro... – czknął – jutro weźmiemy się do roboty.

Poznać lepiej chłopaków. Nie miał na to najmniejszej ochoty, ale zdawał sobie sprawę, że będzie skazany na ich pomoc. Choćby taką, żeby mu nie przeszkadzali, nie rzucali kłód pod nogi i nie pluli za jego plecami. Poza tym nie zna miasta, nie ma kontaktów i dojścia do potrzebnych ludzi. A sprawę zabójstwa kleryków – w tym zgadzał się z Osuchem – trzeba prowadzić wielotorowo. Sam widział słabe światełko w tunelu i czuł, że powoli zaczyna rozumieć, co się

stało dwóm nienagannie ubranym, wypielegnowanym chłopakom z seminarium, ale należało działać ostrożnie.

Może więc rzeczywiście powinien pojechać z Karloffem? Choćby na odczepnego.

– Widzę, że się zdecydowałeś – zaśmiał się Karloff. – Poczekam na ciebie w samochodzie. No, co? – dodał, widząc zdziwione spojrzenie Heinza. – Policjantem jestem, wolno mi, nie? I mam w dupie alkometry.

Chuchnął Heinzowi wódką prosto w twarz.

Pojechali na Puławską do Regeneracji. Po drodze Heinz dowiedział się, że idą w modne miejsce, w którym liczba artystów na metr kwadratowy dawno już przekroczyła wszystkie dopuszczalne normy. Na Puławskiej samochód co chwila podskakiwał na dziurach w jezdni i Heinz wysłuchiwał wiązanki przekleństw pod adresem władz Warszawy.

– Niedawno przyjechał do mnie wuj. – Karloff manewrował tak, by wymijać największe kratery na drodze. – Zamówił taksówkę i zażyczył sobie kurs na Puławską. Taksówkarz podwiózł go kawałek, a potem powiedział, że Puławską nie pojedzie, bo szkoda mu samochodu. Na szczęście wuj zanotował numer rejestracyjny i... – Karloff gwałtownie zjechał na środkowy pas, wymijając kolejną przeszkodę. Usłyszeli wściekły sygnał dobiegający z samochodu, który jechał za nimi.

– Czego trąbisz, złamasie? – Karloff spojrział we wsteczne lusterko. – No więc wuj zanotował numer, a ja odwiedziłem taksówkarza i go pouczyłem... Skutek był taki, że zwrócił za kurs. Sprawiedliwość raz jeszcze zatriumfowała, no nie?

Zaparkowali samochód, przeszli na drugą stronę ulicy, minęli pomnik Matejki ze Stańczykiem – takim samym jak Matejko, tylko w ostatnim stadium anoreksji – jak wyjaśnił Karloff, który wczuł się w rolę miejskiego przewodnika. Przeszli obok domku mauretańskiego upstrzonego szablonami graficy i dotarli na miejsce.

Pierwsze, co zobaczył Heinz, to dwóch trzydziestolatków. Wyższy ubrany był w coś, co Heinzowi skojarzyło się z antycznym chitonem. Nie przypominał sobie tylko, by Grecy nosili także jedwabne różowe szale inkrustowane imitacjami kamieni szlachetnych. Drugi mężczyzna miał na sobie czarny sweter, zapewne odziedziczony po jakimś kontestatorze z lat osiemdziesiątych. Najdziwniejszy był jednak balejaż na głowie kontestatora, świadczący o tym, że wykonał już skok z zamierzonych czasów do epoki metroseksualnej. Do czasów, gdy rządzą już nie sportowcy i gwiazdy filmu, ale fryzjerzy, wizażysty i tancerze. Grek w chitonie utworzył z kciuków i palców wskazujących obu dłoni prostokąt, przez który wpatrywał się uważnie w aluminiowe rury puszczane pod sufitem.

– Tak – powiedział sam do siebie – tak to wykadrujemy. A potem cięcie, inny plan i wracamy do głównego motywu muzycznego – rozłożył ręce, jakby dyrygował orkiestrą albo odprawiał mszę.

– Genialne – szepnął ten w swetrze kontestatora. – Sam bym na to nie wpadł.

Za chwilę dostaną orgazmu – pomyślał Heinz i ruszył w stronę okrągłego stołu, skąd machało im kilka wyciągniętych dłoni. Dwie twarze znał. Jedna należała do Chłaściaka – policjanta o pożółkłych zębach, druga – do Baryki. Podkomisarz siedział w spranej dżinsowej kurtce.

Najwyraźniej wywabienie wymiocin ze skóry nie było taką prostą sprawą.

– Założyliśmy się, że go nie ściągniesz. – Chłaściak patrzył na Karloffa, starając się przekrzyczeć gwar.

– Witamy Brudnego Harry'ego! – Nieznany Heinzowi mężczyzna zaśmiał się. – Zawsze – dodał – chciałem mieć taką marynarę z łatami na łokciach.

– Zapraszam do Katowic. – Heinz starał się, by to, co mówi, brzmiało naturalnie. – U nas jest jeszcze kilka egzemplarzy. Nie to co tu. Zdaje się, że taka marynarka to w tym miejscu synonim obciachu.

Baryka roześmiał się. Reszta albo nie dosłyszała, albo nie rozumie słowa „synonim” – pomyślał Heinz.

– Rozmawialiśmy o seminarzystach – powiedział Baryka.

– No i? – Heinz niczym wytrawny bokser czekał na cios.

– Ja uważam – blondyna w okularach Heinz widział po raz pierwszy – że zrobił to ktoś ze współpracowników naszego świętej pamięci papy. Może nasz nowy kardynał?

Zaśmiał się, a jego orli nos niemal dotknął podbródka.

Freddie Kruger. Zupełnie jak Freddie Kruger – pomyślał Heinz. – Brakuje mu tylko starego kapelusza i noży zamiast palców. Ale jest tak samo odrażający.

– A tak poważnie – ciągnął Freddie – to chodzi o koks. Na sto procent. Torby foliowe, stymulacja erotyczna... Pamiętacie tego pisarza, co to go znaleźli w wannie z folią na głowie? Całkiem spory cmentarzyk można by wypełnić tymi, co chcieli się tylko podduścić po to, żeby im stanął. A koks też fajnie kręci, więc jedno z drugim się łączy. Jestem pewien, że ci dwaj wisieli kasę za dragi.

O tym nie pomyślałem... – Heinz popatrzył ze złością na blondyna. Ujrzał refleksy światła odbijające się w jego okularach.

– A tak całkiem poważnie – Heinz powiódł wzrokiem po obecnych – porozmawiajmy na inne tematy.

– Ma rację – przytaknął Karloff. – Jak myślicie, czy jutro makaroniarze nas przechytrzą i dostaną Euro?

– Spryt mafii to jedno, a nasza przebiegłość to drugie – wtrącił się milczący dotąd mężczyzna. – To my i Ukraińcy zorganizujemy mistrzostwa. Zakładamy się? Po pięć dyszek.

Pięciu mężczyzn sięgnęło odruchowo po portfele. Zupełnie jak rewolwerowcy na Dzikim Zachodzie. Patrzyli na Heinza.

– A ty? – zapytał Karloff.

Widział pięć par oczu skupionych na sobie.

– Nie znam się na piłce – mruknął. – Dokładnie – udawał, że liczy – od 1966 roku nie interesuję się piłką.

Wstał i poszedł po piwo. Zobaczył wiszące godło Polski Ludowej, z orłem bez korony. Kolejna knajpa w stylu retro.

Gdy czekał na piwo, przeczytał, że dziś daniem dnia były warzywa curry z ryżem basmati. Trzydziestolatek w czarnym swetrze – ten niższy – stał przy barze i wciąż wpatrywał się w aluminiowe rury.

Ktoś uderzył go w nerkę. Syknął z bólu i odwrócił się.

– Weź piwo i chodź – powiedział Karloff. – Poznam cię z kimś.

Podeszli do stolika, przy którym siedział trzydziestolatek w chitonie. Jego dłoń zdobił pierścień z bladozielonym kamieniem. Pierścień błysnął, gdy mężczyzna podniósł do ust pomarańczowego drinka.

– Poznajcie się. – Karloff sapnął, jakby zmęczył go dystans, który przebył między dwoma stolikami. – Jacek Latoszek jest reżyserem filmowym, pewnie o nim słyszałeś.

Przedstawił Heinza, który kiwnięciem głowy potwierdził, że nazwisko jest mu znane.

Reżyser uśmiechnął się, ukazując dwa rzędy nienaturalnie białych zębów.

Różowy szal, zielony pierścień, pomarańczowy drink, białe zęby. Można dostać kolorowego zawrotu głowy.

– Właśnie pracuję nad nowym projektem – reżyser zaczął mówić z szybkością karabinu maszynowego. – Bohaterem jest chłopak, który chce założyć rozgłośnię radiową wyspecjalizowaną w tematyce sportowej. Ale taką w stylu retro, gdzie będzie można jeszcze raz posłuchać transmisji meczu na Wembley albo walk polskich bokserów na olimpiadzie w Tokio. Taka tęsknota za przeszłością, za czymś, czego nie ma? Nadażacie?

Karloff próbował coś odpowiedzieć, ale Latoszek był szybszy.

– I chłopak odnosi sukces, ale ciągle mu mało. Tak naprawdę chce być rasowym reporterem. I znajduje temat. Znajduje wschodzącą gwiazdę kobiecego sprintu. Zakochuje się w niej, a potem okazuje się, że sprinterka jest transwestytą. I teraz nasz bohater nie wie, co ma zrobić, ujawnić tajemnicę i zrobić reportaż życia czy...

Upił łyk pomarańczowego drinka.

– To ma być taki obraz w stylu Almodóvara. Taka historia o poszukiwaniu tożsamości. Dobre, nie?

Heinz ponownie skinął głową. I po raz drugi w ciągu krótkiego czasu skłamał. Nigdy przecież nie słyszał o żadnym Latoszku,

reżyserskim pomociu, którego od Almodóvara dzieliły z pewnością lata świetlne.

– Niezłe – potwierdził Karloff z uznaniem. – My do ciebie też z taką niewielką tajemnicą.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął dwa zdjęcia.

– Może widziałeś kiedyś tych dżentelmenów? Może – zawiesił głos – zaprosiłeś ich kiedyś na casting?

Następca Almodovara milczał. Oczy zwięziły mu się, a z twarzy zniknął uśmiech, który, jak mogło się zdawać jeszcze minutę wcześniej, nie opuszczał reżysera w żadnej sytuacji.

Wpatrywał się w zdjęcia.

– Nie. Nie widziałem.

Popatrzył na Karloffa i znów odsłonił rząd równych zębów.

– Takie fajne mięska z pewnością bym zapamiętał – bezwiednie zwilżył usta językiem.

– Tyle że mięsko jest nieświeże. Bardzo nieświeże. – Karloff przekładał zdjęcia na stole z wprawą wróżki z kanału ITV – telewizji astrolożek, wróżów i chiromantów.

Latoszek znów stał się czujny, jak zwierzę wypłoszone z kryjówki.

– Zaraz, zaraz... Czy to nie są ci dwaj? – Chytrze wpatrywał się w Karloffa.

– Jacy dwaj? – Heinz postanowił włączyć się do rozmowy.

– To ci klerycy, prawda?

Policjanci popatrzyli na siebie.

– Ma się swoje dojścia, nie? – Latoszek przywołał dyżurny uśmiech. – Reżyser musi mieć swoje źródła informacji. Mówi się na mieście o jakimś szaleńcu i krucjacie wymierzonej w gejów. To prawda?

Popatrzył na policjanta, którego widział pierwszy raz.

– Znasz ich? – Heinz zignorował pytanie i ponownie wskazał na zdjęcie.

– Już mówiłem, że nie. Ale – Latoszek pochylił się w stronę rozmówców i czujnie się rozejrzał – sugerowałbym rozmowę z tym człowiekiem... Wyjął z kieszeni swoją wizytówkę i na odwrocie szybko napisał dwa wyrazy.

Karloff i Heinz spojrzeli na kartkę i popatrzyli na siebie. Karloff cicho gwizdnął.

– Dlaczego? – Teraz Karloff świdrował reżysera spojrzeniem. – Dlaczego – powtórzył – mamy rozmawiać o tej sprawie z jednym z najbogatszych Polaków? Gościem, o którym się mówi, że za kilka lat może być numerem jeden nie tylko w biznesie?

Latoszek skulił się.

– Mówi się, że lubi... by tak rzec... Że lubi wypożyczać seminarzystów. Ale tego nie wiecie ode mnie...

Nagle przy stoliku zrobiło się tłoczno. Trzydziestolatek w czarnym swetrze wrócił z dwiema chichoczącymi blondynkami.

– Jaco, te panie chciałyby z tobą porozmawiać. Mówiłem im o twoim nowym filmie. Chyba że – spojrzął na dwóch milczących mężczyzn – przeszkadzamy wam w czymś.

– Nie przeszkadzacie. – Latoszek odzyskał pewność siebie i obdarzył przybyłych jednym ze swoich wyćwiczonych uśmiechów afrykańskiego władcy z epoki postkolonialnej. Właśnie rozmawialiśmy o dwóch chłopakach, którym ktoś zafundował dodatkową Paradę Miłości. – Roześmiał się. – Swoją drogą to niezły pomysł na kolejny film.

Parada Miłości, skurwysynu.

Heinz wpatrywał się długo w twarz reżysera, jakby chciał ją dobrze zapamiętać. Ten pretensjonalny gnojek znalazł się już na jego liście życzeń. Liście ludzi do odstrzału.

Miał dosyć rozmowy z tym gnojem. I dosyć policyjnego towarzystwa. Poszedł do toalety i wysikał się. Gdy wracał do stolika, dobiegły go strzępy rozmowy. Nie miał wątpliwości, kto był jej bohaterem.

– To kompletny palant... Gołębiarz jeden... Za chwilę, jak rany Boga, wyjdę z siebie i stanę obok – usłyszał jak Freddie Kruger mówi do Baryki.

Heinz usiadł i wypił łyk piwa. Teraz wszyscy rozmawiali o piłce nożnej. Nagle znalazł się daleko stąd, w mieszkaniu w Opolu, wymalowanym w jasne, wesołe kolory. Przypomniawszy sobie, z jakim podziwem patrzyli na niego koledzy na podwórku, gdy jego ojciec, Józef Heinz, strzelał bramki dla Odry Opole. I moment, gdy nagle przestali się z nim bawić. Gdy stał się obiektem drwin. I kiedy zapłakana matka powiedziała, że muszą się wyprowadzić z mieszkania z dużymi oknami i zamieszkać w czymś, co chłopcu kojarzyło się z mysią norą. W tym samym czasie mały Rudolf zauważył, że jego ojciec, czołowy napastnik polskiej ligi, zazwyczaj obecny w domu od wielkiego święta, w ogóle przestał w nim bywać. Zniknął. Tak po prostu. Dopiero po kilku latach Rudolf zrozumiał, że ojciec wybrał życie w Niemieckiej Republice Federalnej i strzelał bramki dla nowej drużyny już jako Joseph Heinz. Tak, taki był rok 1966. Gomułka i partia nie mogli wybaczyć biskupom polskim listu do biskupów niemieckich, w którym hierarchowie „przebaczali i prosili o przebaczenie”. Niemiec rewanżyści, Werwolf i jego pogrobowcy, szpiedzy i dywersanci, a także śląscy piłkarze

wybierający twarde niemieckie pieniądze i nowe życie nie byli warci nawet splunięcia.

Tak czy inaczej powodów, by Heinz nienawidził piłki nożnej, było dość.

Freddie Kruger wstał od stołu i chwiejnym krokiem ruszył w stronę toalety. W tej samej chwili Heinz sięgnął po telefon.

– Halo – powiedział. Przeprosił gestem siedzących przy stole i wstał, by kontynuować rozmowę.

Freddie stał przy umywalce, gdy usłyszał gwar rozmów, szcęk szkła i strzępy muzyki wdzierającej się przez drzwi toalety, do której ktoś wszedł. Nie chciał mu się spojrzeć na przybysza. Czuł, że jest pijany. Mydło strącił na podłogę, zdjął okulary i położył na półce koło umywalki. Wsadził głowę pod kran. Ostatnie miesiące były jak koszmar, od którego wciąż nie mógł się uwolnić. Dziś znów miał ciężki dzień, nic nie jadł, za to pił już którąś godzinę z rzędu. Poza tym czuł nieznośny ucisk w żołądku. Zawsze się tak działo, gdy ktoś go irytował. A ten profiler z Katowic, wyniosły i dający do zrozumienia, że piłka nożna to prymitywna rozrywka dla idiotów, irytował go jak mało kto. Gołębiarz ze Śląska. Czuł, jak chłodna woda ścieka mu po włosach, łukiem omijając uszy.

Włożę głowę pod suszarkę do rąk, podsuszę – pomyślał – i wszystko będzie dobrze. Wrócę do równowagi i znów będę mógł pić.

Chciał unieść głowę znad umywalki, ale poczuł, że coś mu w tym przeszkadza. Wydawało mu się, że jakieś szczypce zaciskają się na jego karku. Odruchowo szarpnął głową, ale nie był w stanie jej podnieść i wyzwolić się z bezlitosnego uścisku. Z przerażeniem pomyślał, że jego twarz niebezpiecznie szybko zbliża się do białej

ceramiki. Nasadą nosa wyrznął o krawędź umywalki. Zanim ugięły się pod nim nogi, zobaczył, że woda znikająca w odpływie jest koloru czerwonego. Napis „Koło” rozplynął mu się przed oczami.

Heinz chciał zamówić taksówkę, ale Karloff uparł się, że sam go odwiezie. Siedzący przy stole wykruszali się szybko. Impreza skończyła się w momencie, gdy do stołu podszedł blondyn podtrzymywany przez Chłaściaka. Koszula Freddie'ego była zakrwawiona, a w opuchniętej twarzy prawie zginęły oczy.

– Znalazłem go w kiblu – powiedział żółtozęby policjant. – Najpewniej wywrócił się na mydle, które leżało na kafelkach. – Nie wiem, czy z nim w porządku. Czy nie ma wstrząśnienia mózgu... Wciąż gada o jakichś szczypcach...

Freddie opadł na krzesło.

– Mój nos – szeptał. – Mój nos. Mam złamany nos. Szczypce... Złapały mnie szczypce – bełkotał.

Kwadrans później Baryka odwiózł go na pogotowie.

Heinz i Karloff jechali w milczeniu. Nagle Heinz zauważył, że jadą w zupełnie innym kierunku, niż chciał. To nie była droga do hotelu na Pradze.

– Dokąd jedziemy?

– Spokojnie – wycedził Karloff. – Dojedziemy, gdzie chcesz. Coś ci tylko pokażę.

Jechali Żwirki i Wigury. Przy Mauzoleum Żołnierzy Radzieckich samochód skręcił w niewielką alejkę w prawo.

– Pokażę ci coś – powtórzył Karloff i wyskoczył z samochodu. Dopadł do stojącej najbliższej toyoty camry.

Dopiero teraz Heinz spostrzegł, że za toyotą w niewielkich odstępach stoi kilka samochodów, które jak na komendę włączyły światła i uruchomiły silniki. Wsiadł i zobaczył, że Karloff wyjmując z kieszeni legitymację, a następnie wyciąga z samochodu wąsatego mężczyznę. Kierowca toyoty miał spodnie spuszczone do kolan. Karloff rzucił go na maskę samochodu i sięgnął do kieszeni.

– Znasz ich? – warknął, pokazując zdjęcie. – Tylko raz dwa, gadaj! Na pewno ich znasz.

Mężczyzna trząsł się jak galareta. Samochody odjeżdżały jeden po drugim.

– Nigdy nie widziałem... Przysięgam... Nie znam ich...

– Fajna toyotka. Twoja, gnoju, czy służbowa? – Karloff szarpnął grubasa za poły marynarki. – Służbowa, prawda? Zobaczymy, gdzie pracujesz – szepnął teatralnie. – Ciekawe, jak twoi koledzy zareagują, kiedy się dowiedzą, że jesteś... no, wiesz kim... Cwelem. Pewnie poźółkną im od potu te cholerne białe kołnierzyki.

– O co chodzi... Proszę pana, nie mam z tym nic wspólnego, nigdy ich nie widziałem.

Minął ich amator joggingu. Gdy zrównał się z toyotą, spojrzął nerwowo na dwóch mężczyzn i przyspieszył kroku.

– To może zapytamy twojego kolegę. Zdaje się, że to nie jest twój służbowy kierowca. – Karloff podszedł do drzwi od strony pasażera.

– Wychodź.

Z samochodu wygramolił się potężny dwudziestolatek.

– Co jest, frajerze? – patrzył wyzywająco na Karloffa. – Już zadzwoniłem do ojca. Już macie przesrane. On jest... A zresztą sam

się przekonasz... A ten – wskazał na grubasa z wąsami – to mój pracownik.

– Frajerze? – Karloff szybkim ruchem przycisnął twarz ważniaka do przedniej szyby. Wydawało się, że jeszcze chwila, a wgniecie ją w szkło. Zniekształcone rysy i zduszony jęk chłopaka sprawiły, że Heinz ujrzał nagle twarze dwóch kleryków poddawanych strasznym męczarniom. Obraz dwóch martwych ciał rozpląnął się w mgnieniu oka i profiler znów widział tylko przerażonego dwudziestolatka.

– Siadaj, gruby, za kierownicę i włącz spryskiwacz do szyb, ale już! – Karloff wydał polecenie jakby był w transie.

Ma to przećwiczone – pomyślał Heinz. – Zabawia się tak nie pierwszy raz.

Kierowca podciągnął spodnie i ruszył do samochodu. Po chwili Heinz poczuł znajomy zapach detergentu.

– A teraz zlizuj! – powiedział do chłopaka, gdy na szybie osiadła pianista ciecz. – Następnym razem powiesz „frajerze”, to wleję ci do gardła kwas z akumulatora.

Chłopak szarpał się. W końcu Karloff cisnął go w stronę ogrodzenia, za którym rozciągały się ogródki działkowe.

– Jedziemy – skinął głową w stronę Heinza.

Wskoczyli do samochodu, jak gangsterzy uciekający z miejsca przestępstwa. Gdy ruszyli, Karloff włączył radio. Tina Turner śpiewała stary przebój.

– Private dancer... – zanucił Karloff, łamiąc tonację w kilku miejscach. – Tam przy mauzoleum takich prywatnych tancerzy jest wielu. Miejsce gejowskich schadzek równie popularne jak to przy Centrum Olimpijskim. Ktoś z tutejszych bywalców mógł znać tamtych dwóch chłopaków.

– Nie boisz się, że ten ważniak miał dużo czasu, by spisać numery?

– Przecież to samochód służbowy. – Karloff wzruszył ramionami.

– Myślisz, że stary, ktokolwiek to jest, będzie robił dym, kiedy się dowie, że jego synalek znalazł się w kłopotliwej sytuacji?

Jechali w milczeniu. Z radia dobiegały przeboje z lat osiemdziesiątych.

– Po co ten cały cyrk? – zapytał Heinz, gdy byli na wysokości stadionu Legii. – Po co ta cała ostentacja? To wyciąganie z samochodu i pokazywanie zdjęć...

Karloff zjechał na pas przeznaczony dla autobusów i zatrzymał się gwałtownie przy przystanku. Heinzowi wydawało się, że komisarz wpatruje się nie w niego, ale w jakiś punkt w oddali. Jakby był nieobecny.

Karloff wyłączył radio.

– Tylko tak do czegoś dojdziemy – szepnął. – Ty szukasz prawdy, a ja obiecałem, że ci pomogę. W granicach rozsądku. Twoje subtelne metody pasują może do powieści kryminalnych, ale nie do dzisiejszego świata. Prawdę trzeba wydrzeć! Wyszarpać! – Zacisnął pięść na kierownicy. – Rozumiesz?

Heinz nie odpowiedział.

Potem, gdy siedział w hotelowym pokoju, raz jeszcze analizował zachowanie Karloffa. Skąd ta agresja? Co chciał tą sceną powiedzieć? Że się różni? A może że właśnie jesteśmy do siebie bardzo podobni. Że przejrzał mnie na wylot.

Zdjął wisiołek z kostką do gitary. Wyjrzał przez okno. Była gorąca wiosenna noc.

Noc podobna do tej, gdy morderca przywłókł dwa ciała nad Wisłę. Co się działo wcześniej? Obaj klerycy mieli otarte nadgarstki i kostki, ale u jednego ślady były bardziej widoczne. Chłopak walczył, szarpał się, próbował się uwolnić. To ten miał lekko przeciętą skórę na policzku. Jakby od uderzenia. Dlaczego morderca go uderzył, skoro wybrał inną, znacznie bardziej okrutną metodę torturowania? Coś go wyprowadziło z równowagi. Ale co?

Chłopak musiał powiedzieć coś takiego, czego tamten nie ścierpiał. Nazwał go impotentem? Zaczął się z niego naśmiewać? Może pokazywał, że się nie boi? Zachowywał się zupełnie inaczej niż ten drugi. Ten drugi był potulny i pogodzony z losem. A hardy chłopak swoim zachowaniem psuł mordercy przedstawienie. Odebrał mu satysfakcję.

Heinz sięgnął po kartki i zapisywał uwagi.

Dlaczego jeszcze Rakowiecki mógł śmiać się z mordercy? Bo go znał. Znał go na tyle dobrze, by nie wierzyć w jego groźby.

Nie. Ten trop jest bez sensu.

Gwałtownym ruchem przekreślił notatkę.

Oczywiście można sobie wyobrazić, że morderstwo było dziełem przypadku. Gość przeholował, zabił jednego i nie miał już wyboru. Powiedzmy, że chciał tylko nastraszyć chłopaków. Ale musiałby wiedzieć, że przestraszy ich na dobre. Przerazi śmiertelnie, do tego stopnia, że obaj na przykład znikną. Wyjadą. Ten ktoś musiałby jednak wiedzieć, że jest nietykalny. Że nikt go nie ruszy w razie zawiadomienia o przestępstwie tak ciężkim, jak uprowadzenie, szantaż i tortury. Pomyślał o nazwisku, które reżyser Latoszek napisał im na kartce w Regeneracji. To musiałby być ktoś właśnie o takiej pozycji.

Ktoś nietykalny.

Może tak było, może nie. Heinz zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

Nie ma przecież pewności, żadnej pewności, że ślady na policzku to dzieło mordercy; mogły się pojawić na tysiąc sposobów. Ale jeśli zrobił je ten psychol, to mogą się okazać ważną wskazówką.

Zaczął odtwarzać notatki, które niedawno skreślił.

Może się okazać, że nie tylko morderca znał ofiary. Także i ofiary znały mordercę, a to wcale nie to samo. Oni mogli znać jego słabe punkty. A morderca domyślił się, że Rakowiecki i Leski wiedzą coś, co może wpędzić go w wielkie kłopoty. Kłopoty? Czego trzeba się bać, jaką trzeba skrywać tajemnicę, aby z zimną krwią torturować i udusić dwóch dwudziestolatków? Wreszcie – Heinz zanotował kolejne pytanie: czy torturując i zabijając, morderca uzyskał to, co chciał? Czy oni powiedzieli to, co chciał od nich usłyszeć? Wyszarpać. Wydrzeć – przypomniał sobie, co niedawno mówił Karloff.

Nie. Nie ma żadnego światełka w tunelu. Wciąż błędę po omacku.

Odruchowo skupiłem się na Rakowieckim. Bo przy nim znaleziono numer telefonu tego profesora. I to on nie poddawał się do końca. Ale jest przecież ten drugi chłopak. Ten uległy, który tak się bał, że w końcu puściły mu zwieracze – przypomniał sobie sekcję zwłok. To Leski był tym najsłabszym ogniwem w grze, w której kat styka się z ofiarą. Kat odcinał dopływ powietrza, tak jak odcina się prąd albo gaz za niezapłacone rachunki. A potem kolejny raz przywracał życie. Dawał nadzieję.

Heinz słyszał tę historię wielokrotnie z ust ludzi, którzy przeszli przez piekło tortur w czasach stalinowskich. W pewnym momencie dochodzi do tego, że ofiara zaczyna odczuwać wdzięczność i sympatię do kata. Zaczyna doceniać jego ludzkie odruchy. A kat czeka na ten moment. Wtedy właśnie pękasz. Zaczynasz sypać. Śpiewać. I wówczas dostajesz kolejną nagrodę. Jeszcze więcej czasu i jeszcze więcej powietrza. Więcej nadziei. I nagle, niepostrzeżenie, oprawca staje się prawie przyjacielem. Tym, który rozumie, że nikt by takich cierpień nie wytrzymał i że każdy by pękł. Tym, który współczuje. Gdyby zamienili się rolami, kat złamałby się już dawno. I z pewnością oprawca też odczuwa wdzięczność. Jest wdzięczny ofierze, że nie musi już torturować.

Takie myśli przychodzą do głowy, gdy ból zwycięża. Tak to działa.

Heinz wiedział, że im człowiek wrażliwszy, im inteligentniejszy, tym szybciej zracjonalizuje swoją sytuację. Dostrzeże cię szansy w sytuacji bez wyjścia. Najtrudniej złamać – tłumaczyli mu, gdy był jeszcze młodym policjantem – prymitywnego zakapiora. I zakochaną kobietę. Zatrzymujesz taką – mówili – na czterdzieści osiem godzin. Wydaje się, że to bardzo dużo czasu, ale minuta płynie za minutą, godzina za godziną, a ty nie masz nic. Szansa mija bezpowrotnie. Czterdzieści osiem godzin. I ani sekundy dłużej, by przekonać żonę czy kochankę, że facet, którego osłania, nie zasługuje na nią.

Wyprostował się na krześle. Za daleko odbiegł od sprawy. Przecież to nie jest przypadek zakochanej kobiety ani prymitywnego mordercy. O nie.

Litery stawały się coraz mniej wyraźne. Czuł, że znów sztywnieją mu palce. Wypuścił długopis z dłoni. Poczuł, że tętno przyspiesza.

Stres.

Pan Raynoud czekał na niego z komitetem powitalnym objawów.

Po kwadransie uporczywego zginania palców w pięść i prostowania znów mógł pisać. Objawy Raynouda powtarzają się ostatnio zbyt często. Heinz obiecał sobie, że rano zadzwoni do Instytutu Reumatologii przy Spartańskiej i umówi się na wizytę. Skoro już jest w Warszawie, dobrze byłoby wykorzystać tę okazję.

Zapalił papierosa i wrócił do zapisków.

Nikt, kto zabija z premedytacją, nie ryzykuje bez powodu. A przy wielogodzinnych torturach sprawy mogą wymknąć się oprawcy spod kontroli. Ktoś postronny może coś zauważyć albo usłyszeć. Trzeba być absolutnie zdeterminowanym, aby tak torturować ofiary. Trzeba mieć pewność, że one wskażą coś lub kogoś.

Heinz pokręcił głową. W tej układance musi być ktoś jeszcze oprócz zabójcy i dwóch ofiar. Mordercy chodziło o ustalenie, kim jest ten człowiek.

Teraz doskonale rozumiał, co wywołało w nim falę niepokoju. Jeśli jest w tym ktoś jeszcze, ktoś, kogo Rakowiecki i Leski znali, zbrodniarz da o sobie znać. Urządzi kolejne polowanie.

Za oknem usłyszał kobiecy krzyk. Nawet nie drgnął. Raz jeszcze w skupieniu przeczytał sporządzone notatki. Chyba że... Chyba że się zupełnie myli. Nie powinien lekceważyć faktu, że w tej robocie najprostsze hipotezy sprawdzają się w dziewięciu przypadkach na dziesięć. Morderca zwykle znajduje się w kręgu rodzinnym lub grupie najbliższych znajomych ofiary.

Odłożył długopis. Tak. Trzeba trzymać się realiów, te zaś są takie, że ma dwóch martwych kleryków, a seminarzystów, tym bardziej

chadzających parami, nie zabija się codziennie. Byli członkami jednej rodziny. Rodziny zamkniętej w murach kształcących księży.

Seminarium. Zajrzał do aktówki, a potem w laptopie otworzył mapę Warszawy i wpisał nazwę ulicy.

Nadszedł czas, by złożyć tam wizytę.

Było jeszcze coś, co nie pozwalało mu zasnąć.

Zapalił światło i sięgnął po kartkę. Zapisał dwa nazwiska. Jacek Latoszek i Jan Kunicki. Bękart Almodóvara i biznesmen, który ponoć lubił zabawiać się z klerykami.

Coś go niepokoiło.

Dlaczego Latoszek opowiedział o wpływowym przedsiębiorcy i graczu giełdowym? Przecież nie musiał. Chronił siebie? Miał dług wobec Karloffa? A może chciał odwrócić uwagę od kogoś innego? Albo od siebie.

Ktoś nietykalny.

Z pewnością nie pomyślałby o takim tropie, gdyby nie nadgorliwość pewnego reżysera.

Obudził go ból. Czuł się tak, jakby leżał w ciemnej bramie praskiego Trójkąta Bermudzkiego, kopany po głowie przez kilku nastolatków znudzonych już tą monotonną rozrywką. Nie pomógł środek przeciwbólowy reklamowany jako lek najnowszej generacji, uśmierzający ból punktowo.

Reklamowe sranie w banię.

Heinz włożył głowę do umywalki i odczuł ulgę, gdy kaskady lodowatej wody ściekały mu po brwiach, uszach i policzkach.

Wykonał kilka telefonów. Zadzwoił do Instytutu Reumatologii. Potem poprosił, by policjanci z komendy stołecznej umówili go na spotkanie w seminarium. Gdy załatwił wszystkie służbowe sprawy, wybrał jeszcze jeden numer.

– Odbierz, sukinsynu.

Odczekał, aż włączy się automatyczna sekretarka, i nacisnął przycisk z czerwoną słuchawką. Syn nie oddzwonił ani nie odpisał na żaden z esemesów. Pozostawianie kolejnej wiadomości nie miało sensu.

Przed południem był w Pałacu Mostowskich. Gdy wszedł na pierwsze piętro, usłyszał krzyk dobywający się z męskich gardeł oraz gromkie oklaski. Rozentuzjasmowani policjanci wypadali na korytarz i obściskiwali się.

– Wygraliśmy! Rany boskie, wygraliśmy! Słyszysz? – Chłaściak potrząsał ramionami Baryki.

– Co jest? – kwaśno zapytał Heinz. – Trafiłem na Dzień Uśmiechniętego Policjanta?

– Lepiej! – wrzasnął Chłaściak. – Przyznali nam organizację Euro 2012. Rozumiesz?

Chłaściak popatrzył na Barykę nieprzytomnym wzrokiem. Wyglądało jakby jeszcze nie wytrzeźwiał po nocnym pijaństwie.

– Młody, zorganizuj flaszkę, rozpijemy. Jest przecież co świętować. Przyłączysz się, Heinz?

– Nie. Ale pewnie będę miał dziś okazję, żeby się pomodlić. Zresztą – dodał, łapiąc zdumione spojrzenie Chłaściaka, który nie wiedział przecież o czekającej Heinza wizycie w seminarium – nieważne...

Bardziej wyczuł niż usłyszał, że ktoś za nim stoi.

– Szczęśliwy dzień, prawda Heinz? – Wydało mu się, że w głosie inspektora Osucha słyszy źle skrywaną złośliwość. – Pozwól ze mną na chwilę.

Usiedli w pokoiku wielkości windy towarowej w starym bloku. Zza drzwi cały czas dobiegały ożywione głosy i dało się wyczuć wzmożony ruch na korytarzu. Jedyne źródłem światła była lampka na stoliku umocowanym przy narożnych ścianach.

– Nazywamy to miejsce Jaskinią Klaustrofoba. – Osuch wykonał ruch ręką jak przewodnik oprowadzający turystów. – U mnie w gabinecie jest remont, a w pokoju zebrań narada, co zrobić, żeby poprawić wizerunek policji.

– Ja bym po prostu złapał tego skurwysyna, który zabił tych dwóch chłopaków. Wtedy o wizerunek nie mamy się co martwić.

Twarz Osucha nie zdradzała żadnych emocji. Mogło się zdawać, że obaj wsłuchują się w ożywione głosy za drzwiami, jakby stamtąd dochodziły najpiękniejsze dźwięki rodem z filharmonii.

Chłaściak nie jest jedyny. Widocznie inni też kołują flaszkę – pomyślał Heinz.

– Szczęśliwy dzień mamy – inspektor w końcu przemówił.

– Wezwał mnie pan specjalnie do tej waszej Jaskini Klaustrofoba, by podzielić się swoim szczęściem? – Heinz czuł, że wzbiera w nim irytacja. – Wybacz pan, ale...

– Szczęśliwy dzień, Heinz, bo wreszcie mamy ślad. Mocny trop w naszej sprawie.

Tym razem Heinz uważał, by nie zdradził go żaden odruch.

– Namierzyliśmy – ciągnął Osuch – grupę neofaszystów, którzy na swojej stronie internetowej grożą, że wytepią czarnych, Żydów i – uwaga! – inspektor podniósł palec – gejów. Potraktowaliśmy rzecz poważnie i połączyliśmy te groźby z informacją, że pod jednym z klubów dla homoseksualistów trzy tygodnie temu pobito, wyobraź sobie, księdza...

– Sam złożył zawiadomienie o pobiciu? – z powątpiewaniem zapytał Heinz.

– Sam nie mógł. Pobili go tak, że szczękę miał drutowaną. Pewnie sam by zawiadomienia nie złożył. W końcu to ksiądz. Ale są tacy, którzy dbają, by wokół klubu było bezpiecznie, rozumiesz? Aby nie odstraszyć bogatych klientów. Tak czy inaczej – Osuch popatrzył na Heinza – wiele wskazuje na to, że księżulka pobili wielbiciele rasy panów i podobnych bzdur. Tak więc – inspektor klepnął dłonią w obudowę lampy – ślad jest mocny. I w dodatku – tu popatrzył z triumfem – bez profilerskich sztuczek.

Światło lampy falowało, na przemian powiększając i zmniejszając cień wokół głowy inspektora.

– A teraz – Osuch uniósł palec wskazujący – gwóźdź programu.

Czekał na reakcję. Bez powodzenia.

– Ten pobity ksiądz trzy lata temu prowadził zajęcia w pewnym seminarium duchownym. Zgadnij w którym?

Sztruksowa marynarka nagle zaczęła uwierać Heinza.

– Gratuluje, inspektorze – powiedział. – To rzeczywiście jest coś. Jak się ten ksiądz nazywa?

– Kowalski.

Heinz rozłożył ręce.

– Nikt, kto występuje w policyjnych papierach, nie może się tak nazywać.

– Poza Kowalskim. – Heinzowi zdawało się, że usłyszał szyderczy ton.

– Myślę, że tych neofaszystów przyciśniemy i będą śpiewać cienko – mówił dalej inspektor. – Ale mam też dobrą wiadomość dla ciebie. Masz ten służbowy samochód, który chciałeś. Jeden z moich chłopaków – popatrzył uważnie na Heinza – dość nieszczęśliwie rozkwaśił sobie nos i teraz nie będzie potrzebował bryki.

Później, gdy stał na korytarzu, odtwarzał w myślach rozmowę z Osuchem. Usłyszał brzęk kluczyków i odwrócił się. Stał przed nim Freddie Kruger. Z opatrunkiem przysłaniającym prawie całą twarz wyglądał jak Michael Jackson po kolejnej operacji.

– Wyglądasz jak Michael Jackson po kolejnej operacji. Rany, człowieku, co ci się stało?

Freddie podał kluczyki.

– Tylko dbaj o higienę – Heinz usłyszał seplenienie stłumione gazą. – Nie pobrudź siedzenia, myj się codziennie i zmieniaj ubranie, bo jak zobaczę, że jest brudno, będziesz musiał czyścić.

W milczeniu patrzyli sobie w oczy.

– Trochę radości, stary. Wyluzuj. Mamy dziś Dzień Uśmiechniętego Policjanta – powiedział Heinz. – Uśmiechnij się. Jeśli możesz – szepnął, wpatrując się we Freddie'ego oczami zimnymi jak dwie bryłki lodu.

Ostry zapach detergentów, pasty do podłogi i czegoś mdławego, o delikatnej migdałowej woni, przemieszanego ze stearyną.

Zawsze było tak samo. Wtedy, gdy Heinz krótko mieszkał w internacie przy liceum katolickim, ten zapach wgryzł się w jego ubranie. Pewnie czuł podobny już wcześniej, kiedy był ministrantem.

Niektóre zapachy są stałe jak refren bluesa. Nie zmieniają się mimo upływu lat.

Biały opel dojechał do Placu Wilsona i skręcił w ulicę Krasińskiego. Seminarium powinno być gdzieś tu po prawej stronie. Mniej więcej na wysokości kościoła, w którym ksiądz Popiełuszko odprawiał w stanie wojennym msze za ojczyznę. Pamiętał, że w jednej z bocznych uliczek znajdował się kiedyś klub, w którym w latach osiemdziesiątych był na kilku koncertach rockowych. Zapamiętał, że raz słyszał tam zespół ze Szwajcarii grający industrialnego rocka. Szwajcarzy nie mieli umiaru. Widocznie tam, skąd pochodzili, nikt nie chciał już ich słuchać. Dwie i pół godziny męczarni w towarzystwie dziewczyny, która obiecywała więcej, niż dała. Tyle o tym.

Budynek seminarium odnalazł bez trudu. Niezgrabna szara bryła, gdzieś tam tylko poprzetykana małymi okienkami z witrażami

w stylu Wyspiańskiego. Heinz zastanawiał się, czy te okienka, będące czymś w rodzaju kaprysu architekta, zaprojektowano tak, by jasno dać wszystkim do zrozumienia, że wkraczając w te mury, odcinamy się od świata. Jeśli nawet tak miało być, to – Heinz przypomniał sobie Rakowieckiego i Leskiego i ich markowe ubrania – praktyka zaprzeczyła teorii.

Szara fasada. Budynek nierzucający się w oczy. Sama dyskrecja. No, zobaczymy.

Z trudem otworzył masywne drewniane drzwi. Odgłos przeraźliwie skrzypiących zawiasów nie wzbudził niczyjego zainteresowania. Ciekawe, czy celowo tych drzwi nie oliwią? Aby było słyhać każde wejście i wyjście. W niewielkim oszklonym pudełku, które w niezmienionej formie służy od niepamiętnych czasów wszystkim portierom we wszystkich szkołach i uczelniach, nikogo nie było. Pustka. Grobowa cisza i pustka. Na półpiętrze natknął się na witraż przedstawiający najpewniej scenę walki świętego Jerzego. Wspiął się po schodach i wyszedł na nadspodziewanie szeroki korytarz. Drzwi sal lekcyjnych i pokoje wykładowców znajdowały się po lewej stronie, przeciwną zajmowały przestronne okna, których by się tu nie spodziewał. Całość przypominała szkołę molocha. Jedną z tych podstawówek budowanych w rozrzutnych latach siedemdziesiątych, gdy liczył się socjalistyczny rozmach i przewyciężono minimalizm z poprzedniej dekady, gdy na tysiąclecie państwa polskiego powstawały szkoły, w których upychano tysiące uczniów. Podszedł do okna. Ku swojemu zdumieniu zobaczył wewnętrzny dziedziniec, zieleniące się krzewy, bluszcz na szarym murze i kilka młodych, prostych, pnących się do nieba brzózek. Tutaj tych drzew nie spotka nic złego.

Nie pokrzywi ich wiatr. Tak samo powinno być z klerykami. A przecież było inaczej. W północnym narożniku dojrzał kapliczkę Matki Boskiej, bliźniaczo podobną do tej, którą zapamiętał z ulicy Ząbkowskiej. Zdziwiło go, że na patio jest tylko jedna ławeczka, najwyżej dla trzech osób.

Nagle w polu widzenia pojawiły się trzy sylwetki. Odruchowo cofnął się o krok, by nie zostać zauważonym. Mężczyzna szedł zwirową ścieżką szybkim, sprężystym krokiem, żywo gestykułując. Łysa głowa osadzona na masywnym karku kojarzyła się z zapaśnikiem, rugbystą lub ochroniarzem. Policzki zdobił kilkudniowy siwy zarost. Mężczyzna kontrastował wyglądem ze z trudem dotrzymującymi mu kroku rumianymi młodzieńcami w sutannach. Jeden z nich trzymał w dłoni kraciastą chustkę, którą wycierał pot z szyi i czoła. Co pięć, siedem metrów starszy mężczyzna przystawał, czekał na współtowarzyszy i coś im tłumaczył. Heinz zmrużył oczy. Zapaśnik miał czarną marynarkę i koloratkę, a ci dwaj byli chyba za młodzi, by być księżmi.

Odwrócił się od okna, gdy usłyszał odgłos zbliżających się kroków. Stał przed nim młody brunet w sutannie.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Heinz nie odpowiedział.

– Pan w jakiej sprawie? – niepewnie zapytał młodzieniec.

– Jestem umówiony z księdzem rektorem – szepnął Heinz niczym na spowiedzi.

Brunet wykonał zapraszający gest ręką i ruszył przed siebie, a Heinz podążył za szeleszczącą sutanną. Gdy byli kilka metrów od pokoju rektora, młodzieniec odwrócił się, znów bez słowa wskazał ręką drzwi i odszedł. Gabinet znajdował się przy bocznych

schodach, obok sali, z której dobywały się zawodzenia jak na kiepskim filmie grozy. Heinz upewnił się, że na korytarzu jest pusto, i przystawił ucho do drzwi. *Galia est omnis divisa in partes tres*. Ciekawe, że w seminarium duchownym czytają Juliusza Cezara. Jeszcze raz się rozejrzał. Pośrodku korytarza stał ogromny krzyż, obok na ścianie umieszczono obraz z podobizną Jana Pawła II na głównym planie. Zawrócił spod drzwi i podszedł do malowidła. Zdawało mu się, że ogromna postać papieża rozsadzi ramy inkrustowane jakimiś połączanymi purchlami. Ojciec święty gładził po głowie małą dziewczynkę, w tle widniał jakiś rynek, w oddali jaśniały zaśnieżone górskie szczyty, a na błękitnym niebie wzlatywały gołębie. „Bogu dziękujcie, Ducha nie gaście” – Heinz przypomniał sobie hasło jednej z pielgrzymek Jana Pawła II do Polski, uwiecznione nad obrazem.

Jak w podstawówce. Zupełnie jak w molochu, do którego chodził. Tyle że tam, na obrazie podobnych rozmiarów, widniał socjalista Ludwik Waryński dzierzący w ogromnej dłoni, jakiej nie powstydziliby się bokser wagi ciężkiej, pismo „Proletaryat”.

Wrócił pod drzwi rektora i już miał zapukać, ale powstrzymał ten grzecznościowy odruch. Nie będzie pukał ani o nic prosił. Przyszedł uzyskać informacje niezbędne do odnalezienia sprawcy przestępstwa. Nacisnął klamkę i tym razem drzwi otworzyły się bezgłośnie. Wszedł do środka. Usłyszał jakąś pieśń religijną dobiegającą z radia, zdezorientowany stanął przy kredensie, na którym stała pokryta kurzem paprotka, i czekał. Zobaczył drzwi prowadzące do przyległego pokoju i usłyszał szelest. Odruchowo przywarł do ściany kredensu.

– Powtórz jeszcze raz – rozległ się niski głos.

– Było tak, jak mówię. Wczoraj i dziś Antek ostatni wychodził po mszy świętej.

– To mógł być przypadek...

– To nie przypadek. Tydzień temu, gdy odbywaliśmy jałmużnę duchową i wymienialiśmy złe cechy Mateusza...

– A ma on ich bez liku – zawtórował bas.

– A ma on ich bez liku, dobrze ksiądz to ujął – Heinz usłyszał nerwowy szept. – Więc wtedy Antek jako jedyny nie wymienił żadnej złej cechy...

Zapadła cisza. Heinzowi zdawało się, że rozmówcy stanęli w drzwiach dzielących pokój od gabinetu.

– Miałbym do mistrza jedną sprawą...

– Mów, chłopcze.

– Mam w tym semestrze kłopoty z łaciną i czy mistrz...

Heinz chrząknął i wyszedł zza kredensu. Starszy mężczyzna drgnął i szybko usiadł przy masywnym mahoniowym biurku.

– Przepraszam – powiedział Heinz. – Byłem umówiony z księdzem rektorem.

Mężczyzna wykonał ruch nadgarstkiem i skierował palce w stronę drzwi. Towarzyszący mu chłopak ruszył do wyjścia. Poruszał się szybko i niemal bezszelestnie. Prawie jak cień. Albo jak szczur, do którego upodabniały go zapadnięte policzki.

Zupełnie jakby posiadał umiejętność przenikania przez drzwi – pomyślał Heinz.

Z małego głośnika dobiegło solo instrumentów klawiszowych.

– To ksiądz Majda śpiewa. Nasz rektor. – Czterdziestolatek o gęstych, kręconych włosach przywodzących na myśl Krzysztofa Krawczyka sprzed lat, tyle że bez wąsów, wskazał na radio,

najwidoczniej połączone z odtwarzaczem płyt kompaktowych. – Płyta – dodał z dumą – nosi tytuł Rozmyślenia o Bogu i Ojczyźnie Pan przyszedł po te zamówione dwadzieścia egzemplarzy?

– Niezupełnie. Jestem z policji – pokazał legitymację. – Nazywam się Heinz. Pisze się tak samo jak ten ketchup.

Brunet wpatrywał się w Heinza, jakby się zastanawiał, jak ma zareagować, po czym nagle klasnął w dłonie.

– A ja nazywam się Jerzy Jurek. Przyjaciele mówią, że jestem człowiekiem o dwóch imionach. Inni powiadają, że jestem facetem bez nazwiska – roześmiał się. – Tak czy inaczej nie jestem rektorem.

– Więc kim ksiądz jest?

– Niektórzy nazywają mnie mistrzem duchowym – Jerzy Jurek popatrzył uważnie na Heinza – inni ojcem duchowym...

– Ksiądz wybaczy, ale nie bardzo się orientuję w tutejszej hierarchii... – Heinz podrapał się w policzek.

– To zrozumiałe, jest pan policjantem. Otóż – rozłożył ręce – jestem po trosze psychologiem, po trosze przewodnikiem. Takim kompasem, który ma dopomóc w kształtowaniu formacji duchowej naszych studentów i ostatecznie doprowadzić ich do święceń kapłańskich. Po prostu przez sześć lat studiów w seminarium rozmawiam z tymi młodymi ludźmi. Rozmawiam, rozmawiam, rozmawiam...

– To zupełnie jak ja. – Heinz przygładził włosy na skroniach.

Przewodnik duchowy drgnął, jakby użądlił go jakiś złośliwy owad.

Z trzeszczącego głośnika dobiegała kolejna piosenka w stylu przebojów Piotra Szczepanika i podobnych wykonawców z lat sześćdziesiątych. „Bez Boga usycha drzewo ojczyzny, bo kto nie

wierzy w Jezusa blizny”... – dotarł do Heinza pełen patosu śpiew nadużywający efektu wibrata.

– Czyli dużo ksiądz wie o swoich podopiecznych... – zapytał na tyle głośno, by zagłuszyć śpiewającego rektora.

– Można powiedzieć, że wiem wszystko... – Jurek zamilkł, po czym roześmiał się. – Żartuję oczywiście. Tak naprawdę im więcej od nich słyszę, tym bardziej się upewniam, że znam ich bardzo, bardzo słabo... – Pokiwał głową i wziął do ręki okładkę płyty leżącą na stole. Heinz dostrzegł fioletowe tło i mężczyznę w szatach liturgicznych z mikrofonem w ręku.

– Porozmawiajmy o Rakowieckim i Leskim. Co ksiądz może o nich powiedzieć?

Jurek spojrzał na Heinza.

– Jestem do głębi wstrząśnięty...

– A poza tym?

– Wszystko, co mogłem powiedzieć, opowiedziałem już pańskim kolegom... Poza tym rektor żądał, aby każde przesłuchanie odbywało się w jego obecności.

Heinz zmrużył oczy.

– To nie jest formalne przesłuchanie. Na razie nie jest to przesłuchanie. – Chciał, by Jurek wyczuł w jego słowach groźbę. – Proszę zapomnieć przez chwilę, że byli tu już moi koledzy, i opowiedzieć wszystko jeszcze raz.

Ojciec duchowy zacisnął wargi.

– Co to znaczy, że powiedział ksiądz wszystko, co mógł? – Heinz czuł, że traci cierpliwość.

Był zły na siebie. Przyszedł porozmawiać o ofiarach. Ale tutaj żaden z jego rozmówców nie straci pewności siebie. Są na swoim

terenie i każdy z nich w tych murach czuje się jak ryba w wodzie. Nie można tego dodatkowo ułatwiać. Nie można tytułować tego faceta księdzem. Błąd. Głupi błąd.

– To znaczy, że nie mogę powiedzieć tego, co wiem od moich studentów. Ojca duchowego także obowiązuje tajemnica spowiedzi.

– Nawet wtedy, gdy chodzi o podwójne morderstwo popełnione przez sadystę?

– Nawet wtedy.

Heinz westchnął i nagle gwałtownie się pochylił.

– Wie pan, że Rakowiecki i Leski byli gejami?

Jurek drgnął.

– Odmawiam odpowiedzi.

– Czyli wiedział ksiądz, a mimo to tolerował ich pobyt w seminarium? – Heinz naciskał. Celowo znów zmienił formę i nazwał go księdzem. Niech poczuje wyrzuty sumienia, że jako duchowny nic w tej sprawie nie zrobił.

– Odmawiam odpowiedzi – skulił się mężczyzna.

– Wiedział ksiądz, że są męskimi dziwkami i puszczają się za niemałe pieniądze. A mimo to...

– Proszę posłuchać! – Jurek krzyknął. – Nie mogę odpowiedzieć na te pytania. Obowiązuje mnie – zaakcentował – tajemnica spowiedzi. Mogę natomiast powiedzieć panu coś innego: obaj byli dobrymi kandydatami na księży. Leski interesował się teologią i był prymusem, Rakowiecki wyróżniał się przebojowością, może nieco zbyt spektakularną jak na seminarium, ale z pewnością obdarzony był cechami, które, gdyby zostały dobrze ukierunkowane, mogłyby po latach przerodzić się w charyzmę, rozumie pan?

Heinz czekał, co jeszcze powie.

– Mogę też dodać, że w piątym semestrze Leski opuścił się w nauce, stał się jakiś nerwowy. Rozmawiałem z nim o tym...

– I co?

Jurek popatrzył Heinzowi w oczy.

– Obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi.

– Gratuluję dyskrecji – warknął Heinz. – Niech was diabli z tą całą poufnością!

Dopiero teraz dostrzegł, że ktoś przysłuchuje się ich rozmowie.

– Diabła bym w to nie mieszał – odezwał się cicho. – Wszak jesteśmy w seminarium.

Głębokie zmarszczki wokół oczu i plamy na grzbietach dłoni świadczyły o tym, że był zapewne dużo starszy od księdza Jurka. Krótko przystrzyżone włosy i opalenizna sprawiały jednak, że wyglądał o wiele młodziej. Heinz dostrzegł świetnie skrojony czarny garnitur i nienaganną biel koloratki oraz wyglansowane eleganckie buty.

– Dobrze, że ksiądz rektor przyszedł – wyszeptał Jurek.

Heinz raz jeszcze spojrzął na twarz mężczyzny, a następnie na zdjęcie zdobiące okładkę płyty, która wciąż leżała na stole. Nie mogło być wątpliwości, że ma do czynienia z tym samym człowiekiem, choć na fotografii wyglądał na jeszcze młodszego.

Pewnie dał zdjęcie sprzed kilku lat i jeszcze je komputerowo obrobił.

– Też się cieszę, że ksiądz rektor przyszedł – postarał się, co nie było łatwe, aby jego głos zabrzmiał ciepło. – Nazywam się Heinz, byliśmy umówieni.

Popatrzył na głośnik. Dyskretny, ale dobrej klasy. W sam raz dla eleganckiego rektora.

– A skoro już poznaliśmy się osobiście, to czy możemy wyłączyć tę muzykę?

Na korytarzu rozległ się dzwonek.

– Zanim porozmawiamy, zapraszam na obchód – powiedział rektor i zapiął guziki marynarki. – Jak mówi przysłowie: pańskie oko konia tuczy.

Rektor strzepnął z marynarki niewidoczny paproch. Wyglądam przy nim jak szmaciarz – pomyślał Heinz. Korytarz wypełnił się seminarzystami. Niektórzy nie różnili się ubiorem od swoich rówieśników przemierzających w tej chwili ulice miasta, inni – jak domyślił się Heinz, ci ze starszych roczników – nosili sutanny. Rozglądał się za Dieslami i Pumami, ale na nikim ich nie dostrzegł.

Majda rozdawał uśmiechy, kilka razy też nieznacznie się odkłonił. Heinz patrzył na młodych mężczyzn spacerujących korytarzem i zmierzających w stronę patio. Coś go w tym widoku uderzyło, miał jakieś niejasne przeczucie, jakąś intuicję, ale nie potrafił nadać jej konkretnego kształtu, zamienić w hipotezę czy pytanie.

Zatrzymali się przy krucyfiksie i ogromnym obrazie z podobizną Jana Pawła II.

– Ten dzwonek na przerwę to zupełnie jak w szkole – powiedział w końcu Heinz.

– Mój autorski pomysł. – Rektor odkłonił się starszemu mężczyźnie, pewnie jednemu z wykładowców. – Lubię, gdy

w seminarium wszystko działa jak w zegarku. Czuję się, by tak rzec, zegarmistrzem, który reguluje ten mechanizm, czyści tryby...
Rozumie pan?

Heinz skinął głową.

– Zresztą... – Chodź no tu, chłopcze – rektor kiwnął palcem na jednego z przechodzących kleryków.

Chłopak zatrzymał się i pobladł, po czym podszedł do księdza Majdy, którego twarz przecinał dobrotliwy uśmiech.

– Porządek dnia, szybciotko! – zakomenderował Majda.

Student wyprężył się niczym żołnierz i wyrecytował:

– Piąta trzydzieści – pobudka, szósta trzydzieści – modlitwy i medytacja, siódma – msza święta, ósma – śniadanie, od ósmej trzydzieści – zajęcia dydaktyczne, czternasta – Anioł Pański, rachunek sumienia. Czternasta trzydzieści – obiad...

– Starczy – przerwał rektor. – Dziś środa. Co o osiemnastej?

– Nieszpory.

– Dziewiętnasta piętnaście, wtorek?

– Próba chóru i zajęcia z emisji głosu.

– Dobrze! – Duchowny raz jeszcze się uśmiechnął. – Idź już, carissime.

Carissime Jak ładnie.

Rektor odwrócił się w stronę Heinza.

– Wprowadziłem dzwonki, bo jestem perfekcjonistą. Lubię robić coś od początku do końca. Tej zasady trzymam się i w seminarium, i wtedy, gdy nagrywam płyty. – Ukłonił się starszemu mężczyźnie w sutannie.

– To nasz spowiednik.

– Myślałem, że od spowiedzi jest ojciec duchowy...

– To dwie zupełnie różne funkcje. – Rektor uśmiechnął się. – U nas też obowiązuje specjalizacja. Wy macie jednych od drogówki, innych od zabójstw, a my... – umilkł i znowu się do kogoś uśmiechnął.

Od tego nadmiaru sztucznej dobroci człowiekowi robi się niedobrze.

– A wracając do dzwonków. niektórzy zachowują się tak, jakby nigdy nie wynaleziono zegarka. Na przykład profesor Rutger.

Profesor Rutger. To numer jego telefonu komórkowego znajdował się na kartce znalezionej u jednego z zamordowanych.

– Ja wiem, że bibliistyka to królewski przedmiot, ale... sam pan rozumie... Nie można przeciągać zajęć kosztem innych przedmiotów.

Heinzowi zdawało się, że w głosie rektora usłyszał drwinę. Pokiwał głową.

Rozległ się dzwonek i korytarz w jednej chwili opustoszał. Nagle coś zakłóciło ciszę. Ktoś biegł po schodach. Młody chłopak.

Ujrzał rektora seminarium i zwolnił.

– Przepraszam, że przeszkadzam – dyszał. – Przed budynkiem stoi samochód, taki stary biały opel, i włączył się w nim alarm. Chyba koło jest przebite.

– Kurwa mać! – warknął Heinz, a rektor odruchowo uniósł ramiona, jakby chciał przesłonić nimi uszy. Heinz zaczął nerwowo szukać kluczyków i pilota. Jak zwykle nie mógł ich znaleźć. Wyciągnął z kieszeni klucze do hotelowego pokoju, dziesiątki karteczek, bilet kolejowy i zużytą chusteczkę higieniczną, która zalegała w marynarce od późnej jesieni. Wszystkie rupiecie cisnął na biały podest przy krzyżu.

– Może pomogę panu z tym samochodem... – zaproponował kleryk.

– Wracaj na zajęcia – ostro powiedział rektor. – Znajdę kogoś do pomocy. – Ruszył w stronę swojego gabinetu.

W wewnętrznej kieszeni marynarki Heinz znalazł wreszcie kluczyki i pilota do autoalarmu. Popędził na dół. Po chwili samochód przestał wyć.

– Kurwa! – wrzasnął Heinz, patrząc z bezsilną wściekłością na przebitą oponę. Kopnął w felgę, a potem otworzył bagażnik. Zapasowego koła nie było. Zaklął raz jeszcze. Przeszło mu przez głowę, że to pewnie sprawka Freddiego Krugera. Specjalnie wyjął koło zapasowe, pojechał za nim i uszkodził mu samochód.

Zachowuję się jak paranoik – pomyślał.

Sięgnął po komórkę, ale jej nie znalazł. Oczywiście także i telefon pozostawił na podeście pod krzyżem.

Nie panuję nad sobą – szepnął i wbiegł po schodach.

Telefon, klucze i wszystkie śmieci leżały na swoim miejscu. Brakowało jedynie biletu kolejowego z Katowic do Warszawy. Biletu, który już dawno powinien był rozliczyć w księgowości komendy stołecznej.

Ktoś wziął wykorzystany bilet, ale telefonu nie ruszył. Cuda jednak się zdarzają. Zwłaszcza w seminarium – pomyślał Heinz i wybrał numer od Karloffa.

Mężczyzna zgniótł w dłoni paczkę po mentolowych red white'ach i z wściekłością cisnął ją między drzewa. Już od godziny przechadzał się między dwoma punktami orientacyjnymi: tablicą

z mapą terenu oraz regulaminem składającym się z samych zakazów i znakiem drogowym zabraniającym wjazdu nieupoważnionym samochodom. Miejsca te dzieliło pięćdziesiąt metrów; niemożliwe, by coś przeoczył albo czegoś nie usłyszał. Na pobliskim drzewie usiadły dwa ptaki i przyglądały mu się ciekawie. Zmrużył oczy, aby lepiej je widzieć, ale nie mógł rozpoznać gatunku. W innej sytuacji próbowałby rozwiązać tę ornitologiczną zagadkę, dziś jednak jego myśli pochłonięte były czymś zupełnie innym.

Może jednak wybrał złe miejsce? Mogli się przecież umówić przy głównej drodze prowadzącej w głąb lasu, tam gdzie podjeżdżały samochody z rozchichotanymi młodymi parami i gdzie przychodzili mężczyźni podobni do niego, czasem samotnie, niekiedy w grupkach, z nieodłącznymi reklamówkami. Widywał tu torebki z Lidla, Leader Price'a, niekiedy z Media Marktu, sporadycznie nawet trafiał się EMPiK. Bez względu jednak na markę uwidocznioną na torbach, ich zawartość była zdumiewająco podobna. Reklamówki wypełnione były butelką wódki, najczęściej „małpkami” o zawartości ćwierć litra, kromką chleba i kawałkiem taniej kiełbasy, kilkoma parówkami lub pasztetową. Przy pierwszym rozwidleniu drogi młodocianych kochanków, pragnących spełnienia na łonie natury, i amatorów ognistej wody na świeżym powietrzu rozchodziły się: pierwsi skręcali w lewo, drudzy wybierali niewielki wzgórek po prawej stronie, za którym można było rozłożyć przyniesione wiktuały.

Podmuch wiatru sprawił, że torba, którą położył u swych stóp, zaszeleściła gwałtownie. A jednak różnił się od tych, którzy przychodzili tu się napić. Przygniół reklamówkę butem, żeby nie

odfrunęła. Pod stopą wyczuł zwinięty sznurek i coś twardego. Nie miał wątpliwości, że natrafił na rękojeść dużego noża.

Wyjął komórkę i spojrzął na wyświetlacz. Godzina i piętnaście minut. Kusiło go, by zadzwonić i sprawdzić, co się dzieje, ale się powstrzymał. Wprawdzie od wczoraj ma nowy starter kupiony w miejscu odległym od jego mieszkania, ale nie będzie ryzykować. Poczeka. Tyle się w życiu naczekał, że i tym razem wytrzyma. Nagle uświadomił sobie, że w torbie jest nie tylko sznur i nóż, ale też coś innego, z natury bardzo delikatnego. Podniósł reklamówkę i zajrzał do niej. Dwa cienkie drewniane patyczki skrzyżowane ze sobą nie pękły pod naciskiem stopy.

Mam szczęście. Wszystko jest w porządku. Uśmiechnął się sam do siebie. Uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia.

Funkcjonariusz, który przyjechał z Karloffem, z trudem odkręcił zardzewiałe śruby podtrzymujące uszkodzone koło.

Heinz siedział w gabinecie rektora seminarium i pił mocną kawę. Zapytał, czy może zapalić. Odnalazł zgniecioną paczkę w tylnej kieszeni spodni, zapalił i zaciągnął się łapczywie.

– Może to pana uspokoi – usłyszał.

Majda wstał i po chwili z charczącego głośnika popłynęły dźwięki znanej już Heinzowi piosenki. Filizanka drgnęła w dłoni Heinza i kilka kropel czarnego płynu wsiąknęło w jego spodnie.

– Podoba się panu? – zapytał rektor.

– Wolę bluesa. Takiego Roberta Johnsona na przykład. O jego muzyce mówili, że ma jakąś szatańską moc. – Popatrzył znacząco na Majdę. – Gość śpiewał o diable, alkoholu i, ksiądz wybaczy, o dziwkach... Zginął w niewyjaśnionych okolicznościach.

– Bohater w sam raz dla policjanta – skwitował duchowny.

– A jeśli chodzi o pańską muzykę, to... – Heinz zawiesił głos – ciekawa jest kolorystyka tej okładki – wskazał palcem.

– Fiolet. Adwentowy kolor. Przed Bożym Narodzeniem płyta świetnie się sprzedawała w wielu parafialnych księgarniach i sklepikach. Przed Wielkanocą zaprojektowaliśmy już inną okładkę. Tak czy inaczej mam mnóstwo roboty. Płyty, rozprawa

habilitacyjna... Cały dochód ze sprzedaży płyt przeznaczam dla naszych seminarzystów. – Majda uśmiechnął się.

– Dla Rakowieckiego i Leskiego też?

Uśmiech na twarzy rektora zgasł jak niedopałek wgnieciony w popielniczkę.

– Dla takich jak tamci dwaj przede wszystkim.

– To znaczy?

Oczy księdza zwęziły się.

– To znaczy, że pomagamy seminarzystom z biednych rodzin. Rakowieckiego samotnie wychowywała matka. Bardzo pobożna kobieta. Ledwo wiąźali koniec z końcem. Rodzina Leskiego to... – Machnął ręką, szukając właściwego słowa.

– Degeneraci? – podpowiedział Heinz.

– Coś w tym rodzaju. Gdyby nie proboszcz z Serocka, chłopak by się stoczył. Dodam, że pomagamy im i teraz, przy pochówku syna.

Akurat. Msza pogrzebowa gratis i pewnie organista w pakiecie.

Heinz wstał.

– Zastanawiają mnie dwie rzeczy. – Podszedł do odtwarzacza płyt kompaktowych i wyłączył go. – Ksiądz powiedział: „tamci”. Nie: „świętej pamięci Karol” czy „świętej pamięci Grzegorz” albo „nasi synowie”, czy jakoś tak, tylko „tamci”... Jak o zupełnie obcych ludziach... Ksiądz ma do nich jakąś urazę?

Majda nie odpowiedział od razu. Wpatrywał się w Heinza niczym doświadczony kelner testujący wzrokiem nowego klienta.

– Żal mi tych chłopaków. Naprawdę. A powiedziałem: „tamci dwaj”, bo seminarzystów poznaję lepiej, gdy są na czwartym, piątym roku. Poza tym – wzruszył ramionami – nie mam zwyczaju fraternizować się z klerykami, jak co poniektórzy...

– Jak kto?

Majda milczał.

Rozległo się pukanie. Zanim rektor zdążył się odezwać, w drzwiach stanęła kobieta z fryzurą, której nie powstydziliby się Violetta Villas. Podeszła do Majdy. Duchowny próbował wstać, ale nie zdążył. Kobieta chwyciła go za rękę, pocałowała w dłoń i zaczęła potrząsać nią nerwowo.

– Słyszałam... Słyszałam to... – jej głos przypominał pomruki wydawane przez jakieś egzotyczne zwierzę. – Oskarżają go, że znowu napadł na Żydów i że powiedział, że to Żydzi trzymają w swych pazernych mackach wszystkie światowe pieniądze. Ale ja – kobieta wypięła duży biust – słucham uważnie, a i w chórze kościelnym za młodu śpiewałam. – Ściszyła głos. – To nie był on. To nie ojciec dyrektor, błogosław mu, Panie... – wzniosła rękę do góry. – Inny akcent, inny sposób ustawienia krtani, oj, znam się ja na tym. Dobra podróba, ale tylko podróba...

Chyba uczestniczę w kolejnej edycji „Idola” – przemknęło Heinzowi przez głowę.

– To nie był on... – powtórzyła kobieta. – To był – wzięła głęboki oddech – impresonator. Impresonator podszywa się pod ojca dyrektora i...

– Pani Wasiakowa – uciął rektor. – W koszu zostawiłem trochę rzeczy do prania. – Pokazał palcem w stronę pokoju znajdującego się za gabinetem. – Siostry służebniczki – spojrzał na Heinza i rozłożył ręce w przeproszającym geście – nie zawsze dają sobie radę z praniem i sprzątnięciem. – Korzystamy wtedy z zewnętrznej pomocy.

– Ja wiem swoje – mruzczała kobieta – to impresonator.

Zabrała bieliznę i wyszła. Pomruki cichły na korytarzu.

– Takim nieszczęśliwym jak pani Wasiakowa też pomagamy. A druga sprawa? Wspominał pan o dwóch...

– Drugie pytanie brzmi tak – Heinz dotknął palcami skroni. – Macie tu swoje zasady. Więc jak to możliwe, aby dwaj klerycy wyszli niepostrzeżenie? I dlaczego nie zawiadomiliście policji od razu, gdy nie wrócili?

– To proste – rektor rozłożył ręce. – Mamy do czynienia z dorosłymi ludźmi. Złamią regulamin – wiedzą, co ich czeka. A dlaczego nie zawiadamiamy? Bo służba Bogu to sprawa sumienia, a nie listy obecności. Po prostu – wskazał ręką okno – wielu nie wytrzyma i wybiera inne życie. Odchodzą z seminarium, nie informując nas. Dzieje się tak najczęściej w czasie wakacji. Ale i w roku akademickim to się zdarza. Ci chłopcy często wstydzą się swojej słabości... Nawet rodzin nie powiadamiają... I co? – zapytał rektor. – Mam ich ścigać albo dzwonić z tym do was? Mało macie roboty? Czy ma pan jeszcze jakieś pytania, bo mam dzisiaj dużo pracy...

– Ten prymas na korytarzu wyrecytował harmonogram dnia, ale... – Heinz zawiesił głos i wpatrywał się w dłonie rektora, wybijające nerwowo jakiś rytm na blacie biurka. Przetrzymam go jeszcze trochę – pomyślał.

– Ale co? – warknął duchowny.

– Ale nie usłyszałem najważniejszego. Kiedy seminarzyści mają czas wolny i mogą wyjść na miasto?

– Zwyczajowo w czwartki. Między szesnastą a dziewiętnastą.

– Rakowiecki i Leski nie wyszli w czwartek. To – Heinz raz jeszcze zawiesił głos – stało się w środę. Więc?

Rektor westchnął.

– Powiedziałem, że w czwartki zwyczajowo. Jeśli chcą się gdzieś wybrać innego dnia, muszą się wpisać do specjalnego zeszytu wyjść. Klerykowi musi wtedy towarzyszyć socjusz...

– To ktoś w rodzaju przyzwoitki? – zapytał złośliwie Heinz.

– Jeśli świat pańskich porównań jest tak ograniczony, niech tak będzie – odparł Majda. – Alumn zabiera ze sobą towarzysza, takie są zasady.

– Chciałbym dostać ten zeszyt wyjść.

Majda rozłożył ręce.

– Pańscy koledzy już go zabrali. Czy ma pan do mnie coś jeszcze? Heinz wstał.

– Dziękuję za wyjaśnienia. Chciałbym porozmawiać z księdzem profesorem Rutgerem. Kiedy mogę go zastać?

– Ma dziś dyżur dla seminarzystów między dziewiętnastą trzydzieści a dwudziestą trzydzieści – warknął Majda. – Będzie tu. W moim – podkreślił – gabinecie.

Najwyraźniej zna na pamięć grafik nauczycieli – pomyślał z podziwem Heinz.

Pożegnał się i stał już w drzwiach. Odwrócił się nagle.

– Co się stało z księdzem Kowalskim? Uczył tu kiedyś u was.

Majda zmrużył oczy, jakby miało mu to pomóc przypomnieć sobie osobę, o którą został zapytany.

– Kowalski... Był taki... Odszedł kilka lat temu. Miał, zdaje się, jakieś inne plany...

Kłamiesz. Wiem, że kłamiesz.

– Ostatnie pytanie. Z czym kojarzą się księdzu liczby: dwadzieścia jeden, trzydzieści siedem.

Majda poderwał się z fotela.

– Pan raczy żartować? – powiedział cicho. – Milionom Polaków te liczby od dwóch lat kojarzą się tak samo. Jak pan śmie... – wycedził przez zęby.

Heinz stał bez ruchu.

– Niech pan spyta Rutgera – syknął. – Ksiądz profesor jest ekspertem w tej dziedzinie. W końcu to biblista – zaśmiał się.

Odgłos zamykanych z rozmachem drzwi rozszedł się echem na korytarzu seminarium, jakby zatrzaskiwano właz krypty. Duszę się tu – pomyślał Heinz. Poczuł się, jakby ktoś zamknął go w gigantycznej trumnie. Zupełnie jakby ktoś odciął mu dopływ tlenu do płuc i mózgu.

Kolejny niedopałek zniknął wgnieciony w piach. Nie wiedzieć czemu przypomniał sobie, jak był małym chłopcem i rozgniatął dżdżownicę na nierównym chodniku pełnym ogromnych kałuż z okami benzyny i oleju samochodowego. Kiedyś przemokły mu buty i dostał za to pasem. Nawet bardzo nie bolało, ale posusiał się ze strachu. I wtedy dostał drugi raz. O wiele mocniej. Poczuł narastający ból w dolnej części brzucha. Tym razem nie ze strachu. Bolało go z wściekłości. Z trudem powstrzymywał dygot całego ciała. To mogłoby zwrócić na niego uwagę, a tego przecież nie chciał.

Dzisiaj panuje nad wszystkim. Dziś nic i nikt nie pokrzyżuje jego planów. Nawet ta niesłowna kurwa, która zasłużyła na śmierć. Ale jak nie ta, to będzie inna.

Ostatni raz sprawdził, która godzina. Pora była idealna. Matki z wózkami zakończyły przedpołudniowy spacer wśród zieleni, właściciele psów jeszcze nie wrócili z pracy. Nocną zmianę zaczyna o osiemnastej, ma więc dużo czasu. Zdaży wrócić do domu, wykąpać się i odpocząć. Może nawet przyjdzie tu jeszcze raz, by popatrzeć na policyjne radiowozy i taśmę odgradzającą teren od spojrzeń ciekawskich. Może zobaczy nawet wypchany czarny worek? Nie. Nie robi tego. Ciekawość zgubiła już wielu, a on nie chciał głupio wpaść. Zbyt wielką przyjemność sprawiało mu to, co zaczął robić ostatnio.

Tak. Jak nie ta, to inna.

Dłużej nie będzie tu stać. Przeszedł kilkaset metrów między drzewami i dotarł do szerokiej wydeptanej ścieżki. Pamiętał, że niedaleko stąd postawiono kilka ławek dla spacerowiczów.

Nie musiał czekać długo. Usłyszał trzask łamanych gałęzi i zobaczył kobietę. W pierwszej chwili myślał, że to ona. Podobna figura, obfite piersi, gęste farbowane włosy podobnie zaczesane, zbliżony wiek. Ta kobieta nosiła jednak okulary, tamta zaś zawsze chwaliła się, że wciąż ma świetny wzrok.

Podszedł szybkim krokiem.

– Przeprzepraszam – zapytał, jękając się. – Czy to nie pani zostawiła tu tę torbę? – Wskazał na reklamówkę, którą trzymał w lewej ręce.

– Nie... to nie moja torba. Nigdy nic nie gubię. – Odwróciła głowę, a potem nagle się roześmiała. Szeroko otwarte oczy i gardłowy głos. Zupełnie jak u tamtej. Brakuje tylko szminki rozmazanej na górnej jedyńce.

– Z czego się paa-ani śmieje? – zapytał i prawą rękę zanurzył w torbie. Zacisnął dłoń na chłodnej rękojeści i poczuł ulgę.

– Jaki zeszyt?

Heinz po raz trzeci słyszał pełne zdziwienia pytanie z ust kolejnego rozmówcy i czuł narastającą wściekłość.

Ani Karloff, ani Baryka, ani diwa gotyckiego rocka w ciężkich wojskowych butach, słowem nikt z tej trójki nie słyszał o zeszytce wyjść zabranym z seminarium.

– Co się martwisz, znajdzie się za jakiś czas gdzieś w papierach. – Karloff wzruszył ramionami. – Może włożył go gdzieś Poremba? – No wiesz... ten z rozbitym nosem. – Na początku też nam trochę pomagał.

Poremba. Aha. Więc tak się nazywamy.

Przyczepił się do tego zeszytu wyjść, choć nie spodziewał się znaleźć w nim żadnych rewelacji. Z pewnością nie byłoby tam nic, co dotyczyłoby Rakowieckiego i Leskiego i ich ostatniej drogi. Był pewien, że wyprawa, którą zorganizowali w środę jedenastego kwietnia, nie została odnotowana. Jak często organizowali takie wypadki? Czy tylko oni brali w nich udział? Może z zeszytu dowiedziałby się o kimś jeszcze, kto często wypuszczał się poza ponure mury seminarium? Może ten ktoś wiedziałby, dokąd Rakowiecki z Leskim się wybierali. Może przypadkiem ich gdzieś widział? A może wszystkie te pytania nie mają sensu. Może należy

po prostu zapytać: jak często organizowano im takie wycieczki? Ten, kto takie spotkania zwoływał, z pewnością nie figurował w żadnej księdze wejść i wyjść.

Postanowił poszukać informacji w „zsypie”. ZSIP. Zintegrowany system informacji policyjnej. Drzewo wiadomości dobrego i złego. Zwłaszcza złego. Najdokładniejszy i najobszerniejszy katalog grzechów i grzeszków tego świata, którego przewaga nad innymi zbiorami danych polega na tym, że gromadzi wiedzę operacyjną. Taką, która nigdy nie trafia do prokuratora, a tym bardziej na salę sądową.

Wpisał dane Rakowieckiego. Nic. Wstukał Leskiego. Taka sama odpowiedź. Wpatrywał się w monitor i wprowadził dane rektora Majdy i ojca duchowego, Jerzego Jurka. Brak informacji.

Pomyślał o czekającym go spotkaniu. Jeszcze kilka uderzeń w klawisze. Tadeusz Rutger. Wynik podobny jak poprzednio. W przypadku Rutgera coś go zaniepokoiło, tak jakby delikatnie trącona struna gitary wydała fałszywy ton. Coś pobrzmiwa, dzwonią w którymś kościele, przypomniał sobie przysłowie. Adekwatne do sytuacji.

Postanowił, że przejrzy inny rejestr. Dla urozmaicenia. Przestępstwa popełniane z udziałem przedstawicieli różnych wyznań. Ostatni rok. Na pierwszym miejscu sprawa Chrześcijańskiego Kościoła Głosicieli Dobrej Nowiny, założonego przez gangsterów. Ludzie z miasta sprowadzili bez cła, korzystając z ulg przyznanych organizacjom wyznaniowym, samochody i elektronikę wartą kilkanaście milionów złotych. Następny w kolejności był proboszcz z Dolnego Śląska. Od lat współżył z rodzoną siostrą, pracującą na plebanii. W końcu po kolejnej

z libacji alkoholowych przebił ją widłami. Tłumaczył potem, że zrobił to z zazdrości.

Miłość ci wszystko wybaczy – przypomniał sobie stary przebój, który niespodziewanie, po kilku taktach, zamienił się w posępnego bluesa Zeppelinów. Obraz na ekranie stawał się niewyraźny. Nie pora na wspomnienia. Wstał od biurka i wziął głęboki oddech. Tyle o tym.

W jednym z pokoi grał telewizor. TVN24 do znudzenia powtarzała scenę, gdy Michel Platini, sam nie do końca wierząc w to, co robi, wyjmując z wielkiej koperty kartkę z napisem: Polska i Ukraina.

Kobieta zaśmiała się ponownie i jeszcze raz odwróciła głowę.

– Naprawdę nigdy nic nie gubię. Nie zgubiłam też swojej wnuczki.
O... proszę!

Zza zarośli wyszła pięcioletnia dziewczynka.

– Już, babciu. Zrobiłam.

Popatrzyła na nieznanego mężczyznę. Wydał się jej zabawny z tymi piegami na twarzy i z reklamówką.

– Dzień dobry. Zbiera pan grzyby?

Zawahał się. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Na szczęście wyręczyła go kobieta, która znów się roześmiała.

– Nie skarbie, to nie pora na grzyby. Ten pan myślał, że zgubiłam torbę.

Słyszał, że dziewczynka mówi coś do babci, a ta jej odpowiada. Po chwili ich głosy ucichły za zakrętem.

Ból brzucha nasilił się. Nie wiedział, co ma robić. Prawą dłoń zacisnął z całej siły na rękojeści. I wtedy ją zobaczył.

Szła niepewnym krokiem. Tak jakby za dużo wypła i straciła orientację w terenie. Pewnie nie jest sama. Za chwilę ktoś zacznie jej szukać. Rozejrzał się. W najlepszym razie miał kilka minut.

Podjął decyzję.

– Z-zgubiła pani torbę – powiedział.

– Co tam jest? – kobieta chciwie chwyciła za reklamówkę.

Zajrzała do środka i odchyliła głowę.

– Co ty, koleś, pogięło cię? Pojebany jesteś?

Chciała coś jeszcze powiedzieć, lecz nie zdążyła.

Biały plastik przylgnął do jej brzucha. Mężczyzna cofnął dłoń, ale, dziwna rzecz, torba pozostała na miejscu, jakby się przykleiła. Biała powierzchnia reklamówki zabarwiła się na czerwono.

Teraz, już bez pośpiechu, pociągnął za rękojeść. Kobieta zachwiała się i odruchowo oparła o drzewo. Drugi cios przebił jej płuco, trzeci trafił w krocze. Przy kolejnym uderzeniu krew wypłynęła z ust.

Gdy skończył, otarł pot z czoła. Szybkimi, wprawnymi ruchami zdejmował ubranie z zakrwawionego ciała. Kawałek przeciętego materiału bluzki przysechł do skóry i musiał pociągnąć mocniej. Ściągnął z niej spodnie i powąchał je. Tak jak się spodziewał, cuchnęły uryną. Starannie złożył je w kostkę.

To wszystko.

Nie. To prawie wszystko.

Jeszcze raz sięgnął do torby.

O dziewiętnastej piętnaście zaparkował pod seminarium. Wpatrywał się w witraże od strony fasady i myślał o tym, jak śmierć dwóch seminarzystów wpłynęła na pozostałych. Jak wpłynęła na młodych mężczyzn, którzy dziś wypełnili korytarz i dziedziniec? Co myśleli o śmierci kolegów? Kolegów? Czuł, że to niewłaściwe słowo. Przypomniawszy sobie, że gdy obserwował kleryków podczas przerwy, coś go w tym widoku uderzyło, wydało mu się nienaturalne. Wciąż jednak nie potrafił sprecyzować, o co mu wtedy chodziło.

Poza tym wszystko było w normie. Podobnie dzieje się w każdej szkole czy jednostce wojskowej, gdy zdarzy się coś strasznego. Przypomniawszy sobie, jak wiele lat temu prowadził sprawę zgwałconej i uduszonej czternastolatki. W szkole zawisło zdjęcie dziewczyny, zapalono świeczkę i położono kwiaty. Ale śmiech i zgiełk na korytarzu nie ustawał. Zupełnie jakby się nic nie stało. W pierwszej chwili był tym zszokowany. Dopiero po latach zrozumiał, że żywi w takich sytuacjach skupiają się w swoim kręgu, by wyprzeć śmierć, odpędzić ją ostentacyjną i wręcz niestosowaną witalnością. Są podobni do rozbitków na bezludnej wyspie, którzy rozpalili ognisko i skupili się wokół buchających płomieni, by odegnąć strach.

Portiera i tym razem nie było. Gdy wchodził po schodach, towarzyszył mu głuchy odgłos kroków. Na korytarzu nie było

nikogo. Zapach detergentów mieszał się z wonią aromatycznego sosu. Są po kolacji. Poczuł, że soki trawienne w żołądku uaktywniły się. Uświadomił sobie, że poza śniadaniem nic dzisiaj nie jadł.

Raz jeszcze się rozejrzał. Pewny, że nikt go nie widzi, przyłożył ucho do drzwi gabinetu rektora. Usłyszał cichy jęk. Nie mógł się pomylić. Czyjś głos falował za drzwiami, unosił się, trwał w zawieszeniu i opadał.

Heinz powoli nacisnął klamkę i otworzył drzwi.

Musiało minąć kilka sekund, zanim zauważył człowieka siedzącego na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. Ogolony na zero mężczyzna trzymał dłonie na kolanach. Czarna koszula z krótkim rękawem nie była w stanie zasłonić zwojów mięśni.

Ten facet więcej czasu spędza na siłowni niż w konfesjonale – pomyślał Heinz.

Z charczącego głośnika dobiegała melorecytacja, która Heinzowi z niczym się nie kojarzyła. Z całą pewnością nie były to pieśni autorstwa rektora Majdy.

Rozległ się charakterystyczny dźwięk buddyjskich dzwonków.

– Osiem i pół – powiedział nagle mężczyzna i w tej samej chwili muzyka ucichła.

– Oglądałem – odparł Heinz. – Świetne kino.

– Nie – mężczyzna otworzył oczy. – Nie chodzi mi o Antonioniego. Osiem i pół – powtórzył. – Pamięta pan dowcip o milicjantach z czasów stanu wojennego? Dlaczego milicjanci palą papierosy Osiem i pół? Bo skończyli osiem klas podstawówki i pół szkoły milicyjnej. Sądząc po pańskim wieku, powinien pan to dobrze pamiętać. – Wpatrywał się w Heinza.

– Skąd pan wie, że jestem policjantem? – zapytał, ignorując uwagę.

– Jesteśmy w budynku, którego ściany mają uszy. – Profesor wykonał teatralny gest, jakby przykładał ucho do drzwi.

Wstał. Był podobnego wzrostu co Heinz. Otrzepał czarną koszulę, podszedł do magnetofonu i wyłączył muzykę. Dopiero wtedy usiadł za biurkiem i wskazał Heinzowi miejsce naprzeciwko.

– To, co pan słyszał przed chwilą, to pieśni mnichów buddyjskich. Od lat praktykuję taką formę medytacji, co, nawiasem mówiąc, natrafia na pewne opory... Ale ojciec de Mello miał znacznie większe problemy. I to z samym kardynałem Ratzingerem...

– Proszę posłuchać – przerwał mu Heinz. – Nie interesują mnie problemy ojca de Mello ani pańska wiedza na temat milicjantów i Antonioniego...

– Rutger. – wtrącił nagle mężczyzna i potarł siwy zarost.

– Co?

– Nazywam się Rutger. Zupełnie jak Rutger Hauer. Pamięta pan psychopatę z Autostopowicza?

– Psychopatów zapamiętuję dobrze. Bliżej mi do takich postaci niż do ojca de Mello. Ksiądz posłucha – pochylił się nad stołem, czując, że Rutger znów chce mu przerwać.

Wyczuł zapach, którego się nie spodziewał.

– Mam dwa trupy – wyprostował palec wskazujący i środkowy. – Dwóch kleryków z tego seminarium. I – popatrzył Rutgerowi w oczy – to nie jest film. To się zdarzyło naprawdę.

– Czego zatem pan chce ode mnie? Tak w ogóle ma pan jakieś nazwisko?

– Heinz. Jak ketchup. W zasadzie pytanie mam jedno. Przy zwłokach Rakowieckiego i Leskiego nie znaleźliśmy żadnych dokumentów, biletów autobusowych, kart kredytowych, słowem: niczego, co ułatwiłoby nam identyfikację ofiar. Śledztwo pewnie stałoby w miejscu, gdyby nie drobny szczegół...

– Mówi pan o kartce z moim nowym numerem telefonu? Zadzwoniliście. Przyjechałem, zidentyfikowałem chłopców. Co jeszcze mam zrobić?

Rutger zacisnął pięści.

– Otóż – Heinz mówił twardo – od początku zadaję sobie jedno pytanie, a odkąd tu przyjechałem, pytanie to stało się moją obsesją...

– Chętnie pomogę panu uporać się z obsesjami. – Rutger ni to się skrzywił, ni to uśmiechnął.

– Jak to możliwe, że przy tym dystansie, który panuje w seminarium między wykładowcami a studentami, przy tym pseudowojskowym drylu jakiś student ma numer pańskiej komórki? Wytłumaczy mi pan to?

Rutger nie od razu odpowiedział. Otworzył skórzaną teczkę i zaczął zgarniać do niej notatki i książki. Na grzbiecie najgrubszej widniało pięć słów napisanych prostym liternictwem. W górnej linii: Tadeusz Rutger, poniżej: Ezechiel – prorok niezwykły. Zauważył, że Heinz patrzy uważnie na stos książek.

– Ezechiel. Mój ulubiony prorok. Mówi się o nim, że nieco odbiegał od normy. Dziś tacy jak on są gwiazdami popkultury.

Rutger. Gdzieś już się spotkał z tym nazwiskiem. Pierwszy raz taka myśl przemknęła mu przez głowę, gdy przeszukiwał policyjny bank informacji.

Dwa metalowe zamki szczęknęły i profesor odłożył torbę.

– Zanim odpowiem na to pytanie, coś panu powiem.

Wziął głęboki oddech i zamknął oczy. Heinzowi wydawało się, że Rutger zaczyna mówić do samego siebie, jakby nagle przemienił się w natchnionego starotestamentowego proroka.

– Pan mówi o pseudowojskowym drylu? To nie wie pan, o czym mówi. Dryl to był wtedy, gdy ja byłem w wieku tych wszystkich Rakowieckich, Leskich... Pamiętam, jak ustawialiśmy się w dwóch równych szeregach i szliśmy na ranną mszę o szóstej trzydzieści. Codziennie mijaliśmy drzwi pomocnika mistrza nowicjatu i drżały nam nogi ze strachu... – Rutger nerwowo przełknął ślinę. – Czasem te drzwi się otwierały i pomocnik bez słowa wskazywał na któregoś z nas. To wskazanie było równoznaczne z wyrokiem. Z wyrzuceniem z seminarium. Kleryk musiał się spakować, wyjść bez pożegnania, a furmanka podwoziła go na dworzec. Żadnego odwoływania się, żadnego gadania! Takie były czasy. I powiem panu – profesor otworzył oczy – to były dobre czasy.

W oddali usłyszeli odgłos mechanicznej kukułki. Skąd tu się wzięła kukułka?

Zielone oczy wpatrywały się w Heinza, ale tak naprawdę patrzyły gdzieś w odległą przeszłość, łowiąc dalekie wspomnienia.

I nagle oczy Rutgera stały się nad wyraz czujne i przytomne. Powróciły do terażniejszości.

– A teraz wyleczę pana z obsesji. Rakowiecki i Leski mieli mój numer telefonu. To byli ciekawi studenci. Ciekawi do czasu... Organizowaliśmy nawet dodatkowe spotkania po obowiązkowych zajęciach.

– Czy Rakowiecki w tych spotkaniach też uczestniczył? Mówią, że to leser.

– Gdzie tam leser! – Rutger obruszył się. – Po prostu nie lubił dogmatycznej paplaniny. Przynajmniej tak było na początku. Z czasem, też to zauważyłem, był naszymi spotkaniami jakoś mniej zainteresowany. Co innego Leski. Ten chciał na przykład wiedzieć, o co chodzi w antropologii Rene Girarda i na czym polega mechanizm szukania w rozmaitych religiach kozła ofiarnego. Przypadki Hioba, Jezusa są z tego podwórka. Później mówiłem im o neuroteologii...

– O czym?

Zanim Heinz usłyszał odpowiedź, ktoś cicho zapukał do drzwi. W drzwiach stał chłopak o zapadniętych policzkach.

Szczur. Ten sam, który spowiadał się ojcu duchowemu. Spowiadał. Akurat. Zwyczajnie donosił na kolegów.

– Przyniosłem księdzu profesorowi te pierożki, które matka zamówiła – przemówił Szczur zupełnie nieskrępowany obecnością Heinza. – Z pędami bambusa, kiełkami, grzybami mun i... pamiętaliśmy, żeby były wegetariańskie. Zamiast mięsa jest tofu.

– Wrzody żołądka i bóle w stawach to pamiątka stanu wojennego i zimnych cel – powiedział Rutger. – I kiepski wzrok, bo dostałem pałką po głowie. Dlatego nie lubię policjantów, ale muszę lubić lekarzy spowiadających moje ciało z chorób – popatrzył znacząco na Heinza. – Los sprawił, że zacząłem jeść takie dziwne rzeczy i od tego czasu czuję się lepiej.

Szczur zniknął w drzwiach. Ponownie rozległ się metaliczny dźwięk zamków i po chwili pierożki zniknęły w przepastnej torbie.

– Wracając do Rakowieckiego i Leskiego... – Heinz niecierpliwie poruszył się w fotelu. Ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę, to słuchać wykładów o jakimś Girardzie, neuro-czymś-tam oraz wspomnień o koksownikach porozstawianych na śniegu. – Nie chodzi mi o pański telefon. Chodzi mi o to, gdzie są ich komórki i laptopy...

W oczach Rutgera ujrzał zdumienie.

– Telefony i prywatne laptopy są zakazane. To niestety resztki starego stylu, gdy seminarzyści musieli wyzbyć się wszelkich dóbr, a zwłaszcza prawa do prywatności. Tu muszą im wystarczyć ogólnodostępne komputery...

– Czyli nic pan o tym nie wie?

– Nie wiem. Zresztą zawiesiłem swoje prywatne seminarium kilka miesięcy temu. Od tego czasu nie spotkałem się z Rakowieckim i Leskim.

– Dlaczego? Przecież Leski to taki błyskotliwy student... A Rakowiecki też niczego sobie.

Rutger zamilkł. W oddali znowu odezwała się kukułka.

– Powinni być jak wojsko. – Ksiądz położył palce na powiekach, jakby zamykał oczy zmarłemu. – Powinni być jak żołnierze wystrzegający się pokus.

– Ale nie wszyscy są odporni i ksiądz się czegoś dowiedział... Czy tak?

– Jestem zmęczony.

Rutger zamknął oczy.

Są jak wojsko. Jak bezwolne automaty. Jak mechanizmy nakręcane cudzą ręką.

Przypomniał sobie seminarzystów krążących po korytarzu podczas przerwy. Już wiedział, co go w tym obrazie uderzyło.

– Niech mi pan coś wyjaśni. Widziałem kleryków podczas przerwy w zajęciach. Niby ze sobą rozmawiali, ale... Ale tak jakoś sztucznie, na dystans. Tak jakby nie byli kolegami, ale obcymi ludźmi...

Z klatki piersiowej profesora wydobył się ni to jęk, ni to ciężkie westchnienie.

– Pan jednak nic nie wie o tutejszych zwyczajach... Po pierwsze, oni nie są kolegami. Tu nie ma przyjaciół. Właściwie nie ma nawet kolegów.

Tak samo jak w policji – pomyślał Heinz.

– Po drugie, przestrzegamy tu reguły tactusu. Tactus to po łacinie dotknięcie. Dotkniesz innego seminarzystę, poklepiesz go przyjacielsko po ramieniu i... – Machnął dłonią w stronę okna.

– Wylatujesz?

– Właśnie.

– Obawiam się, że będziemy musieli dokończyć tę rozmowę. – Heinz wstał. – Być może już nie w tych wygodnych fotelach. – Poza tym, księżo profesorze – odwrócił się od drzwi – wydaje mi się, że łączenie buddyzmu z alkoholem to zła kombinacja. To dlatego odbywa pan wraz ze studentami spacery po dziedzińcu, by nie wyczuli, że pan pił w ciągu dnia? Anthony de Mello byłby zniesmaczony.

Rutger siedział bez ruchu. Wiatr poruszył okiennicami, a mimo to Heinz kolejny raz tego dnia pomyślał, że jest mu duszno.

Na korytarzu panowała cisza. Światło migoczących jarzeniówek odbijało się w niebieskiej posadzce. Skwierczenie jarzeniówek przypominało dźwięk wydawany przez oszalałego owada, który wpada przez otwarte okno do pokoju i odruchowo lgnie do światła.

Heinz ruszył w stronę schodów. Gdy minął portret Jana Pawła II, usłyszał odgłos, który nie dobywał się spod sufitu. Chrobot powtórzył się. Dobiegł z za wyłomu, prowadzącego, jak zdołał się wcześniej zorientować, w kierunku krótkiego korytarzyka. Wyłom wzmocniony był, dobudowanym najpewniej później, nieotynkowanym solidnym filarem. Dźwięk pochodził stamtąd. Ktoś tam stał i nadepnął na poluzowaną płytkę.

Heinz zdecydował się. Zrobił w tym samym rytmie jeszcze trzy kroki i gdy doszedł do wyłomu, gwałtownie skoczył za filar. Zobaczył przerażoną twarz o zapadniętych policzkach, które nabiegły krwią, gdy Heinz zaczął miażdżyć przedramieniem grdykę chłopaka.

– Szczur, szczur, zabiłem szczura – wychrypiął do ucha. – Pamiętasz to?

Nacisnął przedramieniem jeszcze mocniej. Chłopak zaczął charczeć.

– Pewnie ty się nie cieszysz, ale ja jestem bardzo zadowolony, że cię spotkałem – wycedził przez zęby Heinz. – Ktoś taki jak ty z pewnością dużo słyszy i dużo widzi, prawda? Donosisz ojcu duchowemu na innych studentów, podlizujesz się Rutgerowi jakimiś obrzydliwymi pierożkami... Co wiesz o Rakowieckim i Leskim? Gdzie znikły ich komórki i laptopy? Gdzie to ukrywacie, do cholery?

Puścił chłopaka, który padł na kolana i złapał się obiema dłońmi za gardło.

Heinz usłyszał za sobą ciche chrząknięcie. Odwrócił się.

– On nic panu nie powie. – Rutger trzymał w dłoni skórzaną torbę i kołysał nią nerwowo. Przez drugą rękę przerzucił czarną marynarkę.

Heinz podszedł do profesora. Po raz kolejny poczuł woń złe strawionego alkoholu.

– Szczur nie powie? A to dlaczego? Zaraz się pan przekona, profesorze, że będzie gadał. – Spojrzał na chłopaka.

– Silentiumsacrum – powiedział cicho Rutger, unosząc palec do ust.

– Że co?

– Silentiumsacrum. Uświęcone milczenie należy do odwiecznych reguł przestrzeganych w seminariach. Silentiumsacrum zaczęło się kilka minut temu. Wtedy kończę dyżur. – Profesor machnął torbą.

Szczur poderwał się, jakby otrzymał znak, minął Heinza i pobiegł korytarzem.

– Niech pan sobie odpuści – szepnął Rutger. – Wpłynął pan na zupełnie nieznaną sobie wody. To – wskazał ręką korytarz – zupełnie inny świat.

Machnął teczką na pożegnanie. Heinz patrzył na przygarbione plecy profesora i po raz pierwszy pomyślał, że Rutger jest o wiele starszy, niż się wydaje.

Coś wgniata go w ziemię.

Był na półpiętrze, gdy usłyszał stłumiony jęk. Stanął jak wryty. Powoli, by nie wywołać najmniejszego hałasu, wszedł na piętro. Rozejrzał się po skąpo oświetlonym korytarzu. Nie, nie mylił się. Drzwi znajdujące się najbliżej schodów były niedomknięte i stamtąd dochodził odgłos.

– Ad maiorem Dei gloriam examen conscientiae¹ – szepnął ktoś.

– Ad maiorem Dei gloriam flagellatio² – odpowiedział inny głos.

Przez szparę w drzwiach dostrzegł sylwetkę starego spowiednika. Tego samego, któremu rektor kłaniał się na korytarzu.

Usłyszał suchy trzask, a potem jęknięcie. Młodszy głos powiedział coś po łacinie.

Uderzenie i jeszcze jeden stłumiony jęk.

Jak to powiedział Karloff? Zrobiliby furorę na You Tubie? Ci dwaj z pewnością.

Zbiegł na dół, otworzył drzwi, potrząsnął głową, jakby wynurzył się z wody. Gdy nabrał gwałtownie powietrza, poczuł ból, jakby coś rozrywało mu płuca.

Zanim wrócił do hotelu, podjechał do Ronda Wiatraczna i bez kłopotu znalazł miejsce, o którym słyszał od Karloffa. Mimo że było po dziewiątej, w barze specjalizującym się w kuchni orientalnej panował tłok. Krople tłuszczu majestatycznie skapywały z opiekanego mięsa na podstawkę, wokół roztaczał się aromat bakłażana i fasoli. Heinz poczuł nagły skurcz żołądka. Soki żołądkowe pracowały na całego. Odruchowo wsunął kciuk za pasek i poczuł, że spodnie nie uciskają tak jak tydzień wcześniej. Chudł zawsze, gdy prowadził sprawę poza Katowicami. Gdy brał udział w śledztwie na terenie Śląska, lodówka stawała się jego wiernym przyjacielem i wtedy jadł kompulsywnie, by pozbyć się stresu. Może to dobrze – jeszcze raz sprawdził odległość dzielącą brzuch od paska – że jestem poza domem. Chociaż tak naprawdę nigdzie nie mam domu, co najwyżej mam mieszkanie.

Nad barem znajdował się szyld z informacją, że lokal czynny jest od dziewiątej rano do drugiej w nocy. Zamówił kebaba o rozmiarze XXL i usiadł przy stoliku. Obok siedziało trzech mężczyzn o śniadej cerze. Patrzyli nieufnie na Heinza i mówili coś w niezrozumiałym dla niego języku.

Inny świat – pomyślał pół godziny później – wyciągając się na niewygodnym łóżku, które nieznośnie skrzypiało przy każdym

ruchu.

Wpłynąłem na nieznane wody. Z głośników laptopa rozbrzmiewał Cross Road Blues znany standard Roberta Johnsona.

Przypomniał sobie uwagę jednego ze swoich mentorów – oficera, który brał udział w śledztwie o kryptonimie „Anna”. Było to najgłośniejsze śledztwo w czasach Polski Ludowej, zakończone wyrokiem śmierci dla zabójcy kobiet, wampira Marchwickiego. Myśl nie tylko o tym, co zobaczyłeś, pomyśl także o tym, czego ci zabrakło – mawiał major Arnold Talar. Nie wszystkie mądrości trzeba eksportować z Liverpoolu czy Quantico.

Inny świat. Czego w nim zabrakło? W seminarium nie było śladu po Rakowieckim i Leskim. Tak jakby nigdy się tam nie uczyli. Wymazano ich tak, jak wymazuje się dane z twardego dysku komputera. Zginęli dwaj studenci. Normalną koleją rzeczy powinny gdzieś zawisnąć ich zdjęcia przepasane kirem, powinien palić się znicz otoczony kwiatami lub w wieńcu. Nigdzie tego nie było. Nawet cienia żałoby. Specjalnie przeszedł się po całym budynku, by to sprawdzić. Razem z rektorem wszedł do pokoju, który jeszcze niedawno należał do kleryków. Uderzyło go to, że okno było szeroko otwarte. Heinz stał w drzwiach i patrzył na świeżą pościel, idealnie przykrywającą dwa łóżka. Zajrzał do opróżnionej szafy i martwych, ziejących pustką szuflad.

Zupełnie jakby przeprowadzono tu dezynfekcję – pomyślał. Za pomocą krochmalu i świeżego powietrza wygnano śmierć.

Świat seminarium rządził się swoimi prawami. Jak łód dryfujący z siebie tylko znanym prądem. Tactus Klerycy bali się najmniejszego kontaktu fizycznego, który sprawiłby, że byłiby na językach wszystkich, ale dwóch z nich, przynajmniej dwóch, sprzeniewierzyło

się żołnierskiej dyscyplinie, jakby pewnie powiedział Rutger. Ojciec duchowy zasłania się tajemnicą spowiedzi, a równocześnie w seminarium kwitnie donosicielstwo. Przypomniawszy sobie zapadnięte policzki Szczura. Co innego na wierzchu, co innego pod spodem.

To wszystko, co się tam dzieje, wygląda na jeden wielki pic. Większy niż niskie ceny w hipermarkecie i raty zero procent.

Trafiłem na jakiś dziwny ład, w którym panuje osobliwy system powiązań. Tych ludzi – pomyślał – łączy jedno: żaden z nich nie chce nic powiedzieć.

Robert Johnson zaczął grać introdukcję do kolejnego bluesa. Heinz pokręcił głową. Geniusz. Prawdziwy geniusz. Ciekawe, jak czuje się rektor Majda, śpiewak od siedmiu boleści, perfekcjonista w każdym calu, boski zegarmistrz nakręcający tryby złożonego mechanizmu, któremu wszystko wymknęło się w seminarium spod kontroli. Egotyk rozsyłający uśmiechy i zarażający dobrocią.

Coś go tknęło. Włączył laptopa i wpisał nazwisko rektora. Na pierwszym miejscu znajdował się odsyłacz do Wikipedii. „Jan Majda – ksiądz, gwiazda nurtu sacropolo, rektor seminarium diecezjalnego w Warszawie” – przeczytał.

Ileć Majda wspominał o Rutgerze, jego twarz zacinała się w grymasie złości. Wpisał do przeglądarki nazwisko profesora. Wybitny biblista zajmujący się... Wśród wielu wymienionych dyscyplin Heinz kojarzył tylko biblistkę. Zainteresowała go informacja, że profesor jest jednym z najbardziej kontrowersyjnych intelektualistów w łonie Kościoła. W dalszej części artykułu padały nazwiska Anthony'ego de Mello, kontrowersyjnego teologa Hansa Kunga i kilka innych, które Heinzowi nic nie mówiły.

Ten muskularnie zbudowany duchowny, egzaltowany wielbiciel buddyzmu, budził jego ciekawość. Korzystał z gabinetu rektora, mimo że Majda za profesorem nie przepadał. Dlaczego? Tego Heinz nie wiedział. Może łączyło ich coś, co wykraczało poza banalne reguły akademickiej zależności. Poza tym Rutger lubi sobie chlapanąć, a tego w seminarium nie da się ukryć.

Wreszcie ten tajemniczy spowiednik, który wygłasza formułki w martwym języku i odprawia jakieś sadystyczne rytuały. Admaiozem Deigloriam...

O drugiej w nocy obudził go własny krzyk. Śniło mu się, że stoi przywiązany do drzewa i patrzy w rozpalone oczy Inkwizytora trzymającego pejcz.

– Ad maiorem Dei gloriam, ad maiorem Dei gloriam! – wrzeszczał Inkwizytor, a na skórzanej pleciance ozdobionej rzędem niewielkich haczyków wrzynających się w ciało Heinza osadzały się krople krwi.

– To nie ma sensu – powiedział do Karloffa, gdy kilka minut po dwunastej usiedli w restauracji Banja Luka na Puławskiej.

Był dziewiętnasty kwietnia 2007 roku. Nagłówki wszystkich gazet odświętną czerwoną czcionką informowały, że stało się coś niezwykłego. Informacje o przyznaniu Polsce i Ukrainie organizacji mistrzostw Europy w 2012 roku zapełniały wszystkie możliwe rubryki, od pierwszej strony po zwyczajowo umieszczany na końcu gazet sport. Każdy tytuł kończył się obowiązkowym tego dnia wykrzyknikiem.

Narodowy orgazm przy udziale piłki nożnej – Heinz pomyślał ze złością o stadnej miłości Polaków do futbolu. Gigantyczny balon wypełniony nadziejami o potędze i frustracją.

Z Karloffem spotkał się o dziewiątej w Pałacu Mostowskich.

Tego dnia Karloff od rana pracował. Można nawet powiedzieć – intensywnie pracował. Krążył dookoła stolika zawałonego dokumentami. W pokoju przesłuchań były jeszcze dwie osoby. Dwaj najwyżej dwudziestoletni łysole kulili się na krzesłach, ilekroć przesłuchujący zbliżał się do nich niczym drapieżny kot do ofiary. Przesłuchanie zaczęło się półtorej godziny wcześniej. Heinz przypatrywał się przesłuchaniu przez dwadzieścia minut, zamienił z Karloffem kilka słów, gdy ten wyszedł z pokoju, po czym zszedł na

dół. W punkcie informacyjnym Komendy Stołecznej siedziały dwie trzydziestolatki, których zadaniem było spławianie szaleńców i natrętów. Zapytał tę, która wydawała mu się atrakcyjniejsza, o najbliższy sklep z kosmetykami.

– Proszę pójść do Błękitnego Wieżowca na Placu Bankowym – odpowiedziała bez wahania, tak jakby policjanci z komendy codziennie zadawali jej podobne pytania.

Heinz wszedł do sklepu i poprosił o różową szminkę.

– Jakiej szminki pan potrzebuje? – zapytała znudzonym głosem dziewczyna przy stoisku.

– No... różowej, pani Violu – odpowiedział niepewnie. Na plakietce przypiętej do kremowej bluzki przeczytał: „Viola – asystentka wizażystka”.

– Ale jakiego różu ta pani używa? – wizażystka pytała natarczywie. W stronę Heinza odwróciły się głowy dwóch kobiet, które w dawnych czasach zwykło się nazywać ryczącymi czterdziestkami.

Swoją drogą muszę zapytać syna, jak się takie kobiety nazywa dzisiaj. O ile go kiedyś spotkam – pomyślał i rozłożył bezradnie ręce.

– Niech pan sobie przypomni, jakiej używa żona. Matowa szminka czy perła? A jak matowa, to z drobinkami czy bez? Poza tym co to za róż? Brudny czy jaśniejszy odcień? Może pamięta pan nazwę firmy albo numer katalogowy...

Heinz przypomniał sobie swoją półkę z kosmetykami, przymocowaną do lustra nad umywalką i wiecznie ochlapaną odpryskami pasty do zębów. Jego syn miał całą baterię

kosmetyków. Te, które należały do Heinza, można by zmieścić w kieszeni spodni.

Miał dosyć drobiazgowej Violi.

– Pani da jakakolwiek. Byle niedrogą – powiedział. – Poza tym – chciał, by usłyszały to wścibskie klientki sklepu – to nie dla żony. To w ogóle nie dla kobiety. To dla mojego psa.

Był pewien, że trzy pary zgorszonych oczu odprowadzają go do wyjścia.

Wrócił do Pałacu Mostowskich. Czerwony na twarzy Karloff z podwiniętymi rękawami białej koszuli i wielkimi plamami potu pod pachami wyglądał jak bohater francuskiego filmu policyjnego.

Heinz otworzył drzwi pokoju przesłuchań w tym samym momencie, gdy wielka pięść Karloffa rąbnęła w stół.

Popatrzył w przerażone oczy łysoli. Gdzieś uszła z nich cała odwaga, którą zwykli się popisywać w grupie. Usiadł przy stole i zaczął od niechcienia przeglądać akta. W końcu dogrzebał się do zdjęć Rakowieckiego i Leskiego. Czuł, że łysole patrzą na niego błagalnie. Szukają pomocy, tak jak tonący rozpaczliwie szuka wokół siebie koła ratunkowego.

– To jak wreszcie było? – przemówił łagodnym głosem, jakby zapowiadał prognozę pogody. Karloff był tym złym policjantem, on zaraz wcieli się w rolę dobrego. – Ty się nim zająłeś? – Heinz zwrócił się do wyższego chłopaka, pokazując mu zdjęcie Rakowieckiego. – A może tym drugim? No, jak to się odbyło?

– Proszę pana, my nie mamy z tym nic wspólnego – łysol zaczął mówić gorączkowo.

– Pierdolisz! – wycedził przez zęby Karloff. – Widzisz – zwrócił się do Heinza – pierdoli...

– Proszę pana, mówiłem pańskiemu koledze...

– Zamknij się! – Blizna na twarzy Karloffa nabrała purpurowego odcienia. – Skąd wiesz, łysy śmieciu, że jesteśmy kolegami?

Była najwyższa pora, by Heinz wkroczył do akcji.

– Nie macie z tym nic wspólnego... Jak możecie to udowodnić?

– Wtedy nie było nas w Warszawie... – powiedział niższy.

– Tyle że nikt tego nie potwierdzi – warknął Karloff. – A zeznania waszych kolegów to wyjątkowo gówniane alibi.

– To gdzie wtedy byliście? – zapytał Heinz.

Zaczęli mówić obaj, wchodząc sobie w słowo. Wiedział, że odpowiadali już na to pytanie. Przedstawiali swoją wersję i czuli się coraz pewniej, a o to przecież chodziło, by uśpić ich czujność.

– A to? – przerwał nagle Heinz, stawiając na środku stołu szminkę, która wyglądała jak pocisk karabinowy.

Łysole nerwowo wierzili się na krzesłach, a Karloff sapał.

– A to? – powtórzył Heinz. – Różowe trójkąty. Dwadzieścia jeden trzydzieści siedem – mówił powoli, testując spojrzeniem przeszukiwanych.

Nie był już dobrym policjantem. Rola dobiegła końca.

Łysole popatrzyli na siebie ze zdziwieniem. W końcu wyższy nie wytrzymał.

– Co jest, gościu? – patrzył na Heinza ze złością. – Jakie trójkąty, jakie cyfry? Co to, Bolo? – zwrócił się do kolegi. – Twój szczęśliwy numerek czy co? – Lekko uniósł się z krzesła.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale nie zdążył. Dłoń Karloffa zacisnęła się na białym t-shircie chłopaka i usadziła go na miejscu. Rozległ się trzask rozdieranego materiału.

– Nie podnoś się bez pozwolenia, bo uznam to za napaść na policjanta. A poza tym główniane macie te t-shirty – wycedził Karloff. – Azjatycka tandeta...

– To nie ma sensu – powtórzył Heinz.

Karloff przeglądał kartę dań i wydawało się, że nie słucha.

– Ten twój zasrany Bolo i ten drugi nie mają z tym nic wspólnego. Sądysz, że oni na co dzień noszą przy sobie szminkę? Może także cienie do powiek?

– Prywatnie nic nie sędzę. – Karloff przewrócił kartę menu. – Ale czasem jestem takiego zdania jak moje szefostwo. A oni – rozejrzał się za kelnerem – uważają, że trop neofaszystowski jest okej. Poza tym Osuch mówił, że są naciski z góry, żeby zamknąć sprawę.

– To zamknij mordercę – powiedział Heinz. – Rakowieckiego i Leskiego zabił ktoś dobrze przygotowany. Te trójki i liczby nie były wynikiem improwizacji. Ktoś to dobrze zaplanował. A ci dwaj szmaciarze mają mniej zwojów mózgowych niż włosów na głowie. Łysi głupole... Sam to powiedziałeś.

– Umówiłem się tu z pewnym facetem – odpowiedział Karloff. – On nam naświetli sprawę. Sam uznasz, co robić z tym dalej. Moja prywatna opinia jest taka, że drepczemy w miejscu.

To, co zdarzyło się później, powracało następnie we wspomnieniach Heinza niczym senny koszmar. Do stolika przysiadł się chłopak w stroju kuriera rowerowego. Okazało się, że jest pracownikiem fundacji monitorującej ruchy neofaszystowskie.

– To niezmiernie rzadkie przypadki, by w grę wchodziła obyczajowość – powiedział, nadziewając na widelec kostkę

ociekającej oliwą fety. – Rozmaici neofaszyści i nacjonaści atakują głównie z pobudek rasowych i ideologicznych. Z gejami ścierają się podczas akcji w rodzaju Parady Równości.

Wytarł dłonie w papierową serwetkę i otworzył płócienną torbę.

– Tu – pomachał plikiem spiętych kartek – mam wypis z naszej czarnej księgi z ostatnich kilku lat. W czarnej księdze odnotowujemy działalność naszych ulubieńców. Mamy tu napady na czarnoskórych studentów, starcia z anarchistami podczas koncertów. O, nawet atak skinheadów na żywe modele na wystawie garniturów w Katowicach. Swoją drogą – podniósł wzrok znad gęsto zadrukowanych kartek – czarnoskóry model w białym garniaku Vistuli to ciekawy widok...

– Jak Śpiewak jazzbandu – Karloff przywołał tytuł z najgłębszych pokładów pamięci. Zwiniętą pieśń przyłożył do ust i wydał policzki, jakby grał na trąbce.

Drobiny czerwonej papryki i zielonego ogórka pofrunęły w kierunku pary, która najwyraźniej omawiała szczegóły planowanego wesela. Zanim przysiadł się kurier rowerowy, Heinz usłyszał histeryczny szept pana młodego in spe. „Tylko żadnych datków dla głodnych etiopskich brzuszków ani zabawek dla domu dziecka. Kasa, Misiu, kasa” – potrząsał dłonią oblubienicy, na której lądowały teraz resztki sałatki. Narzeczony gwałtownie wstał w geście oburzenia. Musiał jednak w oczach Karloffa dostrzec błysk, który sprawił, że równie szybko usiadł i zaczął szeptać coś do dziewczyny, patrząc na mężczyzn przy stole obok.

– Należało się wam. – Heinz odwrócił głowę w stronę szeleszczącego kartkami przedstawiciela fundacji.

– Ostatni przypadek z gejami i jednocześnie klerykami zdarzył się dwa lata temu. Na Śląsku. Grupa skinheadów zaatakowała

uczestników zabawy sylwestrowej w jednym z klubów. Potem tłumaczyli, że wzięli przebierańców za gejów. Traf chciał, że w grupie imprezowiczów byli klerycy, i zrobił się dym.

Karloff mlasnął i pomasował się po brzuchu.

– Świetne żarło. Ale jelita mówią, że trzeba oddać dług naturze. Jedną drogą wpada, drugą wypada – zaśmiał się. Między jego zębami tkwiły brązowe skrawki gurmanskiej plaskavicy.

Kurier rowerowy wpatrywał się w plecy oddalającego się Karloffa.

– A skoro już jesteśmy przy Śląsku... – powiedział – jest tam taka hałaśliwa organizacja. Nazywa się White Point. Sądzymy, że jest to klon ruchu Krew i Honor. Pan nazywa się Heinz, dobrze słyszałem?

Heinz potwierdził skinieniem głowy.

– Więc w tym White Point – kurier zagłębił się w jedną z kartek – działa według naszej wiedzy niejaki Krzysztof Heinz. W tym miesiącu brał udział w akcji przeciwko „marszowi żywych” w Krakowie oraz w zjeździe nacjonalistów pod górą świętej Anny. Ostatni wyczyn to już na Śląsku. Całkiem świeże sprawy...

Heinz poczuł, że krew napływa mu do twarzy. Gwałtownie poderwał się od stolika. Grupki biznesmenów umówionych na lunch wirowały wokół. Był zamroczony. Zupełnie jakby potężny cios wylądował na jego podbródku. Albo jakby wypił za dużo. Tyle, ile w dawnych czasach.

Nie pamiętał, co działo się potem. Ocknął się za Piotrkowem Trybunalskim. Głowę rozsadzał mu ból potęgowany rzeżeniem służbowego opla. Doszedł do siebie, gdy zobaczył tablicę informacyjną wskazującą, że do Katowic pozostało pięćdziesiąt kilometrów.

Zatrzymał się na stacji benzynowej, zatankował i zamówił coś do jedzenia. Gdy kończył hot doga z mdławym sosem Tysiąca Wysp, podjechała ciężarówka. Na przyczepie z boku wisiała tabliczka: „Zwierzęta spokojne udomowione”. Gdy włączył silnik, nad tablicą rejestracyjną ciężarówki zobaczył inny napis: „Zwierzęta przeznaczone do uboju”.

Pomyślał o Rakowieckim i Leskim.

I o różowej szmince.

A potem o swoim synu.

– To jak zrobimy? – zapytał Lambros Kastoriadis, wiercąc się w samochodowym fotelu. – Po mojemu czy po twojemu?

– Po twojemu – mruknął Heinz.

Biały opel od pół godziny stał nieopodal baru Rio na Giszowcu. Wizjonerzy architektury, bracia Zillmanowie, projektując to osiedle, nie mogli przypuszczać, że wyrośnie na nim taki wrzód jak ta mordownia o latynoskiej nazwie. Rio cieszyło się złą sławą. Trzy lata temu w przepastnych wnętrzach barowej zamrażarki znaleziono poćwiartowane zwłoki jednego z właścicieli. Teraz nie było lepiej. Lokal uchodził za przystań kiboli „gieksy” Katowice, wszczynających podczas sezonu piłkarskiego regularne burdy.

– Jesteś pewien? – upewnił się Kastoriadis.

– Tyle o tym – potwierdził Heinz.

Lambros Kastoriadis podzielił los wielu greckich rodzin, które przybyły do Polski, gdy skończyła się druga wojna światowa, a zaczęła krwawa wojna domowa między rojalistami i komunistami. Syn profesora politologii, subtelny badacz myśli Karola Marksa, oraz znanej rzeźbiarki dzieciństwo i młodość spędził w Polsce. W drugiej połowie lat sześćdziesiątych, gdy skończył dwadzieścia lat, wyjechał do Kalifornii. W przeciwieństwie do wielu rówieśników

nie trafił na farmę Woodstock i nie przyłączył się do bukietu dzieci kwiatów. Zakotwiczył się w dojo japońskiego mistrza karate.

Gdy Kastoriadis wrócił do Polski, miał czarny pas i piąte dan, sytuujące go bardzo wysoko wśród mistrzów sztuk walki. Ożenił się z Polką i prowadził na Śląsku kursy karate. Jednym z jego uczniów był Heinz. Był nim aż do spotkania z Inkwizytorem.

Wtedy ich drogi się rozeszły. Sensei Kastoriadis i Rudolf Heinz spotkali się ponownie półtora roku temu przy okazji jednej ze spraw, w której profiler brał udział. Wiele wskazywało na to, że mistrz karate w niewłaściwy sposób wykorzystał swoje umiejętności. Po pierwsze, zamordowany był sąsiadem Kastoriadisa. Po drugie, wiarygodni świadkowie potwierdzali, że na trzy dni przed śmiercią doszło do awantury między posiadaczem czarnego pasa i ofiarą. Po trzecie – drobnostka – w ciele zamordowanego tkwiło shuriken – śmiertelna metalowa gwiazdka, jakiej używali legendarni wojownicy Ninja oraz współcześni mistrzowie sztuk walki. Shuriken rzucone z nieprawdopodobną precyzją i siłą, wbiło się w oczodół dobrze znanego policji Tadeusza Hibnera, miażdżąc mu czaszkę. Widmo dożywocia, na które mógł zostać skazany sensei Kastoriadis, stało się całkiem realne, i kto wie, jak zakończyłaby się ta sprawa, gdyby nie udział Heinza, który wskazał mordercę. Po czwarte – jakiś czas później, gdy sprawa przycichła i Kastoriadisem nikt już się nie interesował, na działce należącej do Hibnera znaleziono ciało zamordowanej nastolatki. Dziewczyna była w ciąży.

– Uratowałeś mnie od stryczka – zwykł mawiać Kastoriadis od tamtego czasu. – Prawdziwy Grek nie zniesie więzienia. Pewnie bym się powiesił.

Teraz sześćdziesięcioletni karateka wiercił się w fotelu samochodowym i drapał w siwą czuprynę.

Była osiemnasta. Trzy godziny wcześniej biały opel zajechał pod „kukurydzę” na Osiedlu Tysiąclecia. Heinz wbiegł do klatki, potrącając w drzwiach Gumowe Ucho. Staruszka wyprowadzała na spacer psa. Heinz chwilę szarpał się z zamkiem, wreszcie drzwi ustąpiły.

W progu swojego mieszkania zderzył się z przerażoną dziewczyną.

– To tak się uczycie do matury, gratuluję – wycedził.

– Gdzie on jest? – Nie czekając na odpowiedź, wbiegł do pokoju syna.

W pierwszej chwili go nie rozpoznał.

Prawe oko chłopaka otaczał fioletowy krąg, lewe skrzyła opuchlizna. Obie wargi były nienaturalnie wydęte.

– Co tu się dzieje? – Heinz patrzył na przemian na syna i na dziewczynę.

– Nic mu nie mów! Nie jego sprawa! – wyseplenił chłopak.

Najpewniej wybili mu przednie zęby.

Heinz złapał dziewczynę za łokieć i wyprowadził do kuchni. Oparł o lodówkę wciąż upstrzoną żółtymi kartkami. Z lodówki spadł słoik z ogórkami w occie i rozprysł się na kawałki. Heinz stał w kałuży i czuł, że przesiakają mu buty.

Po kwadransie wiedział, co się stało.

Banalna historia. Grupa skinheadów skupionych w White Point miała zrobić „akcję”. Akcja miała polegać na tym, że poczekają przed akademikiem na „asfaltów” – czarnoskórych studentów, a następnie, jak zwykli mawiać, wypiorą skórę do białego. Heinz junior zawahał się i wycofał z udziału w tej awanturze. W oczach

kolegów okazał się mięczakiem. A jak ktoś jest mięczakiem, dostaje nauczkę od szefa, niejakiego Tyki.

Heinz otworzył szafę, mało nie wyrywając drzwi. Kij bejsbolowy, pamiątka ze Stanów Zjednoczonych, znów stał na miejscu.

A potem w spisie numerów wybrał opis „5 Dan” i nacisnął przycisk połączenia.

Zaparkowali trzydzieści metrów od metalowych drzwi baru. Lambros Kastoriadis i Heinz podeszli do dwumetrowego ogolonego na łyso chłopaka ze znudzoną miną żującego gumę.

– Bardzo przepraszam – powiedział Kastoriadis, zadzierając głowę – czy moglibyśmy wejść do środka?

Łysol popatrzył na dwóch mężczyzn i wypluł gumę pod ich nogi.

– Spadać, dziadki. Pomyliliście miejsca. Poza tym – zwrócił się do Heinza – Halloween dopiero za pół roku. Zabieraj stąd trolla! – wskazał ręką na Kastoriadisa, któremu natura poskąpiła wzrostu. – No, co mówiłem? Spierdalać! – Chłopak nadał się jak ropucha. Rozłożył ręce na boki, jakby dźwigał z hipermarketu siatki z zakupami.

Błąd, chłopie – pomyślał Heinz niemal ze współczuciem. Nigdy nie zwiększaj powierzchni, w którą możesz być trafiony.

Łysol zrobił krok do przodu i w tym samym momencie stopa Kastoriadisa zetknęła się z jego mostkiem. Skinhead z ogromną siłą rąbnął plecami o ścianę i osunął się na ziemię.

Heinz otworzył drzwi i poczuł, jak zapach piwnicznej stęchlizny miesza się ze świeżym powietrzem. Z głośników wydobywała się dźwiękowa melasa. „Wyparłem się Jezusa Chrystusa, starej żydowskiej świni” – Heinz z trudem zrozumiał słowa piosenki.

– Co jest, Pała? – ktoś krzyknął z dołu, zagłuszając tekst. – Miałeś stać przed drzwiami, a nie w drzwiach!

Kastoriadis zrzucił ciało nieprzytomnego Pały na dół i zszedł schodkami. Gdy był na przedostatnim stopniu, drogę zagroził mu chłopak, który wyglądał jak brat Pały. Kastoriadis wykonał nieznaczny ruch przedramieniem i grzbiet pięści wylądował na łysej czaszce. Urakenuchi – z uznaniem pomyślał Heinz, przypominając sobie firmowy cios mistrza.

– Pod ścianę, szmaciarze! – Heinz wrzasnął do trzech pozostałych i strącił ze stolika puszki z piwem i rzeżący magnetofon. – Chyba że chcecie wyglądać jak Pała i ten drugi – czubkiem buta kopnął w brzuch leżącego. W piwnicznych pomieszczeniach rozległ się jęk.

– Niezła tu akustyka, co? – Heinz zwrócił się do Kastoriadisa. – I smród tu potworny – pociągnął nosem i skrzywił się. – Powinniście dostawać dodatek za przebywanie w szkodliwych warunkach. – Popatrzył na trzy przestraszone twarze. – Którego z was nazywają Tyka?

Dwa odruchowe spojrzenia skierowały się w stronę muskularnego chłopaka ubranego w t-shirt ozdobiony zaciśniętą pięścią i wieńcem laurowym.

– Nazywam się Gajda, a nie żaden Tyka! – krzyknął chłopak.

Heinz skrzywił się i syknął.

– No to, chłopie, masz przesrane. – Znienacka uderzył Tykę w brzuch. Chłopak zgiął się i padł na kolana. – I nawet nie wiesz, dlaczego. Ale wyjaśnię ci – ukucnął i chwycił chłopaka za podbródek. – Nazwisko Gajda kojarzy mi się z obrońcą Odry Opole z lat sześćdziesiątych. A ja nie cierpię piłki nożnej, a piłkarzy Odry z lat sześćdziesiątych szczególnie. Po drugie – kopnął w magnetofon

– słuchacie straszego gówna, a ja lubię dobrą muzykę. I to by starczyło. Ale, Tyka, jest jeszcze najważniejszy powód.

Trzymał teraz Gajdę za szczękę, wbijając kciuk i palec wskazujący w jego policzki. Z otwartymi ustami i wybałuszonymi oczami Gajda przypominał rybę gigantycznych rozmiarów.

– Nazywam się Heinz, a ty skatowałeś mojego syna. Powinienem cię zabić, ale nie zrobię tego. Powiem ci, co się stanie, gdy mojemu chłopakowi spadnie włos z głowy. – Cisnął Tykę na ścianę. – Jeśli coś mu się stanie, wsadzę cię na czterdzieści osiem pod byle pretekstem, a potem moi koledzy zrobią to jeszcze raz. I tak będzie na okrągło. A w areszcie nagle się dowiedzą, że siedzi z nimi taki jeden, co za bardzo lubi małe dzieci, rozumiesz? – Tyka drgnął. – Nie chciałbym być wtedy w twojej skórze, gnoju. Na twoim miejscu już bym kopał grób. Albo wypierdalał do Irlandii. Tyle o tym.

Kastoriadis podszedł do Heinza. Położył dawnemu uczniowi rękę na ramieniu.

– Nie wiem, czy pamiętasz – powiedział Grek – ale, jak mawiał sensei Funakoshi, karate zaczyna się i kończy uprzejmością. Ja muszę być uprzejmy, ale ty... Ty nie musisz...

Heinzowi nie trzeba było powtarzać. Wykonał półobrót i z całej siły uderzył łokciem w ciało Tyki. Trafił w żołądek. Skinhead padł na ziemię i zaczął charczeć.

Wracali w milczeniu. Heinz nerwowo przerzucał stacje z banalnymi piosenkami, wreszcie zdenerwowany wyłączył radio. Dopiero gdy się zatrzymali przed domem Kastoriadisa, mistrz karate powiedział:

– To nie był dobry cios. Ten łokciem. Za dużo siły, za mało techniki. Kiedyś lepiej wykonywałeś empiuchi Powinieneś poćwiczyć.

Heinz nie odezwał się. Popatrzył na wysiadającego Lambrosa Kastoriadisa, pokiwał głową na pożegnanie i odjechał w stronę Osiedla Tysiąclecia.

Przez trzy kolejne dni Heinz nie opuszczał syna. Okazało się, że obrażenia nie były tak groźne, jak się wydawało na pierwszy rzut oka. Najważniejsze, że chłopak uniknął wstrząśnienia mózgu. Zęby naruszone, ale całe. To opuchnięte usta były powodem seplenienia. Opuchlizna i siniaki na twarzy oraz lekkie rozcięcia skóry na głowie to i tak niewielka cena za totalną głupotę. Najbardziej martwił się tym, że do matury było coraz mniej czasu.

Przez te trzy dni nie chciało mu się z nikim rozmawiać. Z nikim z wyjątkiem syna i jego dziewczyny. Heinz mówił nieustannie, jakby chciał nadrobić zaległości z wielu lat. Może z całego życia. Pierwszego dnia syn leżał odwrócony do ściany, drugiego – potakiwał głową, trzeciego – zaczął mówić.

W komórcie Heinza nagromadziło się kilkadziesiąt nieodebranych połączeń, głównie od Karloffa, ale także – co go zdziwiło – z komendy w Katowicach. Wykasowywał wszystkie wiadomości bez odsłuchiwania. Podobnie zrobił z esemesami.

Czwartego dnia telefon zadzwonił o szóstej rano. Znowu Karloff. Był poniedziałek. Czego on chce o tej porze? Tym razem jednak zdecydował się odebrać.

Nie dając Karloffowi dojść do słowa, wyjaśnił, co się stało.

Gdy skończył, usłyszał wściekły świst. Jego rozmówca sapał do słuchawki.

– Teraz ty słuchaj, Heinz. Nie urzekła mnie twoja historia. Zresztą to już kolejny raz. Powiem ci tylko, że odebrałem wiadomość skierowaną do ciebie.

– Do mnie? – Heinz pomyślał, że się przesłyszał.

– Do ciebie – sapał Karloff. – Brzmiała mniej więcej tak: „Jeśli interesuje pana los Rakowieckiego i Leskiego, proszę o kontakt. Jana Pawła II, pawilon 65. Eurociuchy”. Masz być tam dziś, Heinz, tylko dziś, o dwunastej.

– Cholera! – zaklął Heinz i wbiegł do pokoju syna.

Godzinę później był już w drodze do Warszawy.

Pierwsze zdziwienie Heinz przeżył, gdy ujrzał twarz Karloffa. Twarz pełną wściekłości, a jednocześnie niemego wyrzutu.

Jeszcze trochę, a pomyślę, że się za mną stęsknił.

Druga niespodzianka czekała ich w Alejach Jana Pawła II. Pawilon „Eurociuchy” sąsiedował z sex shopem o nazwie „Sado-Maso Eros-Psyche”. Pod tabliczką „Eurociuchy” mniejszymi literami ktoś dopisał: „Odzież militarna”.

Sex shop i militaria. Właściwa sceneria do rozmowy o zamordowanych klerykach lubiących męskie pieszczoty.

Za ladą stał pięćdziesięciolatek w zielonej wojskowej kamizelce. Długie siwe włosy miał związane w warkocz spadający za kark. Gryzł długopis i wpatrywał się w rozłożoną na blacie krzyżówkę.

– Brat sosny... brat sosny... – mamrotał pod nosem.

Karloff chrząknął i wtedy mężczyzna podniósł wzrok.

– W czym mogę panom pomóc? – Popatrzył sceptycznie na ubranie dwóch policjantów. – Wiosna idzie, proponowałbym bawełnianą bluzę Surplus Woodie w kamuflażu leśnym Woodland lub nocnym Night Camo. – Odwrócił się w stronę wieszaków.

Pomyłka. Totalna pomyłka – pomyślał Heinz. – Ktoś zrobił nas w jajo. Ale po co?

Karloff chrząknął jeszcze raz.

– Właściwie my w całkiem innej sprawie. Nazywam się Karewicz. Komenda stołeczna. A to komisarz Heinz...

Kotara oddzielająca sklep od zaplecza drgnęła. Zza płótna dobiegł głos, w którym dało się słyszeć napięcie.

– W porządku, Johnson. To jest rzeczywiście komisarz Heinz. Zapraszam na zaplecze, może tu porozmawiamy...

Mężczyzna zwany Johnsonem powrócił do rozwiązywania krzyżówki, a Karloff odsunął kotarę. Heinz zobaczył niskiego barczystego bruneta. Bez powodzenia próbował sobie przypomnieć, czy już go kiedyś widział. Nie miał natomiast wątpliwości, że zna drugiego. Tego, który siedział w fotelu. Chłopak o zapadniętych policzkach. Szczur. Wścibski donosiciel z żoliborskiego seminarium. Heinz przewiercił go spojrzeniem, które na chłopaku nie zrobiło najmniejszego wrażenia.

– Nazywam się Roszkowski – zaczął barczysty brunet. – Z moim kolegą, Jurkiem Szymczakiem, jeden z panów zdążył się już poznać. Za dwa lata skończymy – popatrzył na Szczura – seminarium i zostaniemy wyświęceni na księży... Jak Bóg da...

– Zaraz – przerwał Heinz. – Jak mnie znalazłeś czy też... jak mnie znaleźliście? I dlaczego chcecie rozmawiać właśnie ze mną?

Roszkowski milczał. Szczur wstał i zaczął mówić. Tym razem w jego głosie nie było nic przymilnego, żadnego cienia pochlebstw, od których Heinza mdliło w seminarium.

– Pobiegł pan wyłączyć alarm w samochodzie i zostawił przy krzyżu trochę rupieci. Wizytówkę, bilet kolejowy... Zresztą bilet mam ze sobą. Proszę...

Wyjął z kieszeni zadrukowaną kartkę złożoną na kilka części.

– Jak pan się zapewne zorientował, lubię wiedzieć, co się wokół mnie dzieje. – Szczur uśmiechnął się.

Nie da się zaprzeczyć, szczurzy ryju.

– Zaciekawilo mnie, co może robić w seminarium policjant z Katowic. A potem pomyślałem, że ktoś pana do nas przysłał, bo nie jest pan z Warszawy i nie siedzi w tutejszych układach...

Karloff chrząknął ostrzegawczo.

– Pogadałem z kolegą, on pogadał z wujem – Szczur kiwnął głową w stronę Johnsona – i doszliśmy do wniosku, że warto spróbować. Wuj zostawił dla pana wiadomość i...

– I ciesz się – wtrącił Karloff, spoglądając na Heinza – że to ja ją odebrałem. Bo inaczej... Sam wiesz... Przepadłaby w czarnej dziurze.

– W waszym seminarium jest jakieś boczne wejście czy zawsze wchodzi się tymi skrzypiącymi drzwiami? – zapytał Heinz.

– Są drugie drzwi – odparł Roszkowski. – Teoretycznie powinny być zamknięte, ale – spojrzał na kolegę – mamy swoje sposoby i potrafimy sobie poradzić.

– Pewnie nie wy jedni... – mruknął Heinz. – No dobra, to co chcecie mi powiedzieć o Rakowieckim i Leskim?

Roszkowski i Szczur popatrzyli na siebie ze zdumieniem.

– Zostawiliśmy wiadomość, że mamy coś ciekawego dla pana na temat kleryków. – powiedział Roszkowski.

– To nie chodziło o Rakowieckiego i Leskiego?

– Nie.

– No to o kogo? – Heinz zaczął tracić cierpliwość.

– O tych dwóch. – Szczur sięgnął do kieszeni i wyjął zdjęcie.

Heinz popatrzył na odbitkę. Dwie twarze znajdujące się po prawej stronie rozpoznał od razu. Dwóch z lewej strony nie znał. W miejscu centralnym stał mężczyzna wygolony na zero. Muskularnymi rękami opiętymi czarną koszulką polo, obejmował kleryków. Oczy miał przymknięte, jakby medytował, a na ustach błąkał mu się drwiący uśmiech.

Na zapleczu sklepu „Eurociuchy. Odzież militarna” rozmowa trwała jeszcze godzinę. Zakłócił ją jeden klient przymierzający bluzę Surplus Woodie w kamuflażu leśnym Woodland i triumfalny okrzyk Johnsona.

– Brat sosny – świerk! No jasne! Świerk!

O czwartej po południu Heinz pojechał do baru na Woli. Do tego baru na Woli, jak z naciskiem podkreślił Karloff, wyjaśniając, że właśnie tam przed kilku laty dokonano egzekucji na pięciu gangsterach.

– Stary, tam była prawdziwa jatka! – nawet po latach Karloff opowiadał z niezdrową ekscytacją. – A teraz spokój, cisza... Miejsca owiane złą sławą są najlepsze do spotkań takich jak nasze.

Przed spotkaniem Heinz zdążył jeszcze pojechać na Pragę i przebrać się. Kilka godzin temu, zanim dojechał do Warszawy, czuł, że jego koszula przesiąknięta jest potem. W barze Wiatrak zamówił kebaba z bakłazanem. Lepiej coś zjeść, bo nie wiadomo jak tam na Woli z wyszynkiem. Jest za to pewne jak w banku, że spotkanie będzie „na mokro”. Gdy zjadł trzy kęsy, usłyszał dźwięk telefonu. Zobaczył numer Komendy Wojewódzkiej w Katowicach. Zaklął w duchu, wytarł ręce w serwetkę, wyszedł przed bar i odebrał.

Błyskawicznie przełączono go do naczelnika wydziału kryminalnego. Myślał, że będzie musiał się tłumaczyć z nagłego zniknięcia i nieodbieranych telefonów, tymczasem czekała go kolejna tego dnia niespodzianka.

– Miałeś rację, Hipis – zaczął Krygier. – Pamiętasz Lasek Aniołowski? Więc mamy powtórkę z rozrywki. Około dziesięciu ciosów nożem. On ją zmasakrował, a potem... Wiesz, co zrobił?

– Włożył pióro do ręki?

– Nie. Zdjął z niej ubranie. A właściwie to, co z ubrania zostało. I starannie ułożył wszystko w kostkę.

– Zgwałcił ją?

– Nie. Mamy już co do tego pewność.

– Kiedy to się stało?

– W środę po południu. Mamy rysopis dziwnego faceta, którego widziano wtedy w Lasku. Jeszcze dziś wyślę ci całą dokumentację. Zobacz, co da się z tym materiałem zrobić. Obawiam się... Obawiam się, że to nie koniec.

Porozmawiali jeszcze o sprawie kleryków i Krygier się rozłączył.

Heinz stracił apetyt. Wrócił do stolika, wziął nadgryzionego kebaba i wyrzucił do kosza.

Dwaj śniadzi mężczyźni za barem obrzucili Heinza wrogim spojrzeniem i zaczęli coś mówić w niezrozumiałym języku. Heinz był pewien, że mówią o nim. I że to, co mówią, dalekie jest od komplementów.

Gdy wszedł do baru na Woli, poczuł nieprzyjemne ukłucie.

Dnia Zdziwionego Policjanta najwyraźniej ciąg dalszy. Karloff siedział przy stoliku z kimś, kto co chwila wybuchał głośnym śmiechem, odsłaniając pożółkłe zęby.

– Ludzie dobrej woli witają pogorzelnca, który powstał z popiołów!
– krzyknął Chłaściak.

A zatem Karloff powiedział mu o Inkwizytorze. Heinz zacisnął pięści i zrobił krok do przodu, gdy poczuł, że ktoś przytrzymuje go

za łokieć. Tuż za nim stała fanka rocka gotyckiego.

– Nie przejmuj się. On tak zawsze. Taki ma styl – szepnęła. – A teraz siadaj. Jesteśmy w komplecie.

Gdy wszyscy zamówili po piwie, Heinz opowiedział o spotkaniu w „Eurociuchach”. Wyjął zdjęcie, które dostał od Szczura, i zakreślił palcem postaci Rakowieckiego i Leskiego. Wskazał na księdza profesora Jana Rutgera, znakomitego biblistę, miłośnika buddyźmu w stylu Anthony'ego de Mello oraz mocnych trunków. Zrelacjonował spotkanie w seminarium. Chłaściak i gotycka Jolka coś skrętnie notowali.

– A teraz przechodzimy do tego, co najciekawsze. Otóż klerycy w „Eurociuchach” wcale nie chcieli rozmawiać o Rakowieckim i Leskim. Chcieli mówić o tych dwóch – Heinz zakreślił palcem twarze po lewej stronie. – Pierwszy z lewej nazywa się – sięgnął do notatek – Andrzej Skarga, drugi – Rafał Kotlarczyk. Powinni być teraz studentami trzeciego roku. Ale nie są. Nasi rozmówcy ciekawie scharakteryzowali całe to towarzystwo. Skarga to, jak powiedzieli, zdolny lawirant, gość, który cały czas próbował w seminarium dobrze się ustawić. Chwalił się, że starzy mają kasy jak lodu, prowadzą duży zakład pogrzebowy czy nawet jakąś sieciówkę dla umarlaków. Mówiło się, że stać go na upominki dla wykładowców. Taki typek. Co innego Kotlarczyk. Już na pierwszym roku uchodził za geniusza. Koleś władający biegle czterema językami. Pupilek profesora Rutgera. Nawet nasi informatorzy mówili o Kotlarczyku z zawiścią przemieszaną z podziwem. Podobno takie wunderkindy trafiają się w seminariach zakonnych, ale w diecezjalnych – sami to przyznali w rozmowie – poziom jest niższy i nikt się specjalnie do

nauki nie przykłada. Po prostu chodzi o to, by zostać księdzem. Ale jak widać, są wyjątki.

– Nikt nie lubi kujonów – wtrącił Chłaściak.

– Zapewne – powiedział Karloff. – Ale kujony ot, tak nie znikają.

– Obaj, Skarga i Kotlarczyk, opuścili seminarium i słuch o nich zaginął – ciągnął Heinz. – Skarga nie pojawił się po wakacjach, Kotlarczyk zgłosił się pierwszego dnia w październiku, a krótko potem zniknął. Rozumiecie? Żadnego listu, pisma. Po prostu nic. W jednym i w drugim przypadku. A teraz mamy Rakowieckiego i Leskiego...

– Chcecie powiedzieć, że te sprawy się łączą? – zapytała gotycka Jolka. – Że maniackalny morderca poluje na kleryków seminarium duchownego?

Heinz wzruszył ramionami.

– Tych czterech łączy kilka zazębiających się elementów. To samo seminarium. Wspólne zdjęcie. Osoba profesora Rutgera, który prowadził dla nich dodatkowe zajęcia...

– Dla tego lawiranta Skargi też? – zapytał Chłaściak.

– Dla niego też. Poza tym jest jeszcze coś. W seminariach każdy obserwuje każdego. Szpiegują się nawzajem i donoszą na siebie. Big Brother – popatrzył na Jolkę – to przy tym małe piwo. Jeden z naszych rozmówców – nazywam go Szczurem – opowiedział o pewnym zdarzeniu. Był czerwiec ubiegłego roku, wieczór. Szczur stał na korytarzu i zobaczył utykającego i zakrwawionego Kotlarczyka.

– Ale jaja! – Chłaściak ukazał poźółkłe zęby. – Prymus dał sobie w banię!

– Niezupełnie. Szczur opowiedział mi o tym, co usłyszał za drzwiami. Gdy Kotlarczyk wszedł już do pokoju, który dzielił ze Skargą.

– A co usłyszał?

– Kotlarczyk mówił mniej więcej tak: „Prawie rozjechał mnie samochód. I nie uwierzysz, ale wydawało mi się, że...”

– Że co? – zapytał Chłaściak.

– Tego już nie wiemy – wtrącił się Karloff. – Szczur usłyszał jeszcze, jak Skarga mówi: „To niemożliwe”. Niestety nie dosłyszał, co tam szeptali wcześniej.

– Zawsze tak jest – mruknął Heinz. – Żadnej pomocy znikąd.

– Tak czy inaczej ktoś, przypadkiem lub nie, wpadł na Kotlarczyka samochodem. Nie ma powodu, by mu nie wierzyć. Kotlarczykowi powinien ktoś towarzyszyć, w seminarium nazywają takiego towarzysza socjuszem.

– Wiemy, kto nim był? – zapytała Jolka.

– Nie. Szczur widział tylko, jak wracał Kotlarczyk. A może taki prymus mógł wyjść na miasto sam? Może wszyscy mu ufali? – Heinz stawiał te pytania bardziej sobie samemu niż pozostałym.

Uważnie popatrzył na trójkę policjantów. Nawet Chłaściak słuchał jego relacji z nietypową dla niego powagą i skupieniem.

Heinz opowiadał dalej.

– W czasie wakacji znika jego kumpel z pokoju, Skarga. Geniusz Kotlarczyk pojawia się w październiku na uczelni i nagle, po tygodniu, porzuca seminarium. A teraz dwaj klerycy z tego samego seminarium zostają uduszeni... Cztery klerycy ze zdjęcia znikają...

– Swoją drogą ciekawe, czy profesor Rutger ma samochód. – Chłaściak popatrzył na Heinza.

– Ma – wtrąciła się Jolka. – Ten wasz Rutger to w ogóle ciekawa figura...

Przerwał jej dziwny chrzęst. Heinz odwrócił się i zobaczył dwóch mężczyzn rozgniatających zębami szklanki do piwa. Pomiedzy nimi siedziała tęga kobieta, stół zastawiony był pustymi butelkami dębowego mocnego. Jednemu z zawodników odłamki szkła wbiły się w wargi, z których płynęła strużka krwi.

– Fascynujące. – Gotycka Jolka wydeła usta. – Więc tak jak chciałeś, Karloff, uruchomiłam swoje kontakty. Porozmawiałam z Krzysztofem Bednarzem, pseudonim Koniaczek.

– To chłopak z miasta? – zapytał Heinz.

– Nie. Dziennikarz. Zresztą chłopak z miasta czy dziennikarz... Czasem na jedno wychodzi – powiedziała Jolka. – Wypytałam go o to i owo, oczywiście przy butelce czegoś mocniejszego. Ten Rutger jest powszechnie znany. Światowy ekspert od Starego Testamentu. Biblista, którego książki czytają ponoć w seminariach na całym świecie, a poza tym ciekawy gość, nieco na bakier z doktryną. Od dawna mówi się głośno o tym, że Rutger chce porzucić stan duchowny... To podobno tylko kwestia czasu. Już teraz ubiera się, zaraz, muszę znaleźć to w notesie... ubiera się „na krótko”.

– Na krótko? – zdziwił się Heinz.

– Koniaczek wyjaśnił mi, że tak nazywa się księdza, który nie nosi sutanny, ubiera się po cywilnemu, a jedyną oznaką jego stanu jest koloratka.

– To zupełnie jak z nami! – nie wytrzymał Chłaściak. – Też nie chodzę w mundurze, pod pachą noszę tylko swojego glocka. A jeśli chodzi o tego księdza, to co mu się porobiło? Kryje się za tym jakaś laska w tle?

– Raczej nie. Rutger to podobno rygorysta. Człowiek, który chciałby, żeby Kościół był jak wojsko. Zdyscyplinowany. Bez skazy. Bez grzechu. Jego medytacja i buddyzm to tylko środek do tego celu. Ponoć taka medytacja pomaga zbliżyć się do Boga. Podobno też Rutger jest w konflikcie z rektorem seminarium – Jolka sięgnęła do notatek – doktorem Majdą. Co nie przeszkadza mu korzystać z jego gabinetu. Tak przynajmniej opowiadał mój ochlapus.

Heinz potwierdził tę informację.

– A o co się pokłócili? O tę wojskową dyscyplinę? – zaciekał się Chłaściak.

– Koniaczek nie wiedział. Powiedział mi za to, że już kilka lat temu o seminarium na Żoliborzu zrobiło się głośno, gdy okazało się, że kilku kleryków uczestniczy nadzwyczaj aktywnie w życiu towarzyskim. Wiecie, o czym mówię?

Wszyscy trzej kiwnęli głowami.

– Tyle że o Majdzie mówi się, że to świetny organizator. I człowiek, który wie, jak się poruszać na kościelnych salonach.

Od sąsiedniego stolika dobiegł rumor. Zawodnik z rozkrwawionymi ustami padł na podłogę. Ukląkł i zaczął rytmicznie się chwiać do przodu i do tyłu. Spomiędzy palców, którymi przytrzymał głowę, ciekła krew.

– Ty debilu! – rozległ się wrzask kobiety. – Leje się z ciebie jak ze świni! Jak ja cię teraz do domu przeprowadzę koło komisariatu na Żytniej?

Pytanie najwyraźniej należało do retorycznych, a kobieta nie pierwszy raz miała do czynienia z taką sytuacją. Szybkim ruchem podciągnęła spódnicę, zdjęła majtki i przyłożyła je do rozbitej skroni.

– A teraz – zaszcebiotała – chodź już, Rysieńku! No chodź...

– Patrzcie – wrzasnął Chłaściak, wskazując na białe majtki szybko nasiąkające czerwienią. – Nasze barwy narodowe! Patriotyzm jutra!

Kobieta drgnęła i popatrzyła na trzech mężczyzn i kobietę siedzących przy stoliku.

– Co powiedziałaś, pletwiasty alfonsie? – zasyczała do Chłaściaka.

Patriotyzm jutra i pletwiasty alfons. Mieszanka wybuchowa. Eloquentny policjant i złotousta menelica.

Drugi z zawodników popatrzył rybem spojrzeniem na Heinza.

– Laura, daj spokój – powiedział. – Przecież to psy. Na kilometr widać.

Rysieniek, kobieta zwana Laurą i ten trzeci ruszyli w stronę wyjścia. Przy stoliku, przy którym siedział Heinz, nikt nawet nie drgnął. Spojrzenia trzech mężczyzn z powrotem skupiły się na jedynej kobiecie, która pozostała w lokalu.

– Wypytałam jeszcze Koniaczka, czy ten Rutger ma jakichś przyjaciół. I tu, uwaga, jest podobno taki jeden. Stanisław Bator. O facecie krążą legendy. Kiedyś komandos, potem misjonarz w Azji, teraz instruktor sztuk walki. A wiecie, jak na niego trafiłam?

Jolka nie czekała, aż ktoś odpowie.

– Zapytałam Koniaczka, z czym kojarzą mu się cyfry dwadzieścia jeden i trzydzieści siedem.

– I powiedział ci o śmierci papieża? – Karloff dopił piwo.

– Nie. Cyfry skojarzyły mu się z klubem prowadzonym przez Batora. Ten klub nazywa się... No zgadnijcie, jak? – Jolka rozprostowała dłoń, ukazując fioletowe tipsy.

Zanim wyszli, Heinz rozdzielił zadania. Chłaściak miał jeszcze raz przeczesać seminarium i dowiedzieć się jak najwięcej o czterech klerykach, którzy bądź tajemniczo znikli, bądź zostali zamordowani. Musiała przecież zostać jakaś korespondencja. Ludzie ot, tak po prostu nie znikają. Zwłaszcza przypadek Kotlarczyka wydawał się zagadkowy. Żaden natchniony geniusz nie opuszcza seminarium dobrowolnie. Zwłaszcza tydzień po rozpoczęciu nowego roku. A już z pewnością nie robi tego bez wiedzy mentora. Bez wiedzy profesora, który otoczył go opieką. Opieką – tu Heinz się zastanowił – pojętą może zbyt dosłownie.

Umówili się, że gotycka Jolka sprawdzi w Zintegrowanym Systemie Informacji Policyjnej, czy odnotowano w nim nowych bohaterów. Dopóki chodziło o Rakowieckiego i Leskiego, poruszali się po omacku. Teraz do sprawy wkroczyli dwaj nowi klerycy oraz Stanisław Bator. Człowiek, o którym krążą legendy.

Heinz postanowił, że rano zajrzy z Chłaściakiem do seminarium. Nie ufał umiejętnościom policjanta o pożółkłych zębach. Nawet dziś się nie wykazał. Nie zapytał o to, dlaczego dwaj wścibscy klerycy, Roszkowski i Szczur, zdecydowali się porozmawiać z policją. Inna sprawa, że odpowiedź nie należałaby do najmądrzejszych.

Przypomni sobie zmieszane spojrzenie Roszkowskiego, gdy sam zada mu to pytanie.

– Lepiej ty powiedz – Roszkowski zwrci si do Szczura.

Wymoczek wzi do rki zdjcie.

– Tu jest naszych czterech kolegw. I nasz wykadowca. A on – Szczur popatrzy na Roszkowskiego – zrobi im to zdjcie. Wic sami rozumiecie...

– e niby co? – nie wytrzyma Karloff. – Wydaje si wam, e wszyscy, ktrzy maj co wspolnego z tym zdjciem, gin? – Blizna na twarzy wydużya si. – e to jak w tym filmie o kasecie wideo, ktra zabija? Zapomniaem tytuu...

– Ring ... – odpowiedzia Heinz.

– No wasnie, Ring Lecz si, chopie. – Karloff popatrzy na Roszkowskiego. – Jeden z drugim, leczcie si. I jeszcze jedno – zniży gos. – Doceniamy wasze informacje, ale od tej pory koniec z harcerstwem i prywatnym dochodzeniem. Zrozumiano?

Zatem Chlaciak nie zada oczywistego pytania. Inna sprawa, e gotycka Jolka te o to nie zapytaa, ale policjantk o wygldzie mrocznej wokalistki Heinz traktowa jako inaczej. Pojad wic do seminarium we dwoch. Moe co zauway, moe natknie si na co niezwykego. Albo przynajmniej znowu trafi na seans biczowania.

Rano seminarium, a po poudniu wielki wiat. High life. Ustali, e wtedy, razem z Karloffem, odwiedz biznesmena Jana Kunickiego, ktry – o ile wasnie nie zaatwia czego na drugim kocu wiata – wydawa obiady wtorkowe dla przyjaci. W tej grupie miecili si ci wszyscy, z ktrymi Kunicki prowadzi rozmaite interesy. W tej grupie – powiedzia mu to ju Karloff – nie przewidywano czwartorzdnych policjantw.

Heinz wrócił do hotelu na Sierakowskiego, do pokoju, który nie wywoływał już w nim żadnych negatywnych skojarzeń. Właściwie czuł się tu teraz tak samo jak we własnym mieszkaniu. Czuł się nijako. Na biurku poznaczonym śladami niedopałków położył zdjęcie. Zachciało mu się palić, tymczasem Jolka i Chłaściak skutecznie podzielili się jego sianowatymi chesterfieldami.

Zszedł na dół do baru, kupił paczkę marlboro i czteropak źle schłodzonego Lecha. W laptopie włączył bostoński koncert zespołu Fleetwood Mac, z czasów gdy Peter Green nie popadł jeszcze w obłęd i był geniuszem gitary. Wypił duszkiem jedno piwo i wrócił do zdjęcia, które otrzymał w „Eurociuchach”.

Czterech kleryków ufnie patrzących w obiektyw i człowiek o zmrużonych oczach. Wpatrywał się w fotografię, wykonaną chyba na patio seminarium, i zaczął dostrzegać szczegóły, których nie widział wcześniej. Rakowiecki i Leski. Dwaj blondyni. Skarga i Kotlarczyk, bruneci o podobnej, średniej budowie ciała, jak podawano w rysopisach. Z daleka można by ich pomylić. Po lewej stronie geniusz i leser. Po prawej – przywódca i ten, który zawsze był w cieniu. Dzielili pokoje. O dwóch wiemy, że byli gejami. A co wiemy o Skardze i Kotlarczyku? Na razie nic. Zobaczymy, co ustali Jolka.

Wypił kolejne piwo i poczuł, że lekko wiruje mu w głowie.

Black Magic Woman i Oh Well, popisowe utwory Greena, skończyły się, zagłuszone oklaskami publiczności.

Pozostaje Stanisław Bator. Heinz wpisał w przeglądarce internetowej cztery słowa: Stanisław Bator sztuki walki. Najwyżej wyskoczyła strona klubu „21:37”. W notce o Batorze nie znalazł nic ponad to, co usłyszał w barze na Woli, wśród odgłosów gryzionego

szkła. Przejrzał galerię klubowych zdjęć. Fotografie ćwiczących adeptów w różnym wieku. Od przedszkola do Opoła. Zawodnicy na fotografiach mniej lub bardziej udolnie wykonywali dobrze znane Heinzowi bloki i kopnięcia. Poczłł piekącą zazdrość. Przypomniał sobie senseia Kastoriadisa i zaproszenie na trening.

Gdy to wszystko się skończy, spróbuje jeszcze raz.

Przy jednej fotografii, przedstawiającej Batora oraz mężczyznę o zmrużonych oczach, Heinz zatrzymał się dłużej. Podpis pod zdjęciem brzmiał: „Sensei Bator i mistrz duchowy, profesor Rutger”.

Heinz przeczytał informacje zamieszczone na stronie klubu. Gdy czytał posty zawodników trenujących u Batora, zrozumiał, co nie dawało mu spokoju. Bluesowa maszyna w Bostonie grała bez zarzutu, za to on sam odnalazł wreszcie fałszywą nutę, która z uporem do niego powracała.

Otworzył trzecią puszkę i powrócił do zakładki „O nas”.

Powoli składając litery, niczym dziecko, by nie popełnić błędu, przeczytał: „Klub istnieje pod tą nazwą od marca 2005 roku”.

Przecież papież zmarł w kwietniu tamtego roku. Nazwa klubu nie może nawiązywać do godziny śmierci najdostojniejszego z Polaków dwudziestego wieku, którego szybko nazwano JP2. Niczym jakiegoś podrzędnego rapera. „Klub istnieje pod tą nazwą od marca 2005 roku” – przeczytał jeszcze raz. Nie jest więc tak, że nazwę nadano później. Cyfry dwadzieścia jeden i trzydzieści siedem nie odnoszą się do śmierci papieża. Chyba żeby przyjąć, że Stanisław Bator posiadał również zdolności profetyczne.

Otworzył czwarte piwo. Czuł, że brak snu i jedzenia oraz stres zrobiły swoje. Był pijany. Z trudem wybrał w komórce numer kolegi z zespołu. Numer doktora Ryszarda Burdyny, gitarzysty

z powołania, a z zawodu antropologa kultury. Burdyna nie miał w lewej dłoni palca, którym pokazuje się serdeczność nieprzyjaciołom, ale nie przeszkadzało mu to w graniu karkołomnych pochodów na czterech nisko brzmiących strunach.

– Chryste, Hipis, albo wybili ci zęby, albo się totalnie uspawałeś – powiedział basista, gdy Heinz próbował wyjaśnić, w jakiej sprawie dzwoni.

– Chryste... ten Chrystus. to dobre... I uspawałeś też – bełkotał Heinz.

Przez piętnaście minut wyjaśniał, o co mu chodzi.

– O ile cię rozumiem, chodzi ci o to – przemówił Burdyna – że masz klub sportowy i cyfry. I religię w tle. Ale chodzi ci o te cyfry. O to, co one znaczą. Mogą znaczyć wszystko. Pamiętasz modę wśród kibiców piłkarskich, którzy wieszali na trybunach transparenty z cytatami z Biblii?

Heinz pokręcił głową.

– Jesteś tam, Hipis? – zaniepokoił się basista. – To jest na bank jakiś cytat z Biblii. Szukaj, a znajdziesz... – Usłyszał beknięcie w słuchawce.

Tej nocy Heinzowi przyśnił się koszmar. Była noc, a on szedł ulicą. Usłyszał, że nadjeżdża samochód, wydając zgrzyt charakterystyczny dla wiszącego na jednym zawiasie zderzaka. Heinz poczuł przeszywający ból w lędźwiach. Samochód zahaczył go i odrzucił na kilka metrów, tuż pod ogrodzenie z prymitywnej siatki. Z samochodu wysiadł kierowca. Kapelusz zakrywał twarz naznaczoną dziobami po ospie. Latarnia rzucała na mężczyznę cień, który stykał się z ciałem bezradnego Heinza. Słyszał szelest butów, potem kroki ucichły. „Jestem trociną, Heinz. Cały jestem z trocin.”

Szuranie butów stało się głośniejsze. Mężczyzna pochylił się, zdjął kapelusz i przycisnął go Heinzowi do twarzy. Heinz otworzył usta i poczuł dławiącą kulę filcu zatykającego mu gardło.

Była trzecia trzydzieści rano, gdy Rudolf Heinz obudził się gwałtownie w hotelu policyjnym przy ulicy Sierakowskiego. Przez otwarte okno wdarło się świeże powietrze, a Heinz zrozumiał, że obudził go jego własny krzyk.

Obudził się we właściwym momencie. Jeszcze chwila i eksplodowałby mu pęcherz. Poszedł do łazienki, wysikał się i spojrzął w lustro. Dobrą minutę wpatrywał się w nabrzmiałą twarz i podpuchnięte oczy, jakby właśnie odbył dwunastorundową walkę bokserską. Wiedział, że nie pomogą mu żadne wynalazki. Ani aspiryna, ani nowoczesne wspomagacze w rodzaju 2KC, którymi szprycują się na kacu policyjni małolaci, tacy jak Baryka.

Lekarstwo było jedno. Heinz wiedział, co ma zrobić, i na samą myśl o tym cierpła mu skóra. Wszedł pod prysznic i wychłostał się lodowatą wodą. Mokry wybiegł do pokoju i zrobił dwadzieścia pompek. Kolejna porcja biczów i znów pompki. Bicze i pompki. Powtórzył te czynności pięć razy i poczuł pięć razy, że umiera.

Zrobił pompki po raz szósty i padł na dywan.

Podniósł się, strzepał z ciała popiół z papierosów i grudki błota. Jego głowa wreszcie pracowała na pełnych obrotach.

Niczym komputer Deep Blue, który dziesięć lat wcześniej wygrał mecz szachowy z Garrim Kasparowem.

Odtworzył sobie sekwencję myśli, które przetoczyły mu się przez głowę, nim zapadł w pijacki letarg. Zanim padł uspawany. Klub sztuk walki. Zdjęcie Batora i Rutgera. Przypomniawszy sobie spotkanie ze sławnym biblistą w seminarium.

Już wiedział, czego ma szukać.

Ubrał się, zbiegł na dół i obudził zaspanego portiera.

– Czy jest jakiś kościół w pobliżu?

Recepcjonista patrzył na Heinza, jakby ujrzał przed sobą co najmniej mutanta z serialu Archiwum X.

– Kościół Świętego Floriana – wybełkotał. – Ale o tej godzinie... o tej godzinie raczej zamknięty. Moja żona, nieboszczka, świętej pamięci, lubiła chodzić na msze poranne...

Heinz nie chciał słuchać wspomnień z czasów pożycia małżeńskiego recepcjonisty. Faktycznie. Strzelisty, a zarazem szlachetny pseudogotyck – Heinz przywołał w pamięci obraz ceglanych kościelnych wież. O tej godzinie – wyświetlacz w telefonie wskazywał piątą rano – nie dobijają się do plebanii nawet staruszki nadające na tej samej częstotliwości co Radio Maryja.

Heinz nie mógł czekać. Był pewien swego jak drapieznik trzymający ofiarę za gardło.

Nie mógł się mylić. Tylko jak zweryfikować przypuszczenia? Zastanawiał się, do kogo mógłby zadzwonić. W domu Biblii nie miał, zresztą syn o tej godzinie pewnie nie odbierze. Burdyna śpi w najlepsze. Komórkę włącza najwcześniej o dziesiątej rano, a telefon stacjonarny ostatnio odłączył. Ale przecież... Tak, to oczywiste... Od razu mógł o tym pomyśleć. Spojrzał na wyświetlacz. Piąta dwadzieścia. No trudno. Zaryzykuje.

Wybrał numer.

– Co jest, Heinz? – usłyszał zachrypnięty a zarazem czujny głos naczelnika wydziału kryminalnego, Krygiera. Głos, w którym

napięcie mieszało się z nadzieją. – Masz coś w sprawie naszego główna w Lasku?

Szef spodziewał się telefonu w tamtej sprawie. Zbawienego telefonu. Zanim morderca zabije po raz trzeci.

– Nie dostałem jeszcze dokumentacji z ostatniego zdarzenia – zaczął Heinz. – Tak naprawdę, szefie, dzwonię w innej sprawie. Czy ma szef pod ręką Biblię? Muszę koniecznie coś sprawdzić.

Zapadło milczenie. Heinz usłyszał w słuchawce przyspieszony oddech.

– Pojechało cię, Hipis? Po co ci Biblia? – Krygier ciężko westchnął.
– Ja Biblii nie używam, ale moja stara, jak wiesz, i owszem.

Heinz wyjaśnił krótko, o co mu chodzi.

– Poczekaj chwilę, zaraz wrócę.

Kilka minut wcześniej Heinz przypomniał sobie wzrok Krygiera w niedzielne popołudnie, gdy wydał polecenie, które wcześniej ktoś wydał jemu. Polecenie służbowe, by to właśnie Heinz zajął się sprawą zamordowanych kleryków. Pełne udręki spojrzenie naczelnika brało się nie tylko stąd, że niespodziewana sprawa zakłóciła rytm jego niedzielnych obiadów. W równym stopniu naczelnik martwił się o to, że polecenie z CBS wywróciło do góry nogami harmonogram dnia jego małżonki, anorektycznej, gadatliwej pani Krygier, która po niedzielnym obiedzie zwykła zniknąć na kilka godzin za murami kościoła, by z podobnymi do niej kobietami udzielać pomocy potrzebującym.

W odłożonej słuchawce Heinz usłyszał szuranie kapci, a następnie głos naczelnika:

– No to, Hipis, który fragment mam ci znaleźć?

„Ezechiel. Mój ulubiony prorok. Mówi się o nim, że nieco odbiegał od normy” – przypomniał sobie słowa Rutgera. Przed oczyma widział zdjęcie, na którym uwieczniono biblistę i Stanisława Batora.

– Księga Ezechiela. Rozdział dwudziesty pierwszy, werset trzydziesty siódmy.

Krygier szukał odpowiedniego fragmentu, a Heinz czuł, jak jego dłoń miażdży zaciśnięty w pięści długopis.

– Połapać się w tym trudno... – wymruczał Krygier. – Dobra, mam. Brzmi to tak: Staniesz się strawą dla ognia, krew twoja będzie płynąć w środku kraju i nie pozostawisz po sobie wspomnienia – ponieważ Ja, Pan, tak powiedziałem³

Heinz poprosił o powtórzenie i dokładnie zanotował fragment.

– W ogóle – dodał Krygier – rozdział dwudziesty pierwszy zatytułowany jest „Miecz Pański”. I wiesz co, jak dobrze popatrzeć, są tu niezłe fragmenty, takie w sam raz dla nas. Na przykład werset czternasty: Miecz, miecz / Wyostrzonego i wyczyszczono A dalej jest o tym, że miecz wyczyszczono i wyostrżono, / aby go podać w rękę tego, co zabija.

– Może na początku księgi jest jakiś komentarz? Coś o tym Ezechielu?

– Zaraz sprawdzę – Krygier zamilkł. – O, jest! Posłuchaj: „Wbrew poglądom niektórych krytyków, że Ezechiel był chorobliwym fantastą, wizjonerem cierpiącym na urojenia, a nawet epileptykiem – sama treść dzieła i zgodność jego wypowiedzi z faktami historycznymi wykazują dobitnie, że posiadał on niezwykły zmysł rzeczywistości”.

„W dzisiejszych czasach byłby gwiazdą popkultury.” To także słowa Rutgera.

– Chcesz powiedzieć – spytał Krygier – że morderstwo kleryków ma coś wspólnego z tym Ezechielem? Że ktoś realizuje jego proroctwo?

Heinz włożył papierosa do ust. Drżały mu ręce. Z trudem udało mu się zbliżyć zapalniczkę.

– Mam nadzieję, że nie. Że morderstwo nie ma z tym nic wspólnego – wypuścił dym. – Mam nadzieję, że to fałszywy trop.

Spod pach strużkami spływał mu pot. Kolejny raz tego poranka wszedł pod prysznic. Miecz Pański. Stanisław Bator. Duchowny, misjonarz i komandos w jednej osobie, który nazwał swój klub tak, by był aluzją do księgi Ezechiela. A w tle jego mentor i być może przyjaciel, profesor Rutger, wielbiciel proroka, zdaniem niektórych krytyków: chorobliwego fantasty i wizjonera.

Przypomniawszy sobie, że zostawił ubranie przy kabinie prysznicowej. Czuł w mięśniach ból zwiastujący zakwasy. A na zakwasy dobre jest piwo i zawarta w nim witamina B6. Powstrzymało go lenistwo i myśl, że wyprawa po piwo o tej godzinie jest czymś równie okrutnym, jak zrywanie ze snu naczelnika Krygiera po to, by odczytywał biblijne wersety.

O szóstej trzydzieści Heinz przyrzekł sobie, że następne piwo wypije dopiero wtedy, gdy skończy z tym skurwysynem, który zabił Rakowieckiego i Leskiego.

Wtedy wypije za zdrowie i dobrą formę sędziego, który będzie się zajmował tym bydlakiem.

– Nie mówcie mi, do cholery, że nie ma po nich śladu. – Heinz usłyszał poirytowany głos Chłaściaka.

Policjant siedział w gabinecie rektora. Pod drugiej stronie biurka ojciec duchowy seminarium, Jerzy Jurek, człowiek bez nazwiska lub człowiek dwojga imion, wertował segregatory z dokumentami.

– Chciałbym zwrócić panu uwagę, że nie jest pan u siebie w komendzie – cicho powiedział Jurek, podnosząc wzrok na wchodzącego mężczyznę. – Może pan – popatrzył na Heinza – zechce wyjaśnić koledze, że...

– Mój kolega – przerwał Heinz – chciał tylko powiedzieć, że nie pomagacie nam w sprawie.

Chłaściak niemal niezauważalnie kiwnął głową.

A jednak dobry jest – pomyślał Heinz o policjancie. – Wie, jak z nimi gadać. Może wie to lepiej ode mnie.

– Próbujemy ustalić, kto zabił Rakowieckiego i Leskiego. Pewien związek z tą sprawą mogą mieć dwaj inni klerycy, Skarga i Kotlarczyk. Tyle że ci dwaj dla odmiany rozplnęli się w powietrzu.

– Niezupełnie – wtrącił Chłaściak. – Kotlarczyk przysłał list.

– To znaczy maila? – zapytał Heinz.

– Nie. – Jurek odłożył segregator. – Przysłał odręcznie pisany list. Zaadresowany do mnie. Wyjaśniał w nim, dlaczego odchodzi. Postanowił wyjechać za granicę, między wierszami można było wyczytać, że się z kimś związał.

Heinz podszedł do stołu i pochylił się nad Jurkiem.

– Wolałbym – powiedział cicho – przeczytać ten list niż dowiadywać się, co było między wierszami.

– To był list prywatny. Do mnie. Zniszczyłem go. Nie mogłem wiedzieć – potarł czoło – że będzie do czegoś potrzebny. A mówię o tym liście tylko dlatego – popatrzył na Heinza lodowatym wzrokiem – że w tym przypadku nie obejmuje mnie tajemnica spowiedzi...

– Mam tu – oznajmił Chłaściak – adresy rodzin Skargi i Kotlarczyka. Przynajmniej tyle...

Heinz nie słuchał. Patrzył na błyszczące w słońcu okładki płyt księdza Majdy.

– Pana rektora nie ma? – zapytał.

– Niestety nie ma. Kończy pisać książkę.

– Pewnie chce dorównać Rutgerowi. – Heinz podszedł do parapetu i zaczął obracać p łyty w dłoni. Refleksy porannego światła słonecznego odbijały się na suficie gabinetu. – Jest między nimi – dodał – jakaś cicha rywalizacja, prawda?

Jurek wstał.

– Między nimi – powiedział powoli – nie ma żadnej rywalizacji. Rutger to wybitny bibliista. Ale to ksiądz rektor wyprowadził z zapaści tę uczelnię i sprawił, że liczba przyjętych do naszego seminarium znacznie przekracza średnią krajową. Pozyskał też hojnych darczyńców.

– Tak, tak. – Chłaściak po raz pierwszy tego dnia odłonił poźółkłe zęby. – Ci wasi seminarzyści są jak z piosenki. „Pojawiasz się i znikasz”...

Chciał dokończyć, ale przerwało mu pukanie do drzwi. Heinz zobaczył starszego siwego mężczyznę. Spowiednik seminarium. Ksiądz trzymał w ręce jakiś pakunek.

– Przynieśli to do mnie – powiedział do Jurka, nie patrząc na dwóch obcych mężczyzn obecnych w gabinecie. – A mieli zanieść od razu do gabinetu rektora. To chyba ten biało-czerwony ornat z orłem ze sztandaru Pierwszej Brygady Legionistów. I to ornat w stylu rzymskim! Piękna robota! To chyba drugi taki w Polsce – spowiednik cmoknął. – A tu jeszcze haftowana stuła, zdobiona kryształami górskimi...

– Zdaje się, że rektor gustuje w luksusowych rzeczach – stwierdził Chłaściak.

Spowiednik zamilkł.

– Nie przedstawiłem księdzu tych panów – powiedział Jurek. – Obaj są policjantami.

Spowiednik zmieszał się.

– W takim razie... W takim razie nie przeszkadzam panom. Aha – zwrócił się Jurka – była prośba – wskazał ornat i stułę – byśmy pamiętali o Kunex Polska. Żeby przy sposobności wymieniać nazwę firmy.

– Ad maiorem Dei gloriam flagellatio – powiedział Heinz, gdy siwy ksiądz stał już w drzwiach.

Spowiednik drgnął i odwrócił się.

– Nie mam pewności, czy dobrze zapamiętałem. Kiepski jestem z łaciny. – Heinz przeczesał dłonią włosy. – Swoją drogą – popatrzył

na dwóch mężczyzn w sutannach – niezły tu odprawiacie show. Ad maiorem Dei gloriam flagellatio powtórzył cicho.

– Nie jest pan taki zły – odparł spowiednik. – Pański nauczyciel łaciny byłby zadowolony.

– Coś ty do niego mówił? – zapytał Chłaściak, gdy jechali do Pałacu Mostowskich.

Heinz nie odpowiedział. Myślał o stule inkrustowanej kryształami górskimi i o hojnych darczyńcach, którymi otaczał się rektor seminarium.

– Niestety, nie mogę panów wpuścić. – Ochroniarz w czarnym uniformie wyszedł z budki strażniczej podobnej do tych, jakie stoją przed ambasadami, i popatrywał to na dwóch policjantów, to na legitymacje, które trzymali w rękach.

Była szesnasta. Zakurzony opel zatrzymał się na nierównej piaszczystej drodze prowadzącej do rezydencji w Konstancinie-Jeziornie. Dwaj inni ochroniarze, także w czarnych uniformach, próbowali za pomocą pistoletów ciśnieniowych usunąć czarną maź powstałą z deszczu, piasku i błota, wypełniającą wyboistą nawierzchnię koło ręcznie kutej bramy i ogrodzenia. Błotniste ścieżki prowadzące do pałaców stawianych w podwarszawskiej miejscowości za grube miliony przez biznesmenów, piosenkarki i polityków to norma. Tak przynajmniej twierdził Karloff.

– Wiesz, dlaczego Konstancin nazywają uzdrowiskiem? – zapytał Heinza, gdy mijali Starą Papiernię – miejscowy kompleks gastronomiczny, rozrywkowy i artystyczny.

– No?

– Bo tu chore fortuny i brudne pieniądze szybko zdrowieją i odzyskują blask.

Godzinę temu przetoczyła się nad Konstancinem typowa wiosenna burza z gradobiciem. Heinz raz jeszcze spojrzął na dwóch młodych

osiłków próbujących osuszyć drogę i przypomniał sobie mit o Syzyfie i jego daremnym trudzie.

Odwrócił głowę. Za lekkim wzniesieniem ukryty był olbrzymi dwupiętrowy dom; widział go kiedyś w jakimś kolorowym magazynie. Najpierw trzeba się było dostać na teren strzeżony nie przez jakiegoś emeryta zatrudnionego za psie pieniądze, ale dwudziestoletniego byczka, dla którego siłownia była zapewne drugim domem.

Heinz spojrział na masywne, ręcznie kute ogrodzenie i dwie kolumny zwieńczone posągami lwów szykujących się do skoku. Prymitywna metafora siły, panowania i drapieżnego kapitalizmu. Z niesmakiem pokręcił głową. Spojrział w obiektywy trzech kamer wy skierowanych w miejsce, gdzie stał z Karloffem, a potem popatrzył na twarz ochroniarza spaloną promieniami lamp ultrafioletowych.

– Powiedz mi jedną rzecz – Heinz popatrzył na bodyguarda. – Korzystasz z kabin czy z łóżka?

– Nie rozumiem... – warknął goryl.

– Chodzi mi o solarium. Pewnie opalasz się tak często jak nasz wicepremier. A więc kabiny czy łóżka?

Chłopak milczał.

– Pan Kunicki was nie przyjmie. Nie mam was na liście – powiedział po chwili.

– Dam ci dwie rady. – Heinz i ochroniarz patrzyli teraz na siebie tak, jak patrzą bokserzy podczas oficjalnego ważenia przed walką. – Po pierwsze, nie mów do gości na ty. Nawet do tych niezapowiedzianych, czyli takich jak my. Jeśli się tego nauczysz, twój szef będzie zadowolony. Prawda, Karloff?

– Uhm – Karloff potwierdził.

– Ale druga rada jest ważniejsza. – Heinz zrobił ruch głową, a chłopak instynktownie się cofnął. – Dotyczy tego, jak nie stracić tej roboty. Wiem, że jesteś tylko pierwszym ogniwem w łańcuchu ochrony tego czegoś – wskazał ręką na teren rozciągający się za ogrodzeniem. – Zatem przekaz komu trzeba taką wiadomość: jeśli nie zostaniemy wpuszczeni za pięć minut, w ciągu pół godziny zjawią się tu dwie stacje telewizyjne i kilku natrętnych, agresywnych pismaków. – Heinz przerwał i sprawdzał efekt. Widział, że jego słowa docierają do ochroniarza szybciej, niż się spodziewał. – A gdy już przyjadą, opowiem przed kamerami, że uniemożliwiono nam rozmowę z bogatym i wpływowym biznesmenem, choć mógł mieć ważne informacje na temat dwóch kleryków zamordowanych nad Wisłą. A widzowie zobaczą to wszystko na tle tych tandetnych lwów z marmuru – wskazał palcem. – Chcesz to wszystko zapisać czy zapamiętasz?

Ochroniarz zapamiętał. Z trzaskiem zamknął się w stróżówce i zaczął z kimś rozmawiać przez interkom.

Dziesięć minut później zakurzony opel wjechał na teren posiadłości.

– Nieźle to rozegrałeś. – Karloff z uznaniem pokiwał głową. – Niedawno też miałem takiego kolesia, biznesmena od siedmiu boleści. Gość nie chciał mówić, więc musiałem go zainspirować.

– Jak cię znam – Heinz skrzył po łuku w lewo – porwałś faceta i kazałeś mu kopać dół.

– No to mnie nie znasz. Wiesz, co zrobiłem? Uprowadziłem mu kota.

Heinz parsknął śmiechem.

– Kota?

– Kot leśny norweski. Wiedziałem, że gość jest zakochany w tej pokrace, ale że jest to kot leśny norweski, dowiedziałem się dopiero wtedy, gdy kazał swoim ludziom wieszać ogłoszenia na latarniach i takie same dał do gazet.

– I co zrobiłeś?

– Zadzwoiłem do niego i powiedziałem, że jego miauczący przyjaciel bardzo tęskni za domem.

– Ty nie jesteś normalny. – Heinz spojrział na Karloffa.

– Dlatego nazywają mnie tak, jak nazywają.

Dojechali do końca zwirowanej drogi, która niespodziewanie się rozwidlała. Po lewej stronie zobaczyli kwadratowy parking o podłożu z czerwonej ceglastej mączki. Miejsca parkingowe oddzielone były od siebie liniami zaznaczonymi białą kredą. Cegła i kreda. Najwyraźniej na każdym kroku Kunicki musiał podkreślać powszechnie znaną miłość do tenisa. Swoją drogą zamiast lwów na kolumnach mógłby umieścić podobizny Samprasa i Agassiego. Byłoby oryginalniej. Trzy miejsca parkingowe były zajęte. Tu już nie było śladu po niedawnej burzy. Po lewej stronie stało białe audi A6, w środku mercedes E klasy, a po prawej stronie nissan Navara. Heinz włączył kierunkowskaz i chciał wjechać na wolne miejsce koło pickupa, gdy drogę zagroził mu kolejny ochroniarz. Mężczyzna w nienagannie skrojonym czarnym garniturze zdecydowanym gestem wskazał w przeciwnym kierunku, w stronę opustoszałego asfaltowego parkingu.

Zupełnie jakby opel był trędowaty i mógł zarazić te trzy ekskluzywne bryki.

Wysiedli z samochodu. Mężczyzna znów bez słowa wskazał ręką na ścieżkę prowadzącą obok domu, którego mógłby pozazdrościć

brazylijski latyfundysta.

Najpierw ochroniarz w czarnym uniformie pseudokomandosa, teraz goryl w garniturze kosztującym więcej, niż wynosi policyjna pensja. Na tym polega łańcuch ewolucji.

W Pałacu Mostowskich Heinz odrobił dziś stosowną lekcję. Zasada jest prosta: im groźniejszy przeciwnik, tym więcej musisz o nim wiedzieć. A Jan Kunicki z pewnością należał do topowych graczy. Heinz przez trzy godziny przerzucał informacje dostarczane przez gotycką Jolkę i Barykę. Zgoda, większość to nieistotne śmieci. Ale kilka wydało mu się ciekawych i wynotował je na kartce.

Tuż za hacjendą przejął ich kolejny ochroniarz i doprowadził do stolika osłoniętego od słońca gigantycznym parasolem. W fotelu wykonanym z rattanu siedział zwalisty mężczyzna w marynarce w drobną jodełkę. Oba podbródki, ten naturalny i ten, który był skutkiem otyłości, poruszały się rytmicznie, jakby odbywały stosunek seksualny. Kawał krwistego befsztyku w błyskawicznym tempie zniknął z talerza.

Przy grillu stał drobnej postury człowiek ubrany w jasne spodnie, jak do gry w golfa. Jego włosy pokrywała nienaturalna czerń, w takim samym kolorze była też koszulka polo. Żadnych dodatków, napisów, naszywek.

Pełna asceza.

– Skoro już tu panowie jesteście – mężczyzna skropił wodą brykiety, które zaczęły skwierczeć – to rozgoście się. Na razie mamy moje krwiste befsztyki i pieczarki po wiedeńsku.

Odwrócił się. Skóra pięćdziesięcioletniego mężczyzny wydawała się nienaturalnie naciągnięta. Na twarzy i na czole nie sposób było dostrzec choćby jednej zmarszczki. Więc tak wygląda

Jan Kunicki w wersji na żywo i unplugged. Bez kamer i mikrofonów zachęcających do inwestowania i pomnażania majątku w jego bankach.

– Ostrzegam – biznesmen uniósł rękę uzbrojoną w widelec – pieczarki po wiedeńsku podajemy tak, jak trzeba. Z mózdkami cielęcymi. Za jakieś pół godziny dowiozą nam z restauracji temaki-sushi. Oczywiście z kiełkami żółtej rzodkwi daikon. Rozumiem, że jedliście to kiedyś?

– A ja rozumiem, że tego pickupa wygrał pan w radiowym konkursie – odparował Heinz.

Kunicki drgnął, jakby ktoś wyrwał mu widelec z ręki i go nim dźgnął, a dwa podbródki znieruchomiały.

– Coś ty powiedział? – zasyczał Kunicki.

– Nissan Navara... Taki sam, jak u pana na parking. Jest taki radiowy konkurs. Myślałem, że pan wygrał...

Kunicki wybuchnął śmiechem.

– Pan jest pewnie komikiem? Ale ja na dziś kłowna nie zamawiałem.

Tyle operacji plastycznych, a wciąż może się śmiać pełną gębą.

– Ale może zamawiał pan dziś chłopców dla siebie. Tak jak ma pan w zwyczaju.

Biznesmen już się nie śmiał. Odwrócił głowę w stronę mężczyzny siedzącego przy stole i zjadającego się kolejnym befsztykiem.

– Byłoby dobrze, wesołu, gdybyś poznał mecenasa Warszawskiego. To mój adwokat. Od tego momentu pomyśl dwa razy, co mówisz, bo ten człowiek wsadzi ci dynamit do dupy, podpali lont, a ty zauważysz to wszystko dopiero wtedy, gdy będziesz daleko stąd. – Kunicki uniósł rękę w stronę bezchmurnego

nieba. – A teraz opuśćcie ten teren, bo psujecie mi popołudnie. Jedzenie się zepsuje na wasz widok.

Zaśmiał się ze swojego dowcipu i powrócił do grilla. Kropla potu z jego czoła spadła w rozpaloną czeluść i zaskwierczała. Audiencję uznał za zakończoną.

Heinz i Karloff wciąż stali w tym samym miejscu.

Dwa podbródki znów przestały się poruszać. Mecenas wytarł mięsiste wargi w serwetkę.

– Poznaję pana. Myśmy się już spotkali. – Popatrzył na Heinza tak, jakby omiatał spojrzeniem instrukcję posługiwania się gaśnicą pianową.

– Tak? Nie kojarzę.

– W Krakowie. W sądzie. Jakies trzy lata temu. Bronilem gościa, którego chcieliście wsadzić za podwójne morderstwo. Pańska rola była w tamtym procesie drugoplanowa, głównym dowodem miały być ślady zapachowe. Na sali sądowej zrobiłem z was miazgę. Efekt Rosenthala. Pamięta pan?

Teraz sobie przypomniał. W pamięci przywołał obraz dwóch sióstr z podejrzanymi gardłami. Wcześniej ktoś przywiązał staruszki do krzesła i zakneblował. Mecenas Warszawski nie mylił się – rzeczywiście w tamtej sprawie zadanie Heinza polegało jedynie na wykazaniu, że brutalne morderstwo nie ma nic wspólnego z dwoma podobnymi zabójstwami na terenie Małopolski. Nie było żadnej serii, to nie jest dzieło jednego maniaka – mówił Heinz przed sądem. Oskarżony mógł więc zabić siostry, a z pozostałymi morderstwami nie miał nic wspólnego.

Podstawowym dowodem w tamtej sprawie rzeczywiście były ślady osmologiczne, jednoznacznie wskazujące na oskarżonego. Tyle

że przy identyfikacji zapachów popełniono podstawowy błąd proceduralny. Do identyfikacji wykorzystano psa prowadzonego przez przewodnika, który znał rozmieszczenie pojemników z zapachami. I przewodnik mógł zasugerować psu – gestem lub zachowaniem – którą próbkę zwierzę powinno wskazać. Mecenas Warszawski bezwzględnie wykorzystał ten błąd podczas śledztwa. Tyle o tym.

– Pamiętam. – Heinz otrząsnął się ze wspomnień. – Pamiętam, że sprawił pan, by jeszcze jeden skurwysyn uniknął kary. Efekt Rosenthala albo inaczej efekt Mądrego Hansa. Nie byłem na tej części rozprawy, ale słyszałem, że dowodził pan, że przewodnik zasugerował coś psu, by sprawić swojemu pupilowi przyjemność, a i samemu się przy tym wykazać.

– Powiedzmy, że powiedziałem coś w tym stylu – odparł mecenas.

– To wszystko bardzo ciekawe, ale może spotkajcie się panowie w innych okolicznościach – Kunicki nie krył irytacji. – I porozmawiacie wtedy o tym Rosenthalu i mądrym Hansie.

– Zanim my się spotkamy w innych okolicznościach – Heinz chciał, by w jego głosie słychać było zapowiedź tego, przez co Kunicki będzie musiał przejść – zadam trzy krótkie pytania, dobrze? Po pierwsze – nie czekał, aż Kunicki coś odpowie – czy spółka Kunex Polska należy do pana?

– Pewnie i tak pan wie, że należy – warknął Kunicki. – Poza tym każdy głupi, widząc nazwę, by się domyślił. Nawet policjant.

– A czy to prawda, że nadal pańskim gorylem jest Andrzej Kruk, były mistrz Polski w zapasach?

– Zaraz się pan przekonasz – sapnął Kunicki. – On tu idzie.

Zza pobliskiego budynku, należącego zapewne do części gospodarczej posiadłości, wytoczył się mężczyzna będący górą mięśni i żył.

Jeszcze trochę i te bicepsy mu eksplodują.

– Chodź tu, Andrzej – Kunicki przywołał goryla ręką. – Ci panowie są z policji i chcą cię o coś zapytać.

Kruk spojrział spode łba na Heinza i Karloffa.

– To się nazywa kalafior, prawda? – Heinz wskazał na uszy byłego zapaśnika. – Takie zmacerowane podczas walk małżowiny nazywacie kalafiorami?

Kruk zrobił krok do przodu.

– O co ci, człowieku, chodzi? – zapytał głosem przypominającym dźwięk pralki w fazie odwirowywania.

– Chciałem zagadać, no wiesz... – Heinz uśmiechnął się. – A tak poważnie – zmienił wyraz twarzy – czy to prawda, że rok temu pobiłeś dziennikarza, który zamierzał napisać o dziwnej zażyłości łączącej twego szefa z młodymi chłopcami?

– Nie odpowiadaj – mecenas Warszawski ostrzegawczo uniósł palec.

– Wszystko to plotki rodem z tabloidów! – wrzasnął Kunicki. – Żaden artykuł nie powstał! A teraz wypad albo złożę na was skargę.

I tak złożę. Heinz nie miał wątpliwości.

– Ostatnia już rzecz. – Heinz sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, Kruk ostrzegawczo rozłożył ręce, a Karloff zrobił krok do tyłu, by w razie kłopotów sięgnąć po broń.

Wolnym ruchem Heinz wyjął dwa zdjęcia.

– Ostatnia rzecz – powtórzył. – Mam informację z seminarium na Żoliborzu. – Patrzył na Kunickiego i badał, jakie wrażenie wywarły

jego słowa. – Stała wysadzana kryształami i ornat dla rektora dotarły. Pan sponsoruje seminarium, a rektor dostarcza chłopaków, tak? Na przykład tych dwóch – rzucił na stół zdjęcia Rakowieckiego i Leskiego.

– Nic nie mów, Janek – mecenas znów uniósł palec.

– Ty bydlaku – powiedział Kunicki przez zaciśnięte zęby.

Usłyszeli kroki na zwirowanej ścieżce. Zbliżał się kolejny gość Kunickiego. Heinz zobaczył biały chiton i różowy szal. Następca Almodóvara, reżyser Latoszek uśmiechał się szeroko i rozłożył ręce, jakby chciał ogarnąć tym gestem cały świat. Uśmiech zgasł w chwili, gdy rozpoznał Heinza i Karloffa.

Parada Miłości, sukinsynu. Latoszek niepewnie podszedł do stołu, zobaczył zdjęcia zamordowanych kleryków i zbladł.

– Ciekawi mnie jeszcze jedno – Heinz mówił powoli. – Jaką musi mieć pan władzę i jakie wpływy, że ludzie – spojrzal na Latoszka – boją się wymieniać głośno pana nazwisko. Opowiadają o pańskich skłonnościach, mówią o klerykach, ale nazwisko podsuwają zapisane na kartce.

Kruk westchnął i uważnie popatrzył na reżysera. Nie było to spojrzenie pełne przyjacielskiej troski.

– Ciekawi mnie, czy pana wpływy są aż tak wielkie, by zatuszować morderstwo – dokończył Heinz i szybkim ruchem zgarnął fotografie ze stołu. – Miłego dnia – rzucił do Latoszka.

Był pewien, że tego dnia reżyser nie zaliczy do udanych.

W drodze do samochodu nie towarzyszył im już żaden z goryli Kunickiego. Gdy doszli do parkingu, usłyszeli ciche chrząknięcie. Odwrócili się. W bocznych drzwiach stała szczupła, zgrabna blondynka w ciemnych okularach.

Więc tak w rzeczywistości wygląda – pomyślał Heinz.

Przed nimi stała Paulina Rudek, jedna z pierwszych polskich topmodelek i telewizyjna gwiazda z początków nowej Polski. W latach dziewięćdziesiątych głośno było o jej ślubie z biznesmenem Janem Kunickim, zawartym w balonie, w przestworzach, na wysokości kilku tysięcy metrów. Kunicki nie byłby sobą, gdyby na czaszy balonu nie umieścił nazw wszystkich należących wówczas do niego firm, a zdjęć z uroczystości nie sprzedał za grube pieniądze jednej z plotkarskich gazet. A później słuch o Paulinie Rudek zaginął. Heinz pamiętał, że ktoś mu mówił, że modelka zrezygnowała z kariery i usunęła się w cień męża pomnażającego majątek. Teraz mógł stwierdzić, że mimo upływu lat uroda dawnej gwiazdy wciąż musiała działać jak magnes, skupiając na sobie spojrzenia pełne zachwyty lub zawiści. Co kto – z ocierających się o jej urodę – wołał.

– Czy mój mąż – chrząknęła ponownie – czy on coś zrobił?

Nie przedstawiła się. Nie musiała. Należała do osób, które nie muszą się nikomu w tym kraju przedstawiać. Oni też najwyraźniej nie musieli. Mieli zawód wypisany na twarzy.

– Skąd przypuszczenie, że pani mąż coś zrobił? – Karloff odruchowo podciągnął spodnie i wciągnął brzuch.

– Czy to ma coś wspólnego – zignorowała pytanie – z tymi zamordowanymi klerykami?

– Skoro już pani wie – Heinz wzruszył ramionami – to odpowiem szczerze. Sprawdzamy taką możliwość. Ale szczerść za szczerść. Proszę odpowiedzieć na pytanie mojego kolegi.

Paulina Rudek tanecznym krokiem podeszła do policjantów. Nie, nie podeszła. Przepłynęła po betonie. Heinz poczuł woń

egzotycznych perfum i zobaczył przed swoją twarzą szczupłą dłoń z paczką papierosów. Niespodzianka – pomyślał. Założyłbym się o wszystko, że nie pali. Zdrowy tryb życia i tak dalej.

– Nie palę mentolowych. Wolę swoje, jeśli się pani nie obrazi.

Wyglądali jak trójka licealistów, która podczas przerwy wyszła za szkolny budynek, by wpaść w szpony nałogu.

– Dzwoniła do mnie pewna panienka z jednego z tych kolorowych szmatławców. Pytała o tę sprawę z klerykami. Stąd wiem.

– I co pani odpowiedziała? – Heinz zaciągnął się głęboko.

– Poradziłam jej, by dała spokój. A już z pewnością by nie dzwoniła do mojego męża.

– On nie ma z tym nic wspólnego? – Popatrzył pod nogi, gdzie strząsnął popiół.

Milczała. Milczała dłużej niż powinna.

– Odpowiem panom tak: rok temu wokół podobnej sprawy węszył pewien dziennikarz z konkurencyjnego tabloidu. Chciał wiedzieć, czy mój mąż lubi chłopców. I czy korzysta, by tak rzec, z usług kleryków z zaprzyjaźnionego seminarium. Pewnego wieczora znaleźli tego dziennikarza nieprzytomnego na ulicy. Miał złamany nos i połamane wszystkie dziesięć palców. Żeby nie mógł pisać. A obok ktoś położył zdjęcie jego córki zrobione w momencie, gdy wychodzi ze szkoły. Rozumiecie? To bydlak.

– Kto? – zapytał Karloff. – Pani mąż czy ten dziennikarz?

– Kruk. Jego goryl. Pewnie go spotkaliście.

– Rozumiem, że po tym wypadku nikt nie podjął już tematu. – Heinz zgasił papierosa.

– Bardzo jest pan domyślny – zdobyła się na ironię.

– Pojedziemy już. Lepiej, żeby nas razem nie widziano. Lepiej dla pani. A tak z ciekawości: jak pani to wszystko wytrzymuje?

Uśmiechnęła się.

– Oczywiście, że nas widziano. I bardzo dobrze. Jesteście moja polisą. A jak to wytrzymuję? – Sięgnęła nerwowo po następnego papierosa. – Nie wytrzymuję. Za trzy lata są wybory – powiedziała w zamyśleniu, jakby mówiła do siebie. – Politycy z różnych partii nakłaniają męża, by wystartował. Podobno mógłby mieć duże szanse. Ale ja mu tej szansy nie dam. – Zdjęła okulary. Z jasną cerą dawnej modelki kontrastował fioletowy siniak pod prawym okiem. – Ja mu tej szansy nie dam – powtórzyła z nieskrywaną wściekłością. Założyła okulary, odwróciła się na pięcie i odpłynęła w stronę bocznych drzwi.

Gdy przekroczyli granice Warszawy, Karloff po raz pierwszy się odezwał.

– Spaliłeś moje źródło informacji.

– Mówisz o Latoszku? To śmieć.

– Śmieć nie śmieć, tak się nie robi, Heinz.

– Z własnej winy znalazł się wysoko na mojej liście życzeń. Liście transferowej, jak wolisz. Chciałem go przenieść z krainy wiecznego uśmiechu na ławkę rezerwowych. Nie gniewaj się, Karloff.

Kusiło go, by opowiedzieć o fragmencie z Księgi Ezechiela, ale się powstrzymał. Wyrzuty sumienia bywają zgubne. Na wysokości toru wyścigowego na Służewcu zakorkowali się.

– Co o tym sądzisz? – zapytał Heinz, by przerwać przedłużające się milczenie.

– Masz na myśli Kunickiego? Banda skurwysynów. On, jego papuga i ten goryl. Stawiam, że to ten zapaśnik zabawił się

z chłopakami. Tylko dlaczego? Czyżby szantażowali Kunickiego? Tylko co mieliby z tym wspólnego ci dwaj pozostali, Skarga i Kotlarczyk? Chyba że...

– Chyba że co?

– Że to ona.

– Zjawiskowa Paulina Rudek?

– Może ona wcale nie chce, by tajemnice jej męża ujrzały światło dzienne. Do końca życia miałaby zszarganą opinię. A może, jeśli założymy, że chce się jednak zemścić, weszła w jakiś układ z tym całym Krukiem?

Heinz nie odpowiedział. Myślał o blondynce z podbitym okiem, kiedyś samicy alfa z pierwszych stron gazet i ozdobie eleganckich przyjęć. O kobiecie sukcesu, która nagle znikła dla przyjaciół i dla świata. Co takiego zyskała w zamian? A może po prostu pozostaje w cieniu, bo trudno pokazywać się publicznie z podbitymi oczami i siniakami na ciele? Trudno to wszystko zrozumieć.

– Wiesz co? – Karloff nagle się ożywił. – Widziałeś plecy tego zapaśnika? Ja stałem za nim i widziałem, jak się drapał...

– Choroby skórne tego idioty nie za bardzo mnie interesują.

– Mnie też. Ale to ciekawe. Drapał się w plecy i podwinął mu się t-shirt. I wiesz co? Ten Kruk na plecach miał ślady, jakby się biczował. Albo jakby ktoś lał go pejczem. Mówię poważnie.

Ad maiorem Dei gloriam flagellatio.

Rano ktoś od Kunickiego przywiózł ornat i stulę dla rektora. Ciekawe, kto był tym posłańcem.

– Dowiedz się – popatrzył na Karloffa – jakim samochodem jeździ ten cały Kruk. Sprawdź, czy nie widziano takiego samochodu przy

Centrum Olimpijskim. I przy seminarium na Żoliborzu. Sprawdź także tego pickupa i mercedesa. Masz, spisałem ci numery.

Wręczył Karloffowi kartkę.

W Pałacu Mostowskich czekała na niego przesyłka z Katowic. Rozerwał szczelnie zaklejoną kopertę i wyjął aktówkę. Morderca z Lasku powrócił. Heinz otworzył teczkę i na wierzchu pokaźnej sterty z dokumentacją zobaczył portret pamięciowy. Tym razem jego koledzy działali szybko. Patrzył na szczupłą twarz pokrytą piegami i przeredzony zarost, jak u nastolatka. Jest jakiś punkt zaczepienia. Policyjny grafik spisał się nieźle. Oby tylko równie dobrze spisali się świadkowie. Heinz nie raz już widział portrety pamięciowe, które tak się miały do wizerunku przestępcy, jak twarz Dody do rysów Darka Michalczewskiego.

Wziął do ręki plik zdjęć i ksero odręcznych notatek sporządzonych na miejscu zdarzenia. Popatrzył na twarz. Na otwarte usta, zastygłą strużkę krwi w ich kąciku i wybałuszone oczy, jakby do ostatniej chwili niedające wiary temu, co się dzieje. Kobieta była naga. Ręce i nogi leżały rozrzucone bezwładnie. Poszukał zdjęcia dłoni w zbliżeniu. Nie. Krygier zapamiętał ten szczegół. Tym razem palce nie zaciskały się na ptasim piórze. Z notatek wynikało, że zaciśnięta dłoń była pusta, rozcapierzone palce drugiej przypominały gigantycznego pajaka wczepionego w zieleniącą się roślinność.

Przyjrzał się zdjęciom wykonanym w pełnym planie. Ciało ułożono przy drzewie, tak jak uczyniono z pierwszą kobietą. Kwestia przypadku czy też ma to jakieś znaczenie? Postanowił robić notatki na tylnej okładce skoroszytu. Obok ofiary znajdował się niewielki stosik odzieży. Skurwiel zdarł z kobiety ubranie i starannie złożył je obok w kostkę. Przygotował inscenizację. Heinz ponownie spojrzął na widok w pełnym planie: dwa pochylone drzewa, ciało i odzież ofiary. Zajrzał do opisu. „Ubranie podniszczone i miejscami brudne” – przeczytał.

Nagle ujrzał przed sobą dłoń zakończoną fioletowymi paznokciami. Dłoń postawiła przed nim plastikowy kubek z kawą. Gotycka Jolka prezentowała dziś wcielenie fioletowe. W takim kolorze miała bluzę z kapturem i sztruksy.

– Zająłeś moje miejsce – uśmiechnęła się.

– Przepraszam. Nie wiedziałem. Zaraz się przesiądę – omiół spojrzeniem biurko.

Nie było na nim żadnych rodzinnych pamiątek, maskotek czy sztucznych kwiatków, którymi policjantki zwykły oznaczać swój teren. W męskim świecie – usłyszał kiedyś od jednej z kursantek – musimy podkreślać, że coś do nas należy. Inaczej nie miałybyśmy szans. Coś w tych wyjaśnieniach musiało być, skoro sam bez pytania rozsiadł się tutaj.

– Siedź. Chętnie popatrzę, jak pracuje sławny profiler Rudolf Heinz.

Próbował wyłapać w jej głosie cień ironii, ale nie udało mu się.

– Co tam masz? – Jolka dostawiła krzesło, spojrzała na zdjęcia i skrzywiła się.

– To sprawa z mojego terenu. Jak mawia mój szef: gównu w Lasku Aniołowskim.

– Lasek Aniołowski – powtórzyła. Fajna nazwa. Fajne miejsce do umierania. Śmierć wśród aniołów.

Sam mogłem o tym pomyśleć – Heinz nerwowo sięgnął po kawę. W ostatniej chwili zawahał się. – Mogę? – wskazał na kubek.

– Czyżbyś czuł się onieśmielony? – Jolka zmrużyła oczy.

Onieśmielenie. Tak jak w przypadku zabójstwa na Śląsku.

Morderca z Lasku nie gwałcił swoich ofiar. Może w towarzystwie kobiet czuł się... Czuł się nieswojo. Pod każdym względem. Jest mu nieswojo nawet w towarzystwie martwych kobiet. Ale z drugiej strony samo zabójstwo go nie zaspokajało, wykonywał więc inscenizacje, ryzykując, że zostanie nakryty. Potrzeba stworzenia sceny była silniejsza niż strach. Za pierwszym razem pióro, a tym razem co? Miał wrażenie, że przeoczył coś ważnego.

– On ją zgwałcił? – zapytała Jolka.

– Nie.

– No to zgwałcił jej ubranie.

– Co przez to rozumiesz? – Heinz sięgnął po długopis.

– Ważniejsze było dla niego to, by złożyć jej ubranie. Gdy już je zdjął, przestał się nią zupełnie interesować. Zobacz – wskazała na rozrzucone nogi i ręce. – Uniósł jej ręce, by ściągnąć bluzkę, ciało samo się tak ułożyło, a on już się do niego nie dotknął.

– Chyba sama sporządzisz ekspertyzę w tej sprawie – mruknął ze złością.

– Ty to zrobisz – klepnęła go w plecy. – Ale może przyda ci się do czegoś to, co powiedziałam. – Poza tym mam coś jeszcze...

– Co? – Heinz znieruchomiał.

– Chodzi o Skargę. Jednego z dwóch tajemniczo zaginionych kleryków. Popytałam tu i ówdzie. Okazało się, że nasz pobożny student znał kilku przyjemniaczków handlujących koksem i sterydami. Podobno rozprawdzał dla nich towar. I pewnego pięknego dnia zniknął z kasą. Chłopaki z miasta są wściekli.

Koks, sterydy i mafia. Robi się ciekawie.

– Czyli wściekli się i go dopadli?

– Otóż, wyobraź sobie, że nie. Chłopak przepadł bez śladu dwa lata temu. I zdaje się, że wykonał numer stulecia. Najspokojniej w świecie postanowił zaszyć się w seminarium i przeczekać.

– Bezpieczniej byłoby wyjechać... – Heinz potarł zarośnięty policzek.

– Z jakichś względów tego nie zrobił. Za to ja wiem, co zrobię. Pojadę na ten pieprzony Żoliborz z Chłaściakiem. Raz jeszcze przeczeszemy jego papiery. Jakiś proboszcz musiał mu wystawić rekomendację, do seminarium nie wejdzie się przecież tak prosto z ulicy. Może pojedziesz z nami? Zrobimy im prawdziwy najazd.

– Nie. – Dopił kawę. – Jestem umówiony z tak zwanym ciekawym człowiekiem. Poza tym – wskazał na aktówkę – mam to gówna na głowie. Ale miałbym do ciebie prośbę. A w zasadzie dwie w jednej. Jak w tej starej idiotycznej reklamie.

Kiwnęła głową. Zrozumiał, że znaczyło to: mów!

– Sprawdź Jana Kunickiego. Co robił jedenastego i dwunastego kwietnia, gdzie był. I czy był z nim wtedy jego goryl, Kruk.

– A druga prośba?

Heinz poprosił o sprawdzenie, co robili Kunicki i Kruk w jeszcze innym terminie.

Jolka wpatrywała się w zanotowane daty.

– Wiesz, że to może być trudne? – zapytała. – Ten Kunicki ciągle podróżuje. Lata prywatnym samolotem. W kraju ląduje na lotniskach przeznaczonych dla vipów i wyjeżdża z nich niezauważony.

– Ale jeśli był za granicą, to już jest inaczej – odpowiedział. – I sprawdź koniecznie tego Kruka – dodał zamyślony.

Myślał już o czymś innym. Gdy zbierał się do wyjścia, wciąż myślał o tym, że przeoczył coś istotnego.

Na ulicy Siennickiej, nieopodal odżywającego po latach zapaści klubu „Orzeł”, odnalazł szkołę sportową. Nie musiał szukać wejścia do sali treningowej, bo już z oddali dały się słyszeć okrzyki wydawane przez adeptów karate. Przed wejściem na salę wisiała gablota ze zdjęciami. Heinz obejrzał jeszcze raz te same zdjęcia, które znalazł w Internecie.

Popatrzył na uśmiechniętego Batora i zmrużone oczy Rutgera. Przyjrzał się także kilku fotografiom, których w internetowej galerii nie było. Przy jednej odbitce zatrzymał się dłużej. Zdjęcie przedstawiało dwóch chłopaków w gotowości do walki. Jeden z zawodników miał zielony pas, jego przeciwnik – pas niebieski. Właśnie ten drugi, bardziej zaawansowany w tajnikach karate, wydał się Heinzowi znajomy. Przyjrzał się skupionej twarzy ukazanej w profilu. Skąd ja go znam? Potarł czoło.

Okrzyki rozległy się w momencie, gdy Heinz chwycił za klamkę. Zawahał się jednak. Stał przez chwilę i myślał, co ma zrobić. W końcu puścił drzwi, pochylił się, zdjął buty i skarpetki. Otrzeptał stopy. Etykieta to podstawa – przypomniał sobie słowa Lambrosa Kastoriadisa. Otworzył drzwi i ukłonił się. Kilkunastu zawodników, z których najmłodszy mógł mieć osiem lat, a najstarszy był w wieku

Heinza, poruszało się w jednej linii, wykonując kopnięcia do przodu. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Nikt z wyjątkiem mężczyzny stojącego w oddali i czujnie wpatrującego się w przybysza. Szczupły, krótko ostrzyżony, poprawił czarny pas i podszedł do drzwi.

– Pan chce się zapisać do grupy? – zapytał.

– Niezupełnie. – Heinz wyjął legitymację. – Musimy porozmawiać.

– Proszę poczekać do końca treningu, teraz nie mogę. – Stanisław Bator odwrócił się w stronę ćwiczących. – To samo w drugą stronę! – krzyknął.

– Nie mogę czekać – Heinz zniżył głos. – Mam kilka pytań związanych z pańskim przyjacielem, profesorem Rutgerem. Obawiam się, że profesor ma kłopoty. Duże kłopoty – ostatnie słowa wypowiedział szeptem.

Bator odczekał, aż karatecy wykonają ćwiczenie.

– Teraz robicie Heian Shodan i Heian Nidan! Każde po trzy razy! Co drugi krok do przodu!

Karatecy zaczęli wykonywać formy złożone z bloków, uderzeń i kopnięć, które muszą być wykonane w odpowiedniej kolejności. Heinz patrzył, jak uczniowie Batora ćwiczą ruchy należące do elementarza tej dyscypliny i poczuł ukłucie zazdrości. Gdy to wszystko się skończy, spotka się wreszcie z Lambrosem.

– O co chodzi? – Bator z napięciem wpatrywał się w policjanta.

Heinz opowiedział o dwóch ciałach znalezionych nad Wisłą. Pominął szczegóły związane z torbami foliowymi, szminką i cyframi pozostawionymi na głowach trupów. Opowiedział o kartce z numerem telefonu do bibliisty. Powiedział, że Rakowiecki i Leski spotykali się z Rutgerem podczas prywatnego seminarium. I że

zostali wyrzuceni, gdy okazało się, że są gejami. W dodatku takimi, którzy uprawiają seks za pieniądze.

– Dobrze zrobił. – Bator patrzył teraz na ćwiczących. – Na jego miejscu wywaliłbym ich na zbity pysk. Aż dziwne, że nie wylecieli z seminarium.

– Nie ma pan zbyt wiele współczucia dla zmarłych – szepnął Heinz.

– Nie chodzi o to, by ktoś ci okazywał współczucie. Sam musisz mieć w sobie wewnętrzną siłę i dyscyplinę. Dlatego moi ludzie – wskazał na karateków – robią to, co robią. Nie przypadkiem trzech z nich to duchowni...

Moi ludzie. Siła i dyscyplina. Poczuję, że na sali, mimo otwartych okien, przez które wpadało ożywcze kwietniowe powietrze, robi się duszno.

– Pan chciałby stworzyć taki polski klasztor Shaolin? – nie mógł się powstrzymać od ironii.

Bator nawet nie spojrzał na Heinza.

– Nie byłoby to takie złe. – Zdawało się, że mówi do siebie. – Powinni być żołnierzami Chrystusa. Komandosami Kościoła. A jak są za słabi, powinni być ukarani. Oczywiście – wreszcie dostrzegł swego rozmówcę – nie tak, jak ci dwaj...

Komando księży i kleryków. Heinz miał wrażenie, że się przesłyszał.

– Jak pan poznał profesora Rutgera? – postanowił zmienić temat.

– Spotkaliśmy się w Azji, a ściślej w Kambodży.

Heinz drgnął. Przypomniał sobie, co o torturach w Kambodży opowiadał Sierściuch podczas sekcji zwłok Rakowieckiego

i Leskiego. Co mówił o duszeniu torbami foliowymi za czasów Pol Pota.

– Zdziwiło to pana? – zapytał Bator. – Po piętnastu latach rządów Pol Pota religia zaczęła się tam odradzać. Przyjechałem w 1992 roku do Kambodży jako misjonarz, spotkałem się nawet z wikariuszem apostolskim Phnom Penh, biskupem Yves'em Georges'em Rene Ramousse'em. Musi pan wiedzieć, że Kościół francuski i jego tradycja misjonarska w Kambodży do dziś odgrywają dużą rolę.

– A Rutger? Co go tam poniosło?

– Fascynacja buddyzmem. Pewnie wie pan o tym...

Heinz przytaknął.

Bator klasnął w dłonie.

– Nie. To zupełnie nie tak! – Wszedł na środek sali. Karatecy znieruchomieli. Wszyscy wpatrywali się w jeden punkt. Dopiero teraz Heinz dostrzegł, jaką władzę miał ten szczupły mężczyzna z mistrzowskim pasem. – Zapomnijcie o rękach! – Bator podniósł głos. – Wyobraźcie sobie, że ręce to sznurki, a dłonie to kamienie. W karate najważniejsze jest przekazanie szoku, energii, która idzie z dołu, niemal z podłoża – wskazał na rozłożoną matę.

Wskazał ręką na jednego z uczniów, który podbiegł i stanął naprzeciwko.

– Zobaczcie. Najpierw pracuje oddech i ciało. Ręce są na końcu!

Wykonał błyskawiczny ruch i jego pięść zatrzymała się tuż przed brodą przestraszonego ucznia. Dobry jest – pomyślał Heinz. Naprawdę jest dobry. Chętnie bym go zobaczył w pojedynku z Kastoriadisem.

– Robicie Heian Nidan i Heian Sandan! Też po trzy razy – zakomenderował i wrócił do Heinza.

Teraz. Teraz przyszedł właściwy moment.

– Tych dwóch chłopców uduszono – szepnął Batorowi do ucha. – Torturowano ich i uduszono, zaciskając na głowach torby foliowe. Zapewne zna pan tę metodę...

Wiedział, że tym razem trafił. Bator nie wykonał żadnego ruchu, ale Heinz był pewien, że jego cios sięgnął celu.

– Skąd pan wie? – W głosie Batora wyczuł zmianę. – Rutger panu powiedział?

Heinz milczał. Karateka popatrzył na niego i zrozumiał, że popełnił błąd.

– Rutger nic mi nie powiedział. Ale skoro już pan zaczął...

Bator nie patrzył już na uczniów. Myślami był gdzieś daleko, poza salą treningową.

– Początek lat pięćdziesiątych to w Kambodży był ciągle niespokojny czas. Niedobitki Czerwonych Khmerów były wciąż aktywne. I wpadłem w ich ręce. Torturowali mnie – głos znów mu zadrżał. – Wiem, co to znaczy, gdy torba zaciska się na głowie.

– Rutger pana uratował?

Bator pokiwał głową.

– Nie wiem, jak to zrobił. Ale wyciągnął mnie z tego. Potem mówił mi, że tylko z nimi rozmawiał. Rozmowa okazała się ważniejsza niż siła... Niż sprawne mięśnie...

– Był pan komandosem, potem misjonarzem... Dlaczego pan zrezygnował?

Bator wyprostował się, jakby zrzucał z barków ciężar upiornych wspomnień. Znowu był mistrzem wśród swoich uczniów.

– A pan co? Wywiad chce ze mną przeprowadzać?

– Zgadł pan. – Heinz uśmiechnął się. – Po godzinach pracuję dla „Przeglądu Sportowego”.

– No to innym razem. – Ponownie klasnął w dłonie. – Heian Shodan ostatni raz! Potraficie?

– Oss! – odpowiedział mu chór głosów.

– Teraz ja chciałbym o coś zapytać. Mówił pan, że profesor ma kłopoty. Czy pan... czy wy go podejrzewacie?

– Moim zdaniem on nie ma z tym nic wspólnego. – Heinz starał się, by zabrzmiało to wiarygodnie. – Ale profesor mówi mniej, niż wie. Nie chce nam pomóc. Naprawdę może wpaść w tarapaty...

Bator popatrzył na Heinza wzrokiem, w którym można było dostrzec absolutną determinację.

– Jeśli ktoś nadepnie profesorowi na odcisk, to...

– Tak, wiem. – Heinz uniósł dłoń w pojednawczym geście. – To złamie mu pan nogę w trzech miejscach z przemieszczeniem. Albo – zawiesił głos – poddusi go pan torbą foliową.

Nie czekał na reakcję Batora. Otworzył drzwi sali treningowej. Prawie zderzył się ze zdyszonym chłopakiem.

– Co za spotkanie – powiedział, patrząc na Roszkowskiego, seminarzystę z czwartego roku. Tego, który zrobił feralne zdjęcie Rutgerowi i czterem klerykom, z których dwóch nie żyje, a dwóch przepadło jak kamień w wodzie. To właśnie odbitka, na której widać Roszkowskiego przykuła jego uwagę, gdy przyglądał się fotografiom w klubowej gablocie.

Roszkowski obrzucił Heinza spłoszonym spojrzeniem i wszedł na salę.

Była dwudziesta, gdy zmęczony wrócił do hotelowego pokoju. Najchętniej poszedłby spać, ale wiedział, że nie może tego zrobić. Zapalił lampkę rzucającą zbyt słabe światło i otworzył aktówkę przysłaną z Katowic.

Powiniennem mieć okulary. Przynajmniej do czytania – pomyślał. Postanowił, że dziś wybierze muzykę na chybił trafił. Usłyszał bębnienie deszczu, dźwięki dzwonów i grzmoty. A potem ciężką gitarę Tony'ego Iommiego, faceta, który nigdy nie grał wyrafinowanych solówek, nie powalał techniką i szybkością gry, ale potrafił nadać muzyce Black Sabbath odpowiednią siłę. Potrafił przekazać szok, o którym mówił swoim uczniom Bator.

Heinz przypomniał sobie, że podczas szkoleń dla przyszłych policjantów i profilerów sam chętnie odwoływał się do swoich pasji. Do bluesa i karate.

Tłumaczył, że pracę profilera można porównać do kata. Heian Shodan, Heian Nidan i tych bardziej zaawansowanych, jak Bassai Dai czy Hangetsu.

– Czym są kata? – wyjaśniał podstawowy termin karate, przechadzając się po sali wykładowej. – To forma walki z wyimaginowanym przeciwnikiem, który pierwszy was zaatakował. Dlatego formy karate zaczynają się zawsze nie od ataku, ale od obrony. Od bloku. I czymś podobnym – dodawał – jest profilowanie nieznanego przestępcy. To także forma walki z przeciwnikiem, którego musimy sobie najpierw wyobrazić. I patrzcie dalej – zwykł pisać na tablicy trzy tajemnicze słowa. W karate ważną rolę odgrywa zanshin, a więc fizyczne i psychiczne przygotowanie na atak. Wy też zawsze powinniście zakładać, że sprawca seryjnych przestępstw ponownie uderzy. Pożegnajcie się z optymizmem.

Z nadzieją, że to, co się zdarzyło, już się nie powtórzy! A teraz drugie pojęcie: mikiry czyli umiejętność przewidywania tego, co zrobi przeciwnik. To ma być istota waszej pracy. A jak to zrobić? Ostatecznie chodzi o to – wskazywał na trzecie słowo – by wychwycić ten moment, gdy u przeciwnika pojawia się kyo – chwila zawahania, dekoncentracji, głupiej nieuwagi. Wtedy jest wasz. Prawda jest brutalna – zawieszał głos. – Nie unikniecie ataku. Chyba że jesteście jasnowidzami. Ale gdy uderzy – wykonywał szybki ruch dłonią – wtedy... wtedy bądźcie bezwzględni.

Na składance z utworami Sabbathów rozbrzmiewał kolejny utwór. The Wizard z frazą graną na harmonijce ustnej przez Ozzy'ego Osbourne'a. Bardzo bluesowy utwór wśród potępieńczych zawodzeń i gotyckiej stylistyki, która zawsze irytowała Heinza. Czym jest podpis seryjnego mordercy? Jest odwoływaniem się do schematu. Takim schematem – tłumaczył – jest dwanaście taktów bluesa. AAAA BBAA CCAA – rysował na tablicy. Niby to banalnie prosty schemat, który może być wypełniony nieskończoną liczbą wykonań i odmian prezentujących indywidualne cechy. I tak samo jest z podpisami przestępców.

Dobra, Heinz – pomyślał, że przydałoby się piwo, ale przypomniała mu się obietnica, którą złożył samemu sobie. Sięgnął po papierosa. Dobra, Heinz – powtórzył w myślach. Zobaczymy, czy jesteś taki dobry. Ile są warte te twoje teorie i analogie.

Przez następne dwie godziny uważnie oglądał zdjęcia z Lasku Aniołowskiego i czytał notatki. Było kilka elementów łączących oba morderstwa. To samo miejsce zdarzenia. Ten sam czas – popołudnie w dzień powszedni. Najpewniej morderca albo był bezrobotny, albo pracował wahadłowo – raz przed południem, raz na drugą zmianę.

Albo zajmował się czymś dorywczo. Ciosy nożem to też stały element. Kobiety jako ofiary. Im dłużej przeglądał dokumentację, tym wyraźniej dostrzegał jednak nie podobieństwa, ale różnice. Kobiety różniły się wyglądem. Heinz pokręcił głową. Nie chodzi nawet o to, że jedna była brunetką, a ta druga nie. Chodzi o to, że pierwsza była zadbana, a ta druga to jakiś lump. Pierwsza ofiara była odpicowana i z makijażem, druga – w brudnym ubraniu, z przetłuszczonymi włosami i jeszcze walnęła kielicha przed śmiercią. To się nie zgadza. Poza tym nie zgadzała się liczba ciosów. W pierwszym przypadku kilkadziesiąt uderzeń, w następnym tylko dziewięć.

O czym to świadczy? Może za drugim razem morderca się śpieszył. Spodziewał się, że ktoś zacznie tej kobiety szukać, a musiał jeszcze zdjąć z niej ubranie, ułożyć je w kostkę i bezpiecznie się oddalić. Albo jeszcze inaczej: pierwsza kobieta była ofiarą „właściwą”, a następna „zastępczą” – wybraną losowo. Dlaczego? Gdyż tej, którą sobie upatrzył, zabrakło. Może się umówili, a ona nie przyszła na spotkanie? Rozmyśliła się, zachorowała albo zapomniała? A on ją już wcześniej uśmiercił w wyobraźni, wyobrażał sobie, jak to będzie, gdy się spotkają. A tu takie rozczarowanie. Przypadkowa ofiara nie zaspokoila jego potrzeb. Pozwoliła mu wyładować się tylko na chwilę. A jeśli tak, to... To zabije kolejny raz.

Znów zamarzył o piwie. Podeszedł do umywalki i nalał sobie wody do szklanki.

Pozostaje kwestia podpisu mordercy. Ptasie pióro. Założyłby się o wszystkie pieniądze, że pióro nie znalazło się w ręku ofiary przypadkiem. Zrobiłby to tym chętniej, że pieniędzy nie miał.

Przypomniął sobie powieść Mo Hayder Ptasznik, którą czytał podczas jednego z zagranicznych staży jako lekturę obowiązkową. Tam seryjny morderca umieszczał małe ptaki w klatkach piersiowych zamordowanych kobiet. Tyle że to była fikcja. A tu miał śmierdzące żywe gówna. Ptasie pióro i ubrania złożone w kostkę nie pasowały do siebie. Coś tu nie gra. Brakuje jakiegoś elementu w tej układance.

Opróżnił popielniczkę, w której uzbierał się kopczyk niedopałków. Raz jeszcze zaczął przeglądać zdjęcia. Przy jednym zatrzymał się dłużej. Zmrużył oczy, znów pomyślał o okularach i włączył górną lampę. Podeszedł bliżej światła. Zdjęcie pokazywało miejsce zbrodni w pełnym planie, lecz najwyraźniej zostało źle wykadrowane. Głównym motywem na fotografii były dwa drzewa, jakby zrobił ją nie fotograf policyjny, ale amator przyrody. Trzeba się było dobrze przyjrzeć, by dostrzec ukryte za konarem zwłoki.

Heinz nie patrzył na rozcapierzone palce kobiecej dłoni. Wpatrywał się w koronę drzewa. Tak. Nie miał już wątpliwości. Wśród zieleniących się liści tkwiło coś białego. Tylko co? Nie miał pojęcia.

Chwycił za telefon i wybrał numer Krygiera. Wyjaśnił, w jakiej sprawie dzwoni.

– Oj, Hipis. Czy to naprawdę ważne, co tam tkwi w tym drzewie? Nagrałem sobie dwa mecze ligi angielskiej i chciałbym je dzisiaj obejrzeć. – Naczelnik nie krył irytacji.

– Szefie, będę szczery. – Heinz przełknął ślinę. – Mam gdzieś pańskie mecze. Zwłaszcza że ma je pan nagrane.

Komentarz telewizyjny umilkł. Zapewne Krygier włączył przycisk stop w odtwarzaczu.

– Ten pojeb – mówił szybko Heinz, jakby się bał, że wyczerpie limit cierpliwości – zrobi to jeszcze raz. Druga kobieta to zwykły traf. Dlatego zadał jej tylko dziewięć ciosów. Ona go nie obchodziła... – umilkł.

– Mów dalej. – W głosie Krygiera usłyszał nowy ton.

– Muszę wiedzieć, co jest na tym zdjęciu. Chcę mieć pewność, że niczego nie pominąłem.

Krygier obiecał, że ktoś oddzwoni do niego z wiadomością. Jakakolwiek by była.

Z ulgą odłożył s łuchawkę. Od siedzenia przy biurku bolały go plecy. Położył się na łóżku, które wydało rozpoznawalny dźwięk. Przy Changes przez lata niedocenianej balladzie Sabbathów, przysnął. Obudził go telefon.

Poderwał się i nie patrząc na wyświetlacz, odebrał.

– Spałeś? – Ku swojemu zaskoczeniu usłyszał głos doktora Kornaka.

– Nie – skłamał.

– Dwie sprawy. Nasz podopieczny kolejny raz dopytywał się o ciebie. Nie dzwoniłbym z tym, gdyby nie nasza ostatnia rozmowa. Sprawdziłem, o co mu chodzi z tym Beckettem.

– Jakim Beckettem? – Heinz nie mógł sobie przypomnieć.

– Ostatnia taśma...

Teraz już pamiętał.

– Tam jest tak, Rudolf: „Chyba minęły już moje najlepsze lata. Gdy istniała jeszcze szansa na szczęście. Ale nie chciałbym, żeby wróciły. Teraz, gdy mam w sobie ten ogień, już nie”⁴.

Heinz poczuł, że jego serce chce wyrwać się z klatki piersiowej.

– Zrobiłem tak – spokojnym głosem mówił Kornak. – Sprawdziłem, czy w zakładzie, gdzie przebywa, stosują wobec niego maksymalny poziom zabezpieczeń. Wszystko w porządku.

„Teraz, gdy mam w sobie ten ogień”.

– Można mu jakoś jeszcze dokopać? Na przykład elektrowstrząsami? – Heinz starał się być wesoły.

– Zapomnij o tym. Poza tym on jest niepoczytalny.

– To wy wszyscy tak uważacie. Dobrze wiesz, że jest tak samo zdrowy jak ty czy ja.

– Wiem. Dlatego dzwonię. Uważam, że powinieneś to wiedzieć.

Heinz wciąż myślał o Inkwizytorze, gdy zadzwonił kolejny telefon.

– Aspirant Werner – usłyszał warknięcie w słuchawce. – Mam dla pana wiadomość. Trochę to trwało, ale udało się. W koronie drzewa tkwił biały latawiec.

– Latawiec? – Heinz nie zrozumiał.

– No tak. Taki, jakim dzieci się bawią.

Heinz usiadł przy stole i tępych spojrzeniem wpatrywał się w rozrzucone zdjęcia. Nie mógł się skupić. Przed oczami miał twarz uśmiechniętego Inkwizytora. Bydlak wiedział, jak uprzykrzyć życie. Nawet zza krat oddziału zamkniętego. Coś będzie musiał z tym zrobić. Ale nie teraz.

Z trudem powstrzymał się, by nie zejść do hotelowego baru i nie wrócić na górę z dwoma oszronionymi czteropakami piwa.

Włączył stare bluesy Johna Lee Hookera. Znajome dźwięki gitary akustycznej i jednostajny prosty rytm wybijany butem przez czarnoskórego mistrza powinny zadziałać kojąco. Powinny, ale nie zadziałały. Nie tym razem. Długo nie mógł zasnąć.

Świtało, gdy pogrążył się w czujnym półśnie, jakby spodziewał się wizyty nieoczekiwanego gościa.

Zwłókł się z łóżka o dziewiątej. W hotelowej restauracji zamówił jajecznicę i parówki. Nieśmiertelny zestaw w każdym porządnym hotelu. Czyli takim, w którym podawano na śniadania właśnie te nieskomplikowane zapychacze, znikające tego dnia z talerza Heinza z szybkością światła.

Gdy dojadał parówkę, zadzwonił telefon. Spojrzał na wyświetlający się numer, który z nikiem mu się nie kojarzył, wydłubał językiem kawałki bekonu, które uwięzły w okolicach górnej szóstki, i odebrał.

Od razu wyczuł, że coś się stało.

– Przyjedź do fabryki. – Głos gotyckiej Jolki był bezbarwny. Pozbawiony zwykłej siły i witalności.

– Coś się stało?

– Mam dla ciebie kilka interesujących informacji. Poza tym... – Wyczuł wahanie w głosie. – Poza tym nasz kolega nie żyje.

Heinz milczał, czekając na ciąg dalszy.

– Poremba. Ten ze złamanym nosem. Masz po nim służbowego opla...

Freddie Kruger. Mogło być gorzej – pomyślał.

– Jak to się stało?

– I tu jest kłopot. Wtargnął do mieszkania prokuratora. Takiej szczychy prowadzącej ważne śledztwa dotyczące korupcji i polityków. Wiesz, takie, co to teraz są na topie. Zastrzelił go. A potem strzelił sobie w usta.

Tego Heinz się nie spodziewał.

– Zaraz będę – powiedział. – Przykro mi... – wydusił z siebie.

Gdy dziesięć minut później zbiegał w sztruksowej marynarce po schodach, pomyślał, że lepiej po kimś odziedziczyć opla niż trypra.

Postanowił, że tę mądrość pozostawi jednak dla siebie.

Takie wieści zawsze rozchodzą się lotem błyskawicy. W Pałacu Mostowskich patrzył na ponure, zacięte twarze milczących policjantów. Dwaj, których znał z widzenia, obrzucili go spojrzeniem pełnym urazy i zaczęli coś szeptać do siebie.

Zupełnie jakby to on był wszystkiemu winien.

Po krótkich poszukiwaniach odnalazł gotycką Jolkę. Fioletowymi paznokciami podtrzymywała skronie i wpatrywała się w ekran komputera. Nagle na monitorze Heinz ujrzał pięć roześmianych postaci. Karloff i Freddie stukali się butelkami z piwem, a Jolka unosiła kieliszek czerwonego wina.

– To sprzed dwóch lat – powiedziała cicho, wciąż wpatrując się w ekran. – Wtedy był zupełnie innym człowiekiem...

– Wiadomo już, co się stało?

– Nasz szef został pilnie wezwany na dywanik. Zaczynają węszyć ci z Biura Spraw Wewnętrznych. Robi się syf.

– Dlaczego zabił tego prokuratora?

– Gnój zniszczył Porembę. – Zobaczył Karloffa chwiejącego się w drzwiach.

Najwyraźniej zdążył już uczcić pamięć kolegi.

– Mały jebany karierowicz w okularkach... – westchnął. – Ty – oskarżycielsko skierował palec w stronę Heinza – nigdy go nie lubiłeś.

I vice versa.

– Zostaw go, Karloff – syknęła Jolka i ruszyła w stronę drzwi. – Zostaw go, bo i bez tego nabiera się szamba wokół nas wszystkich.

– Zostawiam państwa. – Karloff uklonił się. – A my – ponownie wskazał na Heinza – musimy porozmawiać, okej?

– Masz to u mnie.

– Pozbiera się – mruknęła Jolka, gdy za Karloffem zamknęły się drzwi. – Przez dwa lata byli z Porembą jak papużki nierozłączki. Jak Flip i Flap.

Usiadła przy biurku i wyłączyła komputer.

– Zostawmy to – powiedziała. – Mam dla ciebie kilka, przypuszczam, że ciekawych, informacji.

– Wysłów się – zachęcił ją ruchem ręki.

– Na początek Skarga. Popytałam jeszcze tu i tam. Koleś działał dla Chrzaszczka – to taka nasza warszawska druga liga z aspiracjami do ekstraklasy. Ale mieli niezły i bezpieczny pomysł na robienie kasy...

– Bezpieczny?

– Nawet bardzo. Jak wiesz, substancją czynną w konopiach jest THC, czyli 9-delta-tetrahydrocannabinol. Niedawno na rynku pojawiły się genetycznie modyfikowane konopie, które zawierały tej

substancji naprawdę niewiele. Zawierały półprodukt, który przekształcał się w THC dopiero podczas palenia.

– Chcesz powiedzieć, że przestępcą stawał się dopiero ten, co palił, a nie diler?

– Właśnie.

– I ten Skarga rozprowadzał bezpieczny towar.

Pokiwała głową i sięgnęła po mentolowego marlboro.

– Później Skarga robił dla Chrząszcza przy sterydach. Podobno dostawali jakieś gówno z Chin i żenili je naszą mąką.

– Kuchnia fusion – postanowił zabłysnąć.

Jolka roześmiała się.

– A potem Skarga znika. Ze sporą kasą. Chrząszcz ściąga dług od ojca Skargi, gościa, który jeśli nie będzie miał dwa i pół promila we krwi, to umrze. A my Skargę namierzamy w seminarium duchownym w Warszawie...

– Najciemniej jest pod latarnią – mruknął.

– Widzę, że dziś nastał dzień aforyzmów – odparła. – Uprzedzę twoje kolejne pytanie... – Drżącą ręką sięgnęła po następnego papierosa.

Z trudem się trzyma, ale lepiej niż Karloff.

– Dlaczego Skarga został w Warszawie? W grę może wchodzić dupa, z którą ten Skarga się prowadzał. Ona też znikła. Kończyła tutaj studia. Może dlatego nasz romantyczny chłopiec nie chciał stąd wyjeżdżać. Rodzina Skargów to potentaci pogrzebowi. Prowadzą jakąś sieciówkę zakładów o tych uroczych greckich nazwach. Hades, Charon, Styks czy coś w tym stylu. Tu masz adres, pod którym znajdziesz jego starego. Przesiaduje tam zawsze od południa.

Bar Mewa. Ulica w Górze Kalwarii. Schował kartkę z adresem do kieszeni.

– Poza tym – ciągnęła – rozmawiałam z matką Kotlarczyka. To ten prymus, który zniknął na początku roku akademickiego, w październiku. Mówiła, że chłopak zmienił się w ostatnim roku.

– To znaczy?

– Stał się opryskliwy, co wcześniej się nie zdarzało. Przynosił matce pieniądze i nie chciał powiedzieć, skąd je wziął.

Rozmawiałam też z matką Rakowieckiego. Synek też podrzucał jej kasę. Jak u Leskiego, nie wiem, bo jego starzy nie trzeźwieją. Poza tym Kotlarczyk zaczął źle mówić o profesorach seminarium.

– O kim konkretnie?

– Matka nie pamięta nazwisk. Od października Kotlarczyk nie odezwał się do niej. Kobieta co niedziela daje na mszę w jego intencji. Aby powrócił na dobrą drogę. Tak mi powiedziała.

– A masz już coś o Kunickim?

– Jeszcze nie. Ale się dowiem.

Zanim wyszedł, zadzwonił do seminarium. Kobięcy głos poinformował go, że profesor Rutger odwołał zajęcia. Heinz odszukał numer telefonu do bibliisty. Komórka Rutgera była wyłączona.

Przez chwilę stał i zastanawiał się, co zrobić. Wreszcie podjął decyzję.

Można dostać oczopląsu – pomyślał, gdy wszedł do baru w Górze Kalwarii. Za Warszawą natknął się na kolumnę TIR-ów. Kilkakrotnie, zniecierpliwiony, próbował przebić się do przodu i za

każdym razem się wycofywał, by uniknąć czołowego zderzenia. Podwarszawska Góra Kalwaria – kraina szklarni i raj badylarzy, podobnie jak pobliski Grójec. Gdy był na studiach, koleżanka z roku, w której się podkochiwał, powiedziała mu, że Góra Kalwaria była jednym z ważniejszych centrów chasydyzmu w Polsce. Teraz, wlokąc się za TIR-ami, przypomniał to sobie, nie mógł za to sobie przypomnieć rysów twarzy tamtej dziewczyny. Tyle o tym.

Wnętrze baru Mewa zdobiły bukiety suszonych kwiatów, podkowa i końska uprząż zawieszona na ścianie oraz drzeworyty z postaciami w regionalnych strojach wykonującymi jakiś taniec ludowy.

Mógłby się tu odbywać zjazd Samoobrony. O ile w pobliżu jest solarium.

Jedynym współczesnym elementem wystroju były automaty Kinghouse Poker. Po lewej stronie ustawiono trzy maszyny i podobne trzy bliźniacze automaty, oddzielone dodatkowo kotarą, wciśnięto pod okno po stronie prawej. Heinz nie pierwszy raz stykał się z taką sytuacją. Spryt Polaków nie zna granic. Zwłaszcza gdy trzeba obejść przepisy podatkowe, które są inne w przypadku trzech automatów w lokalu, a inne, gdy automatów jest dwukrotnie więcej. Co trzeba zrobić? Ano powiedzieć, że jest się właścicielem trzech maszyn, a trzy pozostałe to własność brata, swata, ciotki, pociotka. I oddzielić maszyny od siebie przepierzeniem.

Przy kontuarze uchwycił czujne spojrzenie barmanki. Zamówił dwa razy okocim. Tak jakby lada chwila spodziewał się tu kogoś. W dłoni trzymał kluczyki samochodowe. Niech widzą, że równy z niego gość. Uśmiechnął się do ponurej barmanki i usiadł tak, by

móc obserwować mężczyznę wpatrującego się tępym spojrzeniem w żółtawą pianistą ciecz wypełniającą masywny litrowy kufel.

Stary Skarga. Ojciec chrzestny zakładów pogrzebowych. Marlon Brando byłby przy nim nikim. Skarga poruszał siwymi wąsami, jakby miał katar. Szerokie granatowe szelki wybrzuszały się na koszuli rozchodzącej się w okolicy pępka.

Ciekawe, czy ten facet jest w stanie wstać od stołu o własnych siłach, gdy jest trzeźwy, czy też tusza mu w tym skutecznie przeszkadza?

Drzwi baru otworzyły się i do grubasa podszedł mężczyzna w czarnym garniturze.

– Jutro rano masz wrzutkę – powiedział Skarga nadspodziewanie trzeźwym głosem. – A po południu jedziesz po klienta do Kielc. Tylko – uniósł palec grubości serdelka – tym razem tnij po kosztach. Żeby mi nie było żadnego sanepidu!

– Pan wie, szefie, że ostatnio nie dało się inaczej. Mendy się przypierdoliły i tyle.

– Żadnych pieczęci, pamiętaj! – Skarga podciągnął granatowe szelki.

Rozmowa dwóch zawodowców. Heinz zrozumiał, o czym rozmawiają. Kiedyś otarł się o tę branżę. Wrzutka. Tak w języku właścicieli zakładów pogrzebowych nazywa się sytuację, gdy trumna ma być dowieziona do kościoła, a potem zajmuje się nią już miejscowa ekipa. Z Warszawy do Kielc jest więcej niż sześćdziesiąt kilometrów. A przy takiej odległości trumna powinna być pieczętowana w obecności pracownika sanepidu. W praktyce rzadko się tego przestrzega, ale najwyraźniej ten w czarnym garniaku miał ostatnio jakieś nieprzyjemności.

Automat do gry w pokera zabrzącał i zaczął wysypywać pięciozłotówki. Gracz sięgnął do torby, wyjął opakowanie po rozpuszczalnej witaminie C i zaczął wkładać monety do opróżnionej tubki.

Teraz stary Skarga siedział przy stoliku sam. Gdy Heinz podszedł do niego, grubas podniósł wzrok znad kufla i drgnął.

– Wszystko już zapłaciłem – powiedział, patrząc na nieznanomego mężczyznę z kilkuniedniowym zarostem. – Czego jeszcze chcecie?

– Chcę, żebyś mi powiedział, gdzie jest twój syn. – Heinz wyjął legitymację.

Skarga nerwowo rozejrział się na boki. Mężczyzna przy automacie podszedł do baru i wziął kolejne piwo.

– Nie wiem, co się dzieje z chłopakiem. Podobno jest w Anglii. Pati – zawołał w stronę baru – podejdź tutaj! To moja córka – dumnie wypiął brzuch.

Pati, a najpewniej Patrycja, podeszła niechętnie.

– Powiedz – zaczął szybko mówić – że to prawda. Andrzej uciekł. Skurwiel uciekł z kasą, która nie należała do niego. To wszystko przez tę zarozumiałą dziwkę...

– Tato! – krzyknęła Pati.

Zarozumiała dziwka. Pewnie pierwsza kobieta z otoczenia tego grubasa, która zbliżała się do końca studiów.

– Nieważne. – Skarga machnął ręką. – Chłopak narobił mi strasznych kłopotów, pan chyba wie, co znaczą takie długi...

Heinz potwierdził skinieniem głowy.

– Spłaciłem tym draniom wszystko. Co do złotówki. Z odsetkami. A tego sukinsyna nie chcę znać. – Pociągnął łyk piwa, który Heinz musiałby rozłożyć na trzy razy.

– Czy wie pan, że on był w seminarium duchownym w Warszawie?

Skarga w pierwszej chwili nie zrozumiał. Otarł dłonią pianę z wąsów, popatrzył na córkę i wybuchnął śmiechem.

– Że co? – Jego brzuch podrygiwał na blacie stołu. – Że co? Mój syn księdzem?

Śmiał się, a z oczu pociekły mu łzy.

– Tam, przy moim stole, ma pan dwa piwa. Nietknięte. Cieszę się, że pana rozbawiłem. Miłego wieczoru – powiedział Heinz.

Wstał od stołu, chwycił dziewczynę za łokieć i odprowadził ją do baru.

– Pani się nie zdziwiła, gdy powiedziałem o seminarium. Nie zaśmiała się... Doskonale pani wie, że brat nie wyjechał do Anglii, prawda? – Wpatrywał się w dziewczynę. – Pani wie, gdzie on jest. Muszę... muszę się z nim zobaczyć.

Pati popatrzyła nerwowo na ojca, który kraciatą chusteczką ocierał łzy.

Porażka. A jednak nic mu nie powiedziała. Nerwowo popatrzyła na ojca, a potem zaczęła wciskać bajeczkę o esemesie z Anglii. Oczywiście już wykasowanym. Brat twierdził, że lepiej nie utrzymywać kontaktów. Tak będzie lepiej dla wszystkich. A co z jego dziewczyną? Rzuciła gowzięła urlop dziekański. Zachowała się podle. To nie była żadna zarozumiała dziwka, ale zrobiła to bez klasy.

Heinz siedział w samochodzie. Zza drzew prześwitywał otynkowany na biało parterowy dom. Furka, z której odchodziła zielona farba, była uchylona. Albo dzwonek był zepsuty, albo właściciel zapomniał zamknąć.

Przez trzy godziny próbował się dodzwonić do profesora Rutgera. Komórka cały czas była wyłączona. Zadzwonił do komendy i poprosił o adres. Profesor mieszkał w Radości, na obrzeżach Warszawy, niedaleko Centrum Zdrowia Dziecka w Międzylesiu. Tym razem mężczyzna o zmrużonych oczach będzie musiał spojrzeć mu prosto w twarz. Heinz zgasił silnik i podszedł do furki. Czekał, aż podbiegnie wściekle ujadający pies. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

Heinz wszedł na podwórko i rozejrzył się. Zobaczył sporych rozmiarów garaż zabezpieczony masywną sztabą. Podszedł do drzwi

i zadzwonił.

– Wejdz, proszę! – usłyszał donośny głos.

Rutger siedział przy masywnym biurku. Po jego lewej ręce stał posążek Buddy. Po prawej – butelka Finlandii. Zobaczył Heinza i drgnął.

– Pewnie spodziewał się pan mistrza karate, Batora?

Atak. Tylko atak.

Rutger zamknął oczy i odchylił głowę.

– Nie spodziewałem się pana, istotnie...

Mówienie sprawiało mu kłopot. Ciekawe, ile zdążył już wypić.

– A z senseiem Batoem już rozmawialiśmy. Zresztą... – otworzył oczy i rozłożył ręce – lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia. Witam sławnego profilerę, komisarza Heinza z Katowic, w moich skromnych progach. Zaintrygował mnie pan wtedy. W seminarium...

Spryciarz z niego. Zasięgnął informacji. Widocznie miał u kogo. Najważniejsze teraz to nie pozwolić, by przejął inicjatywę. Nie dać się zaskoczyć.

– Znał pan księdza Kowalskiego? Uczył w waszym seminarium...

– Znałem – Rutger rozciągał samogłoski. – Osobiście doprowadziłem do tego, że wyleciał z seminarium.

– Dlaczego?

– Za bardzo lubił chłopców. – Rutger zamilkł. – Ale przecież nie przyszedł pan rozmawiać o Kowalskim?

– Nie. Nie po to przyszedłem – odparł ostro. – Ładnie pan mieszka... Jak na księdza...

Ten cios powinien go zaskoczyć.

Rutger rozejrzał się po pokoju zastawionym regałami uginającymi się od książek, odbitek kserograficznych i brulionów.

– Pojęcia pan nie ma, jak mieszkają księża. Nasz spowiednik, rektor, nawet ten jego halabardnik Jurek, który dostał dom i samochód od rodziców zaraz po prymicji... Zarobiłem na to – zatoczył łuk dłonią – pisząc książki i sprzedając je za granicą. Naprawdę nie zna pan bogatych księży...

– Skoro już jesteśmy przy pańskich książkach... Rektor Majda mówił mi, że jest pan specjalistą od cyfr – rzucił Heinz od niechcienia.

– Rektor mówi różne rzeczy.

– Ale na przykład sześć i dziewięć. Z czym one się panu kojarzą?

Rutger wstał od biurka i podszedł do jednego z regałów. Wyjął Biblię i położył ją przed Heinzem.

– Pierwszy List do Koryntian. Proszę szukać pod koniec tomu – dodał drwiącym tonem. – Czyż nie wiecie – zaczął recytować – że niesprawiedliwinie posiadają królestwa Bożego? Nie łudźcie się! Ani rozpustnicy, ani bałwochwalcy, ani cudzołożnicy, ani rozwieżli, ani mężczyźni współżyjącyz sobą, ani złodzieje, ani chciwi, ani pijacy, ani oszczercy, ani zdierycy nie odziedziczą królestwa Bożego⁵. Święty Paweł, rozdział szósty, werset dziewiąty.

Rutger podniósł szklanę i szybkim ruchem wlał jej zawartość do ust.

– A poza tym sześć i dziewięć kojarzy mi się z dobrym rockiem. Z piosenką Hendriksa. Sam w latach osiemdziesiątych jako duszpasterz jeździłem na festiwale w Jarocinie.

Oczywiście! Rutger. Teraz Heinz już wiedział, skąd go zapamiętał. Musieli się zetknąć na festiwalu wśród tłumów tańczących pogo.

W innych szczęśliwszych czasach i okolicznościach.

– Profesorze – powiedział łagodnie. – Proszę posłuchać. Skoro już pan powiedział o mężczyznach współżyjących ze sobą... Jeden z tych chłopaków miał pański numer telefonu. Nowy numer telefonu... – Wpatrywał się w Rutgera, oczekując reakcji. – A podobno kilka miesięcy wcześniej wyrzucił ich pan z prywatnych zajęć, prowadzonych po godzinach obowiązkowych...

Biblista sięgnął po butelkę. Już miał sobie nalać, gdy spojrzał na rozmówcę.

– Napije się pan? Przepraszam, że dotychczas nie proponowałem...

Powoli wstał, przytrzymując się blatu stołu. Zrobił krok do przodu i zachwiał się. Heinz odruchowo wyciągnął rękę, by go uchronić przed upadkiem.

– Proszę dać spokój, profesorze. – Posadził Rutgera w fotelu. – Nie napiję się z panem...

– Nie? – Zdawało się, że profesor w jednej chwili odzyskał kontakt z rzeczywistością. – Przecież lubi się pan napić... Zresztą... to, co usłyszałem o panu, potwierdza moje przypuszczenia, że jesteśmy do siebie podobni.

Heinz milczał. Ciekawe, czy jest aż tak pijany, czy tylko się zgrywa?

– Psycholodzy nazwaliby to typem osobowości borderline– ciągnął Rutger. – Skłonność do skrajnych reakcji i emocji, stanów depresyjnych...

– A za chwilę wyjedzie mi pan z dojmującym uczuciem samotności – przerwał Heinz. – Zaraz usłyszę, że jesteśmy na siebie skazani. Jak Flip i Flap. Jak Lennon i McCartney. Jak... Sacco

i Vanzetti – przypomniał sobie nazwiska dwóch włoskich anarchistów skazanych przed wojną w Ameryce na krzesło elektryczne.

– Sacco i Vanzetti, proszę, proszę... – Teraz Rutger patrzył z zainteresowaniem na rozmówcę. – Ale z pana erudyta...

– Znajomi mówią o mnie kosiarz umysłów, panie profesorze – wycedził Heinz.

– Pokazał pan prawdziwe oblicze wtedy na korytarzu seminarium – Rutger podniósł głos. – Pod maską subtelnego policyjnego analityka, profilerka, kryje się pańska wściekłość i nienawiść do świata.

– A co z pańską frustracją, wściekłością i nienawiścią?! – krzyknął Heinz. – Ukrywała się przez lata pod sutanną?! – Nie wytrzymał i walnął pięścią w stół. – A potem dał jej pan upust, mordując tych chłopaków, tak? Co pan robił jedenastego kwietnia od godziny szesnastej? – zapytał już cicho.

Patrzył Rutgerowi prosto w oczy. Profesor kiwał się w fotelu do przodu i do tyłu. Drżącą rękę wyciągnął w kierunku butelki z wódką. Dłoń drgała, jakby tkwił w niej uruchomiony nagle młot pneumatyczny. Widocznie wciąż wypił za mało, by opanować drżenie. Palcami drugiej ręki przytrzymał nadgarstek. Heinz szybkim ruchem wziął butelkę ze stołu. Rutger popatrzył na niego nienawistnym wzrokiem.

– Sam panu należę – powiedział Heinz. – Co pan robił jedenastego?

Rutger odchylił głowę i zmrużył oczy.

– Jedenastego... Nie pamiętam... Skąd mogę wiedzieć? Może piłem... Jak dziś... Moje problemy, by tak rzec... powróciły. –

Skupił wzrok na dłoni Heinza zaciskającej się na butelce. – Nie jest tajemnicą, że leczyłem się w Nałęczowie, mamy tam specjalny ośrodek odwykowy dla księży. Pan wie – powiódł po pokoju nieprzytomnym wzrokiem – że w Nałęczowie wyszkolili psy, by były wyczulone na zapach alkoholu? Proszę mi nalać – wskazał na szklanę.

Heinz spełnił jego życzenie.

– Teraz to i tak nie to, co wtedy, gdy nie mogłem sobie nalać z butelki, bo ręce latały mi o wiele bardziej niż dziś. Wlewałem wódkę do garnka, a potem odsączałem w plastikową buteleczkę po płynie do czyszczenia soczewek.

Sięgnął po szklanę i wypił duży łyk.

– Nie odpowiedział pan na pytanie, do czego studentom, których pan wyrzucił kilka miesięcy wcześniej, potrzebny był pański numer telefonu. Pan kłamie – powiedział cicho – kiedy opowiada mi, że nie utrzymywaliście kontaktów, prawda?

– Zadzwonili do mnie i prosili o spotkanie. Mieli podobno jakąś ważną sprawę. Odmówiłem... Teraz tego żałuję. – Profesor zwiesił głowę.

– A nie żałuje pan, że zaraził pan swojego przyjaciela, mistrza Batora, tymi bredniami o naostrzonym mieczu Pańskim? Tym całym Ezechielem. Że podpowiedział mu pan rozdział dwudziesty pierwszy i werset trzydziesty siódmy. Nie żałuje pan? – powtórzył, potrząsając ciałem Rutgera. – Ten wasz miecz Pański skosił Rakowieckiego i Leskiego?

– Powinni zostać ukarani – szepnął Rutger. – Nie tak, ale miecz Pański słusznie zawisł nad ich głowami.

– Został pan wezwany, żeby zidentyfikować ciała. Gorliwi policjanci pewnie powiedzieli panu o torbach foliowych, o dwadzieścia jeden trzydzieści siedem. Skojarzył pan cyfry od razu, prawda? – Heinz zacisnął zęby i odsłonił je, jakby zaraz miał ugryźć Rutgera.

Biblista nie odpowiedział.

– A potem pomyślał pan o Batorze, o jego obsesji prostowania ludzi... I teatralnie zemdlał pan. Taki pan niby wrażliwy, co? – Heinz z trudem panował nad sobą.

Zaraz się na niego rzucę – pomyślał.

– Dosyć – jęknął Rutger. – Mówi pan o mieczu Pańskim. Nade mną ten miecz też z pewnością wisi. Widział pan dzisiejsze wiadomości w Internecie?

– Chodzi o samobójstwo tego policjanta? – Heinz nie zrozumiał.

Rutger pokręcił głową.

– Chodzi o mnie. O moje oświadczenie przekazane Polskiej Agencji Prasowej. Napisałem, że występuję ze stanu duchownego. Rozumie pan? Jestem już na tamtym świecie... – Jego podbródek znów zetknął się z klatką piersiową. Uniósł głowę z najwyższym wysiłkiem. – Jest takie powiedzenie, że jeź wie o wielu sprawach, natomiast zna jedną najważniejszą – bełkotał. – Niestety okazałem się jeżem, nie lisem...

Po chwili Heinz usłyszał ciche pochrapywanie. Rutger spał.

Heinz podszedł do biurka i otworzył szuflady. Sam nie wiedział, czego szuka. Zobaczył stos papierów i faktury do zapłacenia. W dolnej szufladzie natknął się na piersiówkę. Potrząsnął nią. Była pusta. Poszedł do kuchni. Szafki wypełnione były jakimiś woreczkami i torebkami, w których upchano zioła. W lodówce na

plastikowej tacce leżały kiełki soi i pędy bambusa. Skrzywił się. Usłyszał jakiś dźwięk i wyjrzał przez kuchenne okno. Pod dom Rutgera podjechał samochód. Kierowca wyłączył silnik, ale nie wysiadał. Tak jakby nad czymś się zastanawiał albo coś zauważył. Heinz cicho podszedł do drzwi. Pamiętał, że od ulicy wejście do domu zasłaniają stare drzewa. Cicho wymknął się na zewnątrz i w trzech susach znalazł się za narożnikiem domu. Widział stąd furtkę oświetloną uliczną latarnią. Usłyszał szcęk otwieranego zamka i odgłos zatrzaskiwanych drzwi samochodu. W świetle latarni ujrzał siwą głowę spowiednika z seminarium. Starszy mężczyzna wszedł przez uchyloną furtkę i ruszył w stronę drzwi.

Korciło go, by podsłuchać rozmowę. Ale przecież rozmowy nie będzie. Rutger spał jak zabity. I minie nieco czasu, zanim wróci do żywych. Heinz trochę się na tym znał. Znał się aż za dobrze.

Minutę później siedział w opłu i przekręcał kluczyk w stacyjce.

Zjadł kebaba XXL, wrócił do hotelowego pokoju i połączył się z Internetem. Bez trudu odnalazł link zatytułowany: „Znany teolog porzuca stan duchowny”. Pod trzydziestą informacją znajdował się odsyłacz do pełnego tekstu oświadczenia profesora Rutgera. Heinz przeczytał:

Po długotrwałym namyśle postanowiłem poinformować moich zwierzchników, przyjaciół i ludzi mi bliskich o decyzji wystąpienia ze stanu duchownego. Do decyzji tej dojrzywałem stopniowo. Nie wdając się tu w szczegółowe uzasadnienia, przywołam trzy dramatyczne doświadczenia, które do głębi mną wstrząsnęły. Pierwszym była wiadomość o tym, że dekret

Crimen sollicitationis, jeden z najbardziej haniebnych dokumentów w historii Kościoła, uchwalony przez Święte Oficjum w 1962 roku, obowiązywał za zgodą kolejnych papieży – w tym Jana Pawła II – do początków naszego, XXI wieku. Konsekwencje tego dekretu odciskają do dziś piętno na wielu sferach, choćby na praktyce funkcjonowania seminariów duchownych. Drugim doświadczeniem niechaj będzie polityka kadrowa naszego Ojca Świętego, który – najpewniej ulegając naciskom i podszeptom – postawił na czele Kościoła w Polsce ludzi o wątpliwych kwalifikacjach intelektualnych, a wielokroć także – moralnych. Trzecie doświadczenie ma charakter osobisty: jak wiadomo, od wielu lat jestem orędownikiem łączenia chrześcijaństwa z innymi religiami, w tym zwłaszcza z buddyzmem. W ostatnich latach moje starania, by uczynić Kościół bardziej otwartym, natrafiały na wiele coraz potężniejszych przeszkód. Jest jeszcze jeden ważny powód mojej decyzji. Poinformuję o nim w ciągu tygodnia. Przepraszam tych, którzy poczują się osobiście dotknięci moją decyzją. Do wszystkich ludzi Kościoła kieruję zaś słowa mojego ulubionego proroka, Ezechiela, by Pan dał wam „serce nowe i ducha nowego tchnął do waszego wnętrza” (Ez 36, 26).

Prof. Jan Rutger

Heinz przeczytał oświadczenie po raz drugi, po czym wpisał w wyszukiwarce dwa słowa: Crimen sollicitationis. Na ekranie ukazały się odsyłacze do artykułów w różnych językach. Pobieźnie przejrzał kilka z nich. We wszystkich podkreślano, że dekret wydany na początku lat sześćdziesiątych dotyczył – tu cytowano Święte Oficjum – „najgorszych zbrodni”: „agresji seksualnej popełnionej przez księdza” lub „próby agresji wobec nieletnich płci obojga lub zwierząt”. W myśl dekretu wszelkie przestępstwa tego rodzaju miały być wewnętrzną tajemnicą Kościoła pod groźbą ekskomuniki wobec tych, którzy by się wyłamali.

Przypomniał sobie skandale pedofilskie w Kościele w Stanach Zjednoczonych oraz homoseksualne ekscesy w seminarium duchownym gdzieś w Austrii. Może Rutger rzeczywiście ma dosyć? A może chce w ten sposób odwrócić uwagę od tego, co zdarzyło się tu, w Warszawie? Zastanawiał się nad wizytą, jaką złożył Rutgerowi spowiednik z żoliborskiego seminarium. Ten sam, który lubił, gdy wyznawaniu grzechów towarzyszy biczowanie. Ciekawe, czyjego klientem jest także były zapaśnik Kruk, goryl Kunickiego.

Raz jeszcze przeczytał oświadczenie Rutgera. Dwadzieścia jeden, trzydzieści siedem. Może jednak wcale nie chodzi o cytaty biblijny, ale o godzinę śmierci papieża. O koniec, który – popatrzył na cytaty z Ezechiela – oczyści i tchnie nowego ducha?

Dość. Na dziś dosyć. Poczł ból w skroniach. Wyłączył telefon. Do snu włączył składankę Fleetwood Mac. Gdy rozbrzmiewały pierwsze takty Albatrosa, zasnął.

Obudził się o czwartej rano z przekonaniem, że rozwiązał sprawę. Poderwał się z łóżka i podbiegł do biurka. Drżącymi rękami rozłożył zdjęcia z Lasku Aniołowskiego. Przypomniawszy sobie, o czym pomyślał tuż przed zaśnięciem. Gdy rozbrzmiewał rockowy klasyk Petera Greena i spółki.

Włączył laptopa i zaczął szybko pisać.

Kluczem do tej sprawy jest podpis. W przypadku pierwszego morderstwa – ptasie pióro, ściślej, pióro gołębia. W drugim przypadku – latawiec, który znalazł się na miejscu zdarzenia nieprzypadkowo. Tym, co łączy oba elementy, jest metafora wznoszenia się, latania, odfruwania, bycia w innym, lepszym świecie. Morderca zabija, ale jednocześnie jest gdzieś indziej. W krainie fantazji, wyobrażeń albo wspomnień.

Przeczytał napisany fragment i sięgnął po papierosa. Z pewnością to, co napisał, odbiegało od języka standardowej ekspertyzy, ale Krygier przyzwyczyił się już do jego stylu. Przekonał się do niego, gdy okazało się, że spostrzeżenia Heinza pozwalają ująć sprawcę.

Dlaczego wspomnienia? Znowu powraca pióro – z dużą dozą prawdopodobieństwa można założyć, że jest to pióro młodego gołębia – oraz latawiec. To są atrybuty dzieciństwa, niedojrzałości (podobnie jak zbieranie piór, kolekcjonowanie ich, choć już raczej

nie w dzisiejszych czasach). Obu zabójstwom towarzyszy akt regresji. Można wytłumaczyć go na dwa sposoby. Po pierwsze – zabójca odwołuje się w ten sposób do doświadczeń z dzieciństwa, które, w jego mniemaniu, doprowadziły go do tego, co robi. Coś z dzieciństwa, jakieś doświadczenie lub przeżycie, zmusza go do mordowania. Po drugie – tendencja regresywna ma usprawiedliwiać działanie mordercy. Zabija, ale tak naprawdę czuje się dzieckiem. Czuje, że to, co robi, jest formą zabawy, niewinnej gry.

Do stanu regresji nawiązuje także sterta staranie złożonych ubrań w wypadku drugiej ofiary, którą należy uznać za przypadkową.

Przepisał notatki dotyczące różnic między ofiarami oraz końcową sugestię, że zabójca najpewniej nie doczekał się na kobietę, z którą się umówił i która miała być ofiarą numer dwa.

Symbolika ubrań złożonych w kostkę: pedanteria, zamiłowanie do porządku, dyscypliny. Karanie za wszelkie przejawy odstępstwa od tych reguł. W psychologii istnieje pojęcie osobowości anankastycznej – wzorca zachowań zdominowanego przez perfekcjonizm i potrzebę sprawowania ciągłej kontroli. Najpewniej zabójca stara się szukać ofiar pośród kobiet, które kojarzą mu się z takim wzorem dominacji. Przyjrzyjmy się pierwszej z kobiet: nawet typ fizyczny – mocna budowa ciała, obfite kształty, mocny, zdecydowany makijaż – przywodzą na myśl ten model. Najpewniej w życiu zabójcy ważną rolę odegrała kobieta odznaczająca się takimi cechami (lub taka, której morderca cechy te przypisał).

Pora zmierzać do konkluzji. Wziął głęboki oddech. To, co napisze, najtrudniej będzie Krygierowi przełknąć.

Gdzie poszukiwać mordercy? Powracam do pióra, które można nazwać – za amerykańskimi profilerami – czynnikiem alfa. Jest to

ten atrybut, należący do podpisu seryjnego sprawcy, który organizuje świat jego metafor (pióro – latawiec, przy trzecim zabójstwie, do którego, mam nadzieję, nie dopuścimy, mógłby się pojawić papierowy samolot, sklepany plastikowy model samolotu i tak dalej). Metafora lotu jest bardzo ważna dla mordercy i, być może, związana z jego hobby (aktualnym lub dawnym).

Sugerowałbym pokazanie portretu pamięciowego w Polskim Związku Hodowców Gołębi Poczтовых w Częstochowie – nie wykluczam, że zabójca jest lub raczej był (bo w jego przypadku sporą rolę może odgrywać chimeryczność i kapryśność) członkiem takiej organizacji. Mamy do czynienia z samotnikiem, człowiekiem nieśmiałym, niespecjalnie urodziwym (co widać na portrecie pamięciowym). To zupełnie ktoś inny niż pan, inspektorze! Z poważaniem – Hipis.

Wysłał maila pod adres, który znali tylko najbliżsi współpracownicy Krygiera. Był pewien, że o dziewiątej rano naczelnik, w porozumieniu z policją w Częstochowie, postawi na nogi wszystkich ludzi, których ma do dyspozycji. Pozostaje czekać na sygnał i wierzyć, że trop okaże się właściwy.

Postanowił, że dziś robi sobie wolne.

O dziewiątej trzydzieści zadzwonił Krygier.

- Jesteś pewien, Hipis, że jestem od niego przystojniejszy?
- Absolutnie, szefie. Pan przy nim to Mister Universum.
- Czyli jestem poza kręgiem podejrzanych? – upewnił się Krygier.
- Dokładnie to napisałem.
- No to wiem, co robić. Dzięki, Hipis.

Okolo południa postanowił, że pójdzie do zoo. Ogród zoologiczny wiosną przyciąga meneli, dresiarzy i blachary, czyli ich dziewczyny,

jak kiedyś poinformował go syn. Podczas jednej z tych rozmów, które można byłoby policzyć na palcach jednej ręki. Miał nadzieję, że ostatnie wydarzenia coś zmienią w ich relacjach. Nagle zateśnił za byle jakim mieszkaniem w „kukurydzy”. Jeśli nic tu się nie wydarzy, pojedzie na kilka dni do Katowic. Może właśnie teraz nie powinien pokpić sprawy. Teraz, gdy, jak mu się zdawało, znalazł po latach wspólny język z synem, złapał z nim kontakt. Gdy niespodziewanie zaczęli nadawać na tych samych falach.

Śledztwo w sprawie kleryków straciło impet. Poza tym nad ekipą dochodzeniową zbierały się czarne chmury. Zabójstwo prokuratora prowadzącego spektakularne sprawy, które wywoływały emocje wśród polityków, było komentowane w gazetach i Internecie. Komentatorzy najczęściej pisali, że cała sprawa jest porażająca, a to, że mordercą okazał się policjant, świadczy tylko o tym, jak bardzo obniżyły się standardy etyczne w instytucjach, które powinny świecić przykładem i być wzorem. Losem Poremby nikt się nie zajął.

Jeszcze jedno sranie w banię.

W zoo otrzymał kolejny dowód na to, że świat się zmienia. Klatki i wybiegi upstrzone były informacjami o sponsorach zwierząt. Dowiedział się, że pingwiny karmione są przez Zieloną Budkę, a czarną panterę dofinansowują kibice warszawskiej Polonii. Z odrazą pomyślał o piłce nożnej. Na myśl o Euro za pięć lat już był chory. Chyba na czas mistrzostw wyemigruje.

Zrobiło się upalne popołudnie. Stał przy opustoszałym wybiegu dla słoń. Chwilę później miał trzech towarzyszy: dwóch dresiarzy i chłopaka, także ubranego na sportowo, na wózku inwalidzkim.

– Fajne są te słońce, tylko pomarszczone. – Blondyn przechylił się przez barierkę.

– Tak, tylko spierdoliły. Pewnie na jego widok. – Inwalida kiwnął głową w stronę Heinza.

Nie miał ochoty na awanturę. Nie dziś. Odprowadzał go rehot dobywający się z trzech gardeł.

Zbliżał się do wyjścia, gdy pod nogi potoczył mu się nadmuchiwany fioletowy balon. Podniósł go z ziemi, rozejrzał się za jakimś dzieckiem, a gdy nie dostrzegł potencjalnego właściciela, przeczytał ostrzeżenie wybite grubą czcionką: „Uwaga! Niebezpieczeństwo zadławienia! Dzieci poniżej ośmiu lat mogą zadławić się lub udusić nienadmuchanym lub pękniętym balonem”.

Oczami wyobraźni zobaczył, jak morderca w filcowym kapeluszu, takim samym, jaki nosił człowiek z trocin z koszmaru sennego, w rękach trzyma pęknięty balon i przykłada go do twarzy Rakowieckiego i Leskiego. Podniósł głowę. Oślepiło go słońce. Przeniósł wzrok na najbliższe drzewo. Wokół konaru wirowały różnobarwne punkciki.

Wiedział, że nie uwolni się od koszmarów, dopóki nie rozwiąże tej sprawy. Czuł, że wszystkie ślady i tropy są jak wirujące punkciki, które zataczają wokół niego coraz mniejsze koła. Rutger i pragnienie odnowienia. Bator i jego maszyna do zabijania, złożona z rąk i nóg uczniów. Kunicki – sponsor seminarium, przyjmujący zwrot kosztów w naturze. Jego goryl Kruk, sieczony pejczem po plecach. Spowiednik, który wie wszystko o wszystkich. Obrotny rektor Majda, gwiazda sacropolo, bojąca się kompromitacji i skandalu, i zapatrzony w niego jak w rockowego idola, ojciec duchowny. Chłopaki z miasta, którzy nie poprzestali na ściganiu Skargi, ale zajęli się jego kolegami, być może też umocnionymi w coś, o czym Heinz nie miał pojęcia.

Czuł, że wystarczy jedna iskra, by wszystko stało się jasne. Na razie jednak wciąż stapał po omacku.

Wrócił do hotelu i włączył telefon. Zobaczył nieodebrane połączenia z komendy w Katowicach i od Karloffa. Zadzwoił do Katowic.

– Mamy go – usłyszał triumfujący głos Krygiera. – Poszliśmy twoim tropem. Miałeś rację.

– Co z nim zrobiliście?

– Na razie nic. Facet zniknął. Ale na ubraniu pozostawił pełno śladów. W pracy też go nie było. Ale nie martw się. Teraz to już tylko kwestia czasu.

– Jutro rano będę w Katowicach – zawiesił głos.

– I co? Masz nadzieję, że do tego czasu go nie namierzemy?

– Do jutra, szefie.

Rozłączył się. Krygier się nie mylił. Miał nadzieję, że sam zdąży spojrzeć skurwielowi w oczy.

Późnym popołudniem Heinz zadzwonił do Karloffa. Dwie godziny później zaparkował samochód pod blokiem przy Biało-brzeskiej.

Spodziewał się, że Karloff otworzy mu, chwając się w drzwiach. Pomylił się. Gdy usiedli, Karloff przeszył go lodowatym spojrzeniem.

– Wiem, że to ty. To ty załatwiłeś go w Regeneracji. Nawet domyślałam się, dlaczego.

– Po to mnie zaprosiłeś, żeby opowiadać o swoich przypuszczeniach?

– Pudło. – Karloff zapalił papierosa. – Chciałem ci opowiedzieć o Porembie.

Opowiedział historię o błyskotliwej karierze, jaką zrobił w warszawskiej policji chłopak z zapadłej mazurskiej wsi. Dwa lata

temu Poremba koordynował akcję przeciwko warszawskiemu dystryktowi mafii paliwowej. Zatrzymali gangsterów, a miesiąc później prokurator zniszczył Porembę, który, jak zeznali zatrzymani, w zamian za łapówkę miał chronić szefów mafii. Podobno uprzedził jednego z nich, że jego firma zostanie przeszukana. Skończyło się tak, że Poremba przesiedział dziewięć miesięcy w areszcie. W tym czasie zostawiła go żona. Szkoda gadać.

– A potem okazało się, że jest niewinny. – Heinz domyślał się puenty. – Święto dziś mamy, Karloff – zmienił temat. – Rozmawiamy bez wódki i piwa.

Karloff nie zareagował na zaczepkę.

– Wrócił do służby, korzystał z pomocy psychiatrycznej, ale to już był wrak człowieka – powiedział Karloff. – Zdarzały mu się ataki agresji, ale zasadniczo podpadał pod F 48.

F 48. Według Międzynarodowej Kwalifikacji Chorób i Problemów Zdrowotnych F 48 oznacza „inne zaburzenia nerwicowe”. Heinz przypomniał sobie reklamę dezodorantów dla kobiet, jedną z najgłupszych, jakie widział: „każda z nas jest pH pięć i pół”.

„Każdy z nas jest F 48.” Tak powinna wyglądać reklama policji.

– I wczoraj ten idiota – Karloff zaczął się trząść – poszedł do tego prokuratora i strzelił mu w czoło. Na oczach dzieci wyszykowanych do szkoły i żony. A później, wiesz, co zrobił.

Heinz nie wierzył własnym oczom. Karloff otarł łzy.

– Lepiej być F 48 niż mieć dziewięć milimetrów w czole. Wiem, bo sam miałem F 48 – starał się, by zabrzmiało to pojednawczo.

– Pod warunkiem, że dziewięciu milimetrów nie ładujesz sobie później do ust. Powiem ci jeszcze, że w tej sytuacji nikt nie interesuje się naszymi klerykami. Biuro Spraw Wewnętrznych

sprawdza, kto utrzymywał kontakty z Poremką. A na Osucha naciskają, żeby zakończyć sprawę i wsadzić jakichś łysoli. Efekt propagandowy będzie dobry. A teraz zostaw mnie, Heinz.

Postanowił nie czekać na windę i zejść po schodach. Zręcznie omijając plwociny i niedopałki papierosów, dotarł na pierwsze piętro. Zobaczył dwie kobiety łomoczące w drzwi.

– Szatanie! Otwórz, szatanie! Wiemy, że ona tam jest!

Znów łomot do drzwi.

– Jakiś problem? – Heinz podszedł do kobiet, które popatrzyły na niego z wdzięcznością.

– Szatan! – syknęła jedna. – Nie wpuszcza nas do swojej matki. Przetrzymuje ją. On tam jest! Niech pan sam posłucha!

Przyłożył ucho do drzwi. Rozpoznał ciężkie dźwięki gitary Tony'ego Iomi'ego. Dobięły go riffy War Pigs Klasyka Sabbathów.

– Trzeba dzwonić po policję! – krzyknęła jedna z blokowych aktywistek.

– To ja jestem policja.

Patrzyły na Heinza z niedowierzaniem.

– To ja jestem policja! – ryknął i wyjął legitymację. – A teraz rozejść się!

Kobiety popatrzyły na zdjęcie przedstawiające Heinza o dziesięć lat młodszego i skuliły się. Młodsza zawróciła na pięcie i zaczęła się wspinać po schodach. Druga wbiegła w korytarz, co rusz oglądając się, jakby się bała, że będzie ścigana przez szaleńca podającego się za policjanta.

W samochodzie zapalił papierosa. Myślał o tym, co powiedział mu Karloff. Nagle ogarnęło go zniechęcenie. Zaangażujesz się za bardzo w pracę, możesz być pewien kłopotów. Niech się sami babrzą w tym

gównie. Nie jestem tu do niczego potrzebny. Dobrze, że wyjeżdża rano do Katowic.

Drgnął, gdy zobaczył Karloffa wybiegającego z bloku, i odruchowo schylił głowę. Ruszył w bezpiecznej odległości za fordem mondeo. Nie jechali długo. Karloff zatrzymał się przy Mauzoleum Żołnierzy Radzieckich. Wsiadł do jednego z zaparkowanych tam aut. Po kilku minutach przesiadł się do swojego samochodu i odjechał. Gdy kierowca białego seata włączył silnik, Heinz odpalił swojego opla.

Kierowca seata zatrzymał się przed domem w Komorowie.

Otworzył bramę i zamierzał wprowadzić samochód, gdy spostrzegł mężczyznę w sztruksowej marynarce niedbale przytrzymującego drzwiczki.

- Ktoś ty? – szepnął z przestraczem w głosie.
- Harry Potter, synu – odpowiedział nieznajomy.

Po dwóch godzinach jazdy przednia szyba opla pokryła się czerwonymi i czarnymi punkcikami. Owady rozpryskiwały się na szkle, pozostawiając na niej skrzydełka i odwłoki. Wycieraczki tylko pogarszały sytuację. Heinz zatrzymał się na stacji benzynowej, przetarł szyby i zjadł hot doga. Wycierał usta serwetką z napisem „Tankuj tylko u nas”, gdy zadzwonił telefon z komendy w Katowicach.

– Mamy tego Marciniaka – usłyszał podniecony głos Krzysztofa Kobuza, policjanta, z którym dzielił pokój.

– Marciniak to nasz przyjemniaczek z Lasku?

– A prawda, skąd masz wiedzieć. Tak, to on. Dobrze znasz Miasto Świętej Wieży?

Miasto Świętej Wieży. Przypomniiał sobie piosenkę T.Love'u. Częstochowa nigdy nie budziła w nim dobrych skojarzeń. Może ze względu na pielgrzymów przybywających masowo do klasztoru.

– Tak sobie – mruknął.

– To kieruj się na wjazd do miasta. Spotkamy się przy McDrivie. Tam, gdzie zwykle stacjonuje Kobra. Wiesz gdzie?

– Wiem.

Kobra. Dawno o niej nie słyszał. Legendarna królowa częstochowskich tirówek z blond grzywą i olbrzymimi

przeciwsłonecznymi okularami stała zawsze w tym samym miejscu i była dogodnym punktem orientacyjnym dla kierowców ciężarówek, którzy za pomocą CB radia informowali się, by kierować się na Kobrę.

– Jak się pospieszysz, zdążysz jeszcze na przedstawienie – powiedział Kobuz.

– Co się stało?

– Namierzyliśmy go w cudzym mieszkaniu. Chyba u jego kobiety. Skurwiel musiał się zorientować i zabarykadował się w środku. Słowem niezły cyrk.

Gdy się rozłączyli, przez głowę Heinza przetoczyły się dwie myśli. Pierwsza, że musi zdążyć. Druga, że nie chciałby być w skórze kobiety, która natrafiła na swojej drodze na przyjemniaczka z Lasku Aniołowskiego.

– Zdążyłem? – zapytał Kobuza, który nerwowo wycierał z ust resztki ketchupu i majonezu.

– Zostaw tu tego rupiecia i jedziemy tym – wskazał na radiowóz. – Antyterroryści tylko przebierają nogami, by gościa rozwalić.

Nic dziwnego – pomyślał Heinz.

– Mieszkałem tu do dwutysięcznego drugiego – Kobuz postanowił umilić czas opowieściami z przeszłości. Koło kina Relax. Byłem na ostatnim seansie, zanim kino zamknęli. Pamiętam, że to było w grudniu.

– Pamiętasz, na jakim filmie byłeś?

– Kosmicznikowboje Z Clintem Eastwoodem. Ja jeden wykupiłem bilet. I seans odwołali. Ale to ja byłem ostatni.

Obyśmy dojechali jak najszybciej – westchnął Heinz. Inaczej zabije mnie swoimi historyjkami bez puenty. Radiowóz mknął Aleją Pokoju. Wjechali w blokowiska Rakowa. Z oddali widział, że są na miejscu. Teren blokowały samochody policyjne, karetka pogotowia i wóz straży pożarnej. Tłum gapiów uformował się w trzy grupy. Pierwszą tworzyli starsi mieszkańcy, drugą dresiarze. Trzecią cała reszta. Wszyscy wpatrywali się w jeden punkt.

– Czwarte piętro. Tam – wskazał Kobuz.

Heinz dostrzegł naczelnika Krygiera, który nerwowo tłumaczył coś swojemu rozmówcy. Heinz widział już kiedyś tego człowieka. Policyjny negocjator. Mężczyzna ze słuchawką w uchu wyglądał jak trener futbolu amerykańskiego wydający polecenia swoim zawodnikom.

– Sytuacja patowa – powiedział Krygier, gdy Heinz podszedł do nich. – Facet grozi, że ją zabije, a nasi ludzie są coraz bardziej podkurwieni.

– Ona nie żyje – cicho powiedział Heinz.

– Skąd pan wie? – ostrym głosem zapytał negocjator. – Jest pan jakimś jasnowidzem?

– Nie jestem jasnowidzem. Mówię tylko, że on ją zabije... Jeśli jeszcze tego nie zrobił. A panu... – popatrzył zimno na negocjatora – panu samemu przydałby się psycholog.

Wśród gapiów zapanowało poruszenie. Jakby gwiazda rocka po godzinach przetrzymywania publiczności wreszcie wyszła na scenę, by zacząć koncert. W oknie poruszyły się zasłony i na sekundę ukazała się czyjaś głowa.

A potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Drzwi balkonu otworzyły się z impetem. Mężczyzna wspiał się na barierkę, rozłożył

ręce i runął w dół. Krzyki obserwatorów zagłuszyły odgłos upadku. Jakaś kobieta trzymająca za rękę kilkuletnie dziecko osunęła się na ziemię. Chłopczyk zaczął przeraźliwie płakać.

Zawsze jest tak samo.

– Widziałeś jego spodnie? – Krygier nie ruszył się z miejsca.

– Całe we krwi...

– Cholera. Chcesz tam podejść? Albo pojechać na górę?

– Nie.

Heinz patrzył na strażaków leniwie zbierających się do odjazdu. Nawet nie rozłożyli pod blokiem trampoliny dla samobójców. Teren stopniowo pustoszał. Koniec przedstawienia. Na miejscu pozostali jedynie najdociekliwsi widzowie.

Godzinę później podszedł do niego Kozub.

– Mam trzy wiadomości. Wszystkie są złe. Od której zacząć?

– Od najgorszej.

– Ta babka na górze nie żyje. Podziurawił ją nożem, jak te poprzednie. Facet musiał całkowicie zbzikować... Wiesz, co zrobił? Zabił ją, a potem wsadził do wersalki.

– A pozostałe wiadomości?

– Skurwiel przeżył upadek.

Heinz domyślał się, jaka będzie kolejna rewelacja.

– I najpewniej uszkodził sobie rdzeń kręgowy. Będzie kaleką do końca życia, a my będziemy go utrzymywać. Szef mówił, że przewidziałeś, że ją zabije. Skąd wiedziałeś?

– Pióro, latawiec, skok z okna – wyliczał Heinz. – Nie przewidziałem tego ostatniego rozwiązania. Przyszło mi do głowy dopiero tu, gdy popatrzyłem na balkon.

– Pióro, latawiec, skok z okna? Nic nie rozumiem...

– Nieważne. – Heinz machnął ręką. – A wieści przyniosłeś fatalne – spojrzał w górę. Na balkonie wciąż pracowała ekipa policyjna. – Podrzucić mnie do tego McDrive'a.

W piątkowe popołudnie dwudziestego siódmego kwietnia prawie wszyscy zaczęli myśleć o długim majowym weekendzie. Heinz nie miał żadnych planów. Do Warszawy mu się nie spieszyło. Siódmego maja miał umówioną wizytę w Instytucie Reumatologii. W sprawie morderstwa kleryków nie zdarzyło się nic, co mogłoby pchnąć śledztwo na nowe, szybsze tory. Dużo tropów, mało konkretów. Z doświadczenia wiedział jednak, że prędzej czy później pojawi się ogień, który podpali lont. W sumie wolałby prędzej. A tak czekał go długi weekend bez piwa. Postanowił, że zostanie w Katowicach. Poćwiczycy na gitarze ku rozpaczy sąsiada z pierwszego piętra. Nie liczył na to, że uda się zorganizować jakieś wspólne granie. Koledzy z zespołu pewnie już pakują torby nad morze lub na Mazury. Może umówi się z Lambrosem Kastoriadisem na trening. To byłoby coś. Powrót do starych czasów.

Stare czasy. Heinz nie miał nic do roboty. Nic poza jedną sprawą do załatwienia.

Wyjął telefon i zadzwonił do doktora Kornaka.

Rozłożyste lipy dawały zbawienny cień.

Upał w „kukurydzy” był trudny do zniesienia, a przecież to dopiero początek maja. Heinz i Kornak szli szeroką aleją, wsłuchując się w rytmiczne chrupnięcia żwiru. Spotkali się przy bramie pięć minut wcześniej. Jeden wyjął służbową legitymację, a drugi przepustkę i zostali wpuszczeni na teren zakładu.

– Szybko to załatwiłeś – Heinz przerwał ciszę.

– Mówiłem ci, że dyrektor jest moim przyjacielem. Poza tym jest długi weekend. Mniejszy ruch, mniej personelu. Łatwiej zrobić coś...
– szukał odpowiedniego słowa – nieformalnie.

Byłoby tu całkiem przyjemnie. Całkiem przyjemnie, gdyby nie znieruchomiałe twarze katatoników, konfabulacje pacjentów cierpiących na zespół Korsakowa przerywane stanami otępienia, jęki i wrzaski chorych z zaburzeniami afektywnymi dwubiegunowymi. Nawet budynek o bielonych ścianach i dachówkach w kolorze ciemnej zieleni wydawałby się przyjazny, gdyby nie masywne kraty w oknach.

Heinz ubrany był w koszulę z krótkim rękawem. Tutaj nie musiał kryć blizn pooparzeniowych. Chciał, aby Inkwizytor poczuł satysfakcję, patrząc na spalone ciało. Satysfakcjausypia. Sprawia, że

traci się czujność. Na to właśnie liczył. O ile Inkwizytor miał coś do powiedzenia.

Usiedli w gabinecie dyrektora.

– Zaraz go przyprowadzą. – Kornak otarł pot z czoła. – Jest tu takie specjalne miejsce widzeń, przedzielone pleksi.

– Myślałem...

– Nie. – Kornak zdecydowanie pokręcił głową. – Dyrektor nie chce żadnych kłopotów. Nie chce, żebyś się na niego rzucił. Albo – spojrzał na Heinza – żeby on rzucił się na ciebie. Pokój widzeń z pleksi. To warunek dyrekcji.

Nic mi wcześniej nie powiedział – pomyślał Heinz, patrząc ze złością na Kornaka.

– To jak? – zapytał doktor. – Idziemy?

Usiadł na lekko chyboczącym się krześle i czekał.

Usłyszał, jak otwierają się drzwi. Do pokoju po drugiej stronie wszedł gładko ogolony, siwy mężczyzna. Postarzał się. Tylko oczy pozostały te same. Szare oczy spojrzały na Heinza i znieruchomiały. Wydawało mu się, że siateczka zmarszczek na twarzy Inkwizytora zadrgała. Mężczyzna powoli uniósł dłoń w geście powitania.

Heinz siedział nieruchomo.

– Gdzie się podziały pańskie maniery? – Inkwizytor uśmiechnął się. – Podczas naszego spotkania... w sumie jedyne spotkanie... przepuściłem pana przodem. Zapewne pamięta pan...

– Nie będziemy rozmawiać o manierach, bydlaku – wycedził Heinz.

– Za chwilę w ogóle nie będziemy rozmawiać. – Oczy koloru zimnej stali śledziły każdy jego ruch.

– Jak tam twoje lektury? Przeczytałeś coś nowego? Coś poza Beckettem? Czego chcesz?

Uśmiechnął się i przekrzywił głowę, jak zwierzę, które ujrzało przed sobą jakieś dziwne zjawisko. Dopiero po chwili Heinz zrozumiał, że Urbaniak łowi wzrokiem blizny pokrywające jego rękę.

– Kto pana tak urządził? To – wykonał nieznaczny ruch głową – musiało boleć.

Dobrze, że między nami jest pleksi. Wiedzieli, co robią.

– Nie dokończyliśmy wtedy rozmowy – Inkwizytor przeciągał sylaby – więc dobrze, że jesteś.

– Nie paliło mi się.

– Nie paliło ci... – Urbaniak wybuchnął histerycznym śmiechem. – Nie paliło ci się, a to dobre... Masz poczucie humoru, Heinz.

Stracił pewność siebie. Po raz pierwszy podczas tej rozmowy stracił grunt pod nogami.

Nagle Inkwizytor spoważniał.

– Nie wyspowiadałeś się wtedy. Miałem takie przeczucie... I potwierdziło się... – Jego głos przeszedł w szept. – W takich miejscach – zatoczył koło ręką – spotyka się różnych ludzi. Rok temu spotkałem tu kogoś, kto cię dobrze pamiętał. – Wpatrywał się w Heinza. – Pamiętał rok dziewięćdziesiąty pierwszy i straszny wypadek koło Bogusławic.

Heinz drgnął.

– To był twój kolega po fachu. Pracował wtedy w drogówce... – Inkwizytor zamyślił się. – Nie wyspowiadałeś się, Heinz. Ani wtedy, ani później...

– Co chcesz mi powiedzieć? – Głos Heinza łamał się. – Co chcesz powiedzieć, skurwysynu! – Przestał panować nad sobą. – Kiedyś cię jeszcze dorwę i wtedy zobaczysz, że śmierć bywa wybawieniem! Zgotuję ci piekło, skurwielu. Słyszysz?! – Walnął pięściami w pleksi.

Inkwizytor wstał.

– Grozisz niepoczytalnemu. Nieładnie. – Zdegustowany pokręcił głową. – Naprawdę brzydko.

Heinz drżał. Na ramionach poczuł dłonie doktora Kornaka i pielęgniarki, którzy odsuwali go od plastikowej szyby.

– Pomyśl, gdzie jest twoja szubienica – powiedział Inkwizytor i wyszedł, wyprowadzony przez innego pielęgniarkę.

Rozmowę z Inkwizytorem odtwarzał w głowie przez resztę soboty i niedzielę, tak jak odtwarza się nagranie z płyty. Zdanie po zdaniu, sekwencja po sekwencji. Dźwięk. Pauza. Dźwięk, pauza. Niepotrzebnie dał się ponieść emocjom. Więcej stracił, niż zyskał. Co właściwie ten pojęb chciał mu powiedzieć? Nie, to nie pojęb. Od początku do końca wiedział, co robi. Trzymał się reguł, które sam ustalił.

Zadzwoił do Kornaka i przeprosił go za swoje zachowanie.

– Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę.

Kornak milczał.

– Czy mógłbyś zdobyć dla mnie listę pacjentów, którzy przewinęli się przez szpital w ostatnich, powiedzmy, dwóch latach?

– Zobaczę, co da się zrobić – powiedział z wahaniem doktor – ale za wiele sobie nie obiecuj. Jeśli... jeśli to się rozejdzie, co tam wczoraj wykrzykiwałeś, będą kłopoty.

Wszystko zmieniło się w poniedziałek trzydziestego kwietnia.

O dziesiątej rano niespodziewanie zadzwoniła gotycka Jolka. Przez kilka minut rozmawiali o śledztwie, które ugrzęzło w miejscu. Jedyne, co się udało, to sprawdzić podróże Kunickiego. Na szczęście odbywa ich mniej niż Brad Pitt i ta jego laska.

– Co robił jedenastego i dwunastego?

– Kunicki i Kruk polecili do Francji. Mam to odnotowane podczas odprawy. Zdobyłam nawet zdjęcie z kongresu w Lille, na którym Kunicki wita się z jakimś ważniakiem.

– No dobra, a co z drugą datą?

– Z tym gorzej. Nasz oligarcha był w Polsce. W Poznaniu i Wrocławiu. Gorzej z jego gorylem, Krukiem. Nie wiemy, czy towarzyszył Kunickiemu. Mówiłam ci – w jej głosie usłyszałam zniecierpliwienie – to jest vip, a takiego traktują lepiej niż ministra. Leci swoim samolotem i gówno komu do tego w którym towarzystwie.

Mało – pomyślał, ale nic nie powiedział. – Wciąż za mało wiemy.

– Nie martw się – powiedziała Jolka, jakby czytając w jego myślach. – Skończy się ten cholerny weekend i raz jeszcze wezmę w obroty rodziny tych kleryków. Ziarnko do ziarnka i wreszcie na coś trafimy. Jestem pewna, że musieliśmy coś przeoczyć.

Heinz głównie milczał. Jedyne od czasu do czasu chrząknięciami i monosylabami dawał znać, że się nie rozłączył.

– A tak w ogóle co robisz?

– Nic.

– Aha. Cholernie cieplutki jesteś.

– Pewnie. Zimą można zrobić ze mnie termofor i ogrzewać nim nerki.

Gdy jadł obiad, przypomniał sobie rozmowę z czarną wiedźmą. Erebus odora. Musieliśmy coś przeoczyć. Czegoś nie dostrzegliśmy w porę. Erebus odora. Milczenie owieŻiarnko do ziarnka i...

Wreszcie zrozumiał. Zerwał się od stołu, rozlewając zupe brokułową. Bez powodzenia próbował się dodzwonić do Karloffa. Chłasciak miał wyłączoną komórkę. Po kolejnych dwóch godzinach udało mu się złapać Jolkę.

– Gdzie ekspertyza? – zapytał bez wstępów.

– Jaka ekspertyza? – nie zrozumiała.

– But jednego z chłopaków – mówił gorączkowo i nieskładnie. – Tych zamordowanych... Biało-czerwona Puma. Nowy but, a w protektorze utkwiło coś dziwnego... Ziarno czy nie wiadomo co... Wyniki miały być na cito.

– Człowieku, jest długi weekend. Poczekaj do poniedziałku za tydzień.

– Zdobądź te wyniki. Muszę wiedzieć, co to było. To jest... – zawahał się – to jest to, o czym mówiłaś. Właśnie to przeoczyliśmy... Postaw na nogi Karloffa, on dał zlecenie, może coś wie.

– Nie wydaje mi się – w jej głosie usłyszał powątpiewanie. – Poza tym to nie będzie proste, Heinz. Cała Polska świętuje.

– Nie wytrzymał. Ostatnio ciągle słyszy, że coś jest niemożliwe.

– Chcesz zakończyć tę cholerną sprawę? – wybuchnął. – To znajdź te wyniki!

W poniedziałek i wtorek telefon Heinza milczał. W środę poczuł dreszcz, gdy zobaczył na wyświetlaczu, że dzwoni Karloff.

– Mam to dla ciebie, Heinz. Nasi chłopcy z laboratorium przekazali sprawę do SGGW. Dlatego trochę to trwało. Zdziwisz się,

jak usłyszysz, co tkwiło w bucie tego świętoszkowatego pedałka. Tym razem mamy go, skurwysyna – zamiast zblazowanego głosu Heinz wyczuł niespotykaną u Karloffa ekscytację.

– O czym ty mówisz?

Karloff zrobił efektowną pauzę.

– Przeczytam ci. Słuchaj uważnie. Najpierw jakieś łacińskie pieprzenie, ale potem konkrety. Słuchaj.

Heinz słuchał.

– „Amarantus znano już około pięciu tysięcy lat temu. Znany był Majom, był także podstawowym zbożem, oprócz kukurydzy i fasoli, Inków i Azteków. Nasiona mielono i przyrządzano z nich papkę, tortille oraz napoje. Młode liście i pędy stosowano jako warzywo i przyprawę.”

Heinz poczuł, że burczy mu w brzuchu.

– Słuchaj teraz: „Amarantus miał także magiczne znaczenie podczas obrzędów religijnych Indian. Z ciasta amarantusowego z dodatkiem krwi ludzkiej wykonywano figurki bogów i składano je w ofierze, a także wypiekano placki, które dodawały siły wojownikom.

Przez Indian amarantus uznawany był za roślinę świętą i nazywany »nieśmiertelnym«. Dopiero konkwistadorzy zakazali siać »diabelskie ziele«, a za jego uprawę obcinali ręce.

W ten sposób amarantus, za zakonników, stał się ziołem zakazanym i symbolem pogaństwa. Według legend pierwsi konkwistadorzy, mszcząc się za zabójstwo mnicha bliskiego papieżowi i wypieczenie rytualnych placków z jego krwi zmieszanej z amarantusem, zniszczyli tę roślinę niemal całkowicie. Dziś amarantus uprawia się w obu Amerykach, Afryce oraz – uważaj,

Heinz – w południowo-wschodniej Azji: Indiach, Nepalu, w Himalajach, Chinach, na Sri Lance. Od kilkunastu lat amarantus z powodzeniem uprawia się także w Polsce". Rozumiesz? – zapytał Karloff.

Heinz nie odpowiedział.

– A teraz najlepsze. Przeczytam ci dalej. „Ze względu na swoje właściwości amarantus jest dziś stosowany w diecie jednostek specjalnych. Wśród komandosów. ”

– Bator – cicho powiedział Heinz.

– Tak. Bator. Nasi chłopcy pojechali zatrzymać go na cztery osiem. A tak pomijając to wszystko, wiesz, że spieprzyłeś mi długi weekend?

Amarantus. Diabelskie ziele.

Heinz przebiegał wzrokiem notatki, które sporządził, gdy słuchał Karloffa. Zgadza się. Ziarno, które kojarzy się z grzechem, przytwierdzono do buta grzesznika. W dodatku grzesznika, który popełnił ciężkie wykroczenie. Dwadzieścia jeden trzydzieści siedem. Miecz Pański, który obcina ręce. Za uprawę amarantusa obcinano ręce. Cięcie mieczem. I tu, i tu.

Rakowiecki i Leski wykroczyli przeciwko świętemu prawu i zostali ukarani. Dla takich jak on w świecie żołnierzy wiary nie ma miejsca – przypomniał sobie, co mówił Bator. Amarantus uprawiano w Azji. Może tam, gdzieś przy granicach Kambodży, Bator zetknął się z tą rośliną. A może poznał ją wcześniej? Gdy był komandosem. Trójkąty namalowane szminką stanowiły oznakę grzechu

popelnionego przez kleryków i dopełniały się z dwoma pozostałymi znakami. Z liczbami na torbach i rośliną w bucie.

Czekał teraz na telefon od Karloffa i jego triumfalny głos, który poinformuje, że były komandos, potem misjonarz, a teraz mistrz karate przyznał się do podwójnego morderstwa. Ale telefon milczał.

Raz jeszcze popatrzył na notatki i postanowił je uporządkować.

Nie. Nie zgadza się. Ziarno amarantusa znaleziono w jednym bucie, chociaż zamordowano obu kleryków. Obaj mieli wymalowane trójkąty i cyfry, ale ziarno było jedno. Poza tym łatwo je przeoczyć lub zignorować. Mało brakowało, a sami by tak postąpili, prowadząc tę sprawę. Poza tym takie ziarno mogło łatwo wypaść z protektora, a wtedy wszelkie zamierzenia biorą w łeb. Nie ma inscenizacji. Nie ma przekazu.

Zaraz. Co ten Karloff powiedział? Jakieś łacińskie pieprzenie, ale potem konkrety? Czyżby przeczytał ekspertyzę wybiórczo?

Wybrał numer.

– Nie. Jeszcze go nie mamy – powiedział Karloff niepytany. – Ale spodziewam się, że lada moment...

– W jakiej postaci masz ten raport? – przerwał mu Heinz. – W elektronicznej?

– Tak. A co? Podesłać ci go?

– Podeslij. I daj znać, jak złapiecie Batora.

Kwadrans później odebrał maila. Przebiegł wzrokiem tekst i zaklął. Było tak, jak myślał. Karloff odczytał te fragmenty ekspertyzy, które sam uznał za ciekawe.

Przeczytał ekspertyzę ponownie. Przy kolejnej lekturze skupił się już tylko na podrozdziale zatytułowanym „Wskazania medyczne”.

„Ziarno amarantusa – czytał Heinz – zawiera ważne biopierwiastki: żelazo, wapń, magnez, fosfor, potas. Ich ilość jest wielokrotnie większa niż w ziarnach zbóż. Amarantus zawiera witaminy A oraz E, a także B i C. Nie zawiera natomiast glutenu. Zalecany jest przez lekarzy i dietetyków jako środek wzmacniający. Lecznicze podawanie amarantusa wzmacnia pamięć i system nerwowy, hamuje rozwój wrzodów żołądka. Amarantus ma także pięciokrotnie więcej żelaza od szpinaku.”

Przeczytał całą ekspertyzę jeszcze raz.

„Wrzody żołądka i bóle w stawach to pozostałość stanu wojennego i zimnych cel. I kiepski wzrok, bo dostałem pałką po głowie. Dlatego nie lubię policjantów, ale muszę lubić lekarzy spowiadających moje ciało z chorób” – przypomniał sobie, co Rutger mówił mu w seminarium o swoich schorzeniach.

Doświadczenia z Azji i wrzody żołądka.

Kartka z nowym numerem telefonu do Rutgera w kieszeni jednego z zamordowanych kleryków. Kuchenne szafki pełne ziół i ziaren.

Rutger rozsypał ziarna na podłodze i nie zauważył ich. „Kiepski wzrok, bo dostałem pałką po głowie.” Jeden z chłopaków nadepnął na takie ziarno.

To nieprawda, że Rakowiecki i Leski próbowali się umówić z profesorem. Oni się z nim spotkali. Rutger widział ich żywych, jako ostatni.

Raz jeszcze zadzwonił do Karloffa. Wyjaśnił, w jakiej sprawie dzwoni.

W słuchawce zapadła głucha cisza.

– Chcesz, bym zrezygnował z Batora? – zapytał w końcu Karloff. – Nie zrobię tego!

– Ale weź równocześnie w obroty Rutgera. On kłamie. Widział się z tymi chłopakami tuż przed ich śmiercią.

– A może działali razem? Dusza i ciało. Sędzia i kat. Jak myślisz?

– Znajdź ich. A potem zobaczymy.

Była druga w nocy, gdy odebrał informację od Karloffa. „Obaj znikli. Nie ma po nich śladu. Postawię na nogi, kogo się da. Prokuraturę, sędziów, komendantów wojewódzkich i straż graniczną. Zobaczysz! Jest pierdolony długi weekend, ale nie wymkną mi się. Kurwa!”

Heinz przeczytał esemesa i odłożył telefon. Karloff był z pewnością zdesperowany. A to ludziom, których ścigał, nie wróżyło nic dobrego.

Trzeciego maja napłynęły nowe wiadomości. Coś zaczęło się wyjaśniać. Bator podobno wyjechał na mistrzowski kurs karate. Heinz zadzwonił do Lambrosa i opowiedział mu o tajemniczym zniknięciu, które postawiło na nogi służby w Polsce. O ile Karloff dotrzymał słowa i przerwał majowy wypoczynek kilku ważniakom.

– On może być wszędzie – powiedział Kastoriadis. – Jeśli oczywiście to prawda, że tam pojechał. – Takie kursy mistrzowskie co chwila odbywają się na całym świecie. Facet może być w Paryżu, ale równie dobrze w Mołdawii albo w Los Angeles. Jak chcesz, mogę zadzwonić w dwa, trzy miejsca i zapytać znajomych...

– Nie. Nie ma takiej konieczności – odparł Heinz.

Był pewien, że prędzej czy później Stanisław Bator się odnajdzie.

Wieczorem zadzwonił Karloff.

– Wciąż nic. Ale wreszcie udało nam się namierzyć sąsiadów Rutgera, którzy wrócili z działki. Mówią, że widzieli, jak do profesora ktoś przyjechał. I obaj odjechali samochodem twojego biblisty. Podobno ten drugi usiadł za kierownicą. Wszystko to działo się we wtorek, pierwszego maja.

Rutger znów był pijany – pomyślał Heinz. – Nie był w stanie prowadzić. Ciekawe z kim pojechał i gdzie.

– Rozpoznałiby go? Tego towarzysza podróży?

– Mówią, że nie przypatrywali się uważnie. Byli zmęczeni po kilku tam godzinach jazdy samochodem. Ale jeszcze ich przycisnę.

Następnego dnia rano Heinz spotkał się z kolegami z zespołu. Grali w okrojonym składzie, bez drugiego gitarzysty. Zaczęli grać Sunshine of your love Creamów, gdy w kieszeni Heinza zaczął wibrować telefon. Syn? Za wcześnie na wiadomość od niego. Rozciągnęli klasyczny rockowy utwór do monstrualnych rozmiarów, by każdy z trójki instrumentalistów mógł się wyżyć i zagrać solówkę.

Z twarzy Heinza spływały strużki potu. Wilgotną dłonią sięgnął po zaparowany telefon i odsłuchał wiadomość.

Stał jak skamieniały.

– Co jest, Hipis? – Burdyna pociągnął łyk piwa z butelki. – Stało się coś?

– Stało – odpowiedział cicho.

Pół minuty wcześniej usłyszał na sekretarce zdenerwowany głos Karloffa. „Rutger się znalazł. Wraz z samochodem. Wylądował w rozlewisku. On nie żyje, Heinz. Ale to jeszcze nie wszystko. Odezwij się.”

Niedługo później zadzwonił syn. Matura z polskiego była ponoć banalnie łatwa.

Tego samego dnia był w Warszawie. Jechał przez miasteczka, które sprawiały wrażenie wymarłych. Jakby przeszła przez nie dżuma albo kataklizm. Jakby wszystkich w ten cholerny upał skosiła śmierć.

O dwudziestej pierwszej spotkał się w Pałacu Mostowskich z Karloffem. W kilku pokojach panował duży ruch. Heinz patrzył na pochylonych nad dokumentami i zdjęciami ludzi, których widział po raz pierwszy w życiu.

– Samochód zauważyli przypadkowi turyści dziś rano. W rozlewisku w okolicach Mińska Mazowieckiego. Paskudne miejsce. Często dochodzi tam do wypadków. Upały w ostatnich dwóch tygodniach sprawiły, że woda w rozlewisku zaczęła opadać i nagle oczom szczęśliwej rodziny ukazał się kawałek zatopionego volkswagena.

Zaczął się wachlować kartkami pochwyconymi ze stosu z biurka.

– Patrz. Dziewiąta wieczorem, a duszno jak cholera!

– Mińsk Mazowiecki? – Heinz zmarszczył brwi. – Co on tam robił? Karloff uśmiechnął się triumfująco.

– A wiesz? Zadałem sobie to samo pytanie. Zadzwoiłem do seminarium, by poinformować rektora. Nie było go. Dowiedziałem się, że na weekend wyjechał... no zgadnij gdzie?

Heinz pokiwał głową.

– Odnaleźliśmy jego świątobliwość rektora w domu w Mińsku. I okazało się, że był umówiony z Rutgerem pierwszego maja wieczorem.

– A więc wtedy, gdy Rutger wybrał się w podróż z tajemniczym przyjacielem?

– Właśnie. Mamy więc przypuszczalny czas zgonu. Jutro Sierściuch powie nam więcej. Klął, gdy się dowiedział, że musi przyjechać kroić jakiegoś księdza.

– Tam, w rozlewisku... – Heinz patrzył, jak do pokoju wchodzi ktoś nowy. – Tam... znaleźliście jedno ciało?

– Szukamy drugiego. Ale ten drugi raczej wysiadł. Skąd wiem? Bo gdy wyłowiliśmy samochód, to Rutger siedział za kierownicą.

Heinz ożywił się nagle, wciąż patrząc na krzątających się policjantów.

– Skąd tu taki ruch? Skąd taki pośpiech? Stało się coś? Karloff otarł pot z czoła.

– Gdy ci się nagrywałem, wspomniałem, że śmierć Rutgera to nie wszystko – rozejrzył się, czy nikt ich nie słucha. – W samochodzie Rutgera coś znaleźliśmy... Taki drobiazg... Różową szminkę.

Słuchał Roberta Johnsona przy zgaszonym świetle i otwartym oknie. Leżał nagi na prześcieradle, które parzyło jak rozżarzone węgle. Nie wiadomo który już raz odtwarzał sobie rozmowę z Rutgerem. Kręcił się nerwowo na skrzypiącym łóżku. Nie. Ciągle coś nie pasowało. W tej chyboczącej się konstrukcji brakowało kluczowego elementu.

Nad ranem zasnął. Spał do południa. O dziwo nikt nie obudził go niespodziewanym telefonem. Wziął prysznic i zadzwonił do Karloffa.

– Wyniki sekcji będą około trzeciej po południu. Z nowych wieści jest taka, że informacja o śmierci Rutgera dotarła do gazet i Internetu.

Włączył komputer. „Znany teolog zginął w wypadku samochodowym” – przeczytał na jednym z portali. Zaczął czytać wpisy internautów. Nie było ich zbyt wiele. Większość stanowiły gwiazdki w nawiasach kwadratowych – świece nagrobne ery Billa Gatesa. Przeczytał dwa komentarze. „Lubiłam jego książki. Nie

jestem wierząca, ale facet był OK.” Bardziej zaintrygował go drugi wpis: „Niedawno zrezygnował ze stanu duchownego. I od razu zginął w wypadku. Czy to nie znak od Pana?”. Od paranoików owładniętych teoriami spiskowymi roi się w Internecie – pomyślał.

A może jednak ten ktoś, podpisany jako św. Tomasz, miał rację. Może i Rutgera ugodził miecz Pański?

O piątej po południu siedział w dusznym pokoju komendy. Czytał raport z sekcji zwłok i nie mógł się skupić. Czytam – pomyślał. – Ale czytam bez zrozumienia. Gdy przeczytał po raz trzeci, umiał już sprecyzować swoje wątpliwości.

Złapał Karloffa biegającego po korytarzu.

– Słuchaj – zaczął niepewnie – czy ten wasz Sierściuch to naprawdę taki macher?

– Gdyby to nie bolało, tobym teraz uciął sobie rękę. – Karloff uderzył się dłonią w nadgarstek. – Zaniósłbym Sierściuchowi, a on przyszyłby ją z zamkniętymi oczami.

Heinz nie chciał sobie nic odcinać na próbę. Zwłaszcza że – Karloff miał rację – to boli. Siadł przy biurku i połączył się z doktorem. Przedstawił się i przypomniał, w jakich okolicznościach się poznali.

– No dobra, pamiętam – mówił zniecierpliwiony Sierściuch. – W czym mogę pomóc, bo chcę jeszcze skorzystać z weekendu.

Heinz zaczerpnął powietrza. Przypomniał sobie rozmowę z Rutgerem w seminarium.

„Wrzody żołądka i bóle w stawach to pozostałość stanu wojennego i zimnych cel. I kiepskie oczy, bo dostałem pałką po głowie.” W uszach dźwięczały mu słowa, które usłyszał później od pijanego biblisty. „Teraz to i tak nie to, co wtedy, gdy nie mogłem

nalać sobie z butelki, bo ręce latały mi o wiele bardziej niż dzisiaj. Wlewałem wódkę do garnka, a potem odsączałem w plastikową buteleczkę po płynie do czyszczenia soczewek.”

– Halo? Jest tam pan? – dotarł do niego zaniepokojony głos Sierściucha.

– Przepraszam. W zasadzie mam jedno pytanie. Przy opisie sekcji zwłok pominął pan soczewki, prawda?

Sierściuch nie odpowiedział od razu. Heinz zdążył usłyszeć, że gdzieś niedaleko doktora rozbrzmiewa przebój Piotra Rubika.

– Przy sekcji zwłok zawsze zaznaczam, że denat miał soczewki. Podobnie jak informuję na przykład o protezach. Czasem taki opis ułatwia identyfikację. Każdy porządny medyk sądowy tak robi.

– To dlaczego nie napisał pan nic o soczewkach Rutgera? Spieszył się pan na weekend czy co?

– Niech się pan sam domyśli, dlaczego nic nie napisałem – w głosie doktora pobrzmiwała nieskrywana uraza. – Ten facet nie miał żadnych soczewek. Po prostu. Nie miał.

Heinz chciał porozmawiać z Karloffem, ale okazało się, że ten już wyszedł. Zapytał jednego z policjantów, gdzie może obejrzeć wrak samochodu. Dostał adres i pojechał na miejsce.

Ku jego zaskoczeniu samochód był tylko nieznacznie uszkodzony.

– Ludzie dziwią się – odpowiedział technik, gdy Heinz zwrócił mu na to uwagę – że z samochodami nie jest tak jak na filmach sensacyjnych. Że kopniesz w przednią szybę, a ona od razu pęka. Zupełnie jakby nie była podwójnie klejona.

Heinz uważnie obejrzał samochód.

– Wszystkie szyby były podniesione? Było tak jak teraz?

Technik potwierdził.

– Mogę zajrzeć do środka?

– Tylko proszę nie zmieniać żadnych ustawień – usłyszał ostrzeżenie.

Popatrzył na deskę rozdzielczą. Wysunął głowę i wyprostował się. Wciąż brakowało mu głównego elementu w całej konstrukcji.

Następnego dnia dowiedział się, że odnaleziono Stanisława Batora. „Odnaleziono” to w tym przypadku złe słowo. Bator wrócił z zagranicy. Był w Hiszpanii. Skrócił pobyt na konsultacjach mistrzowskich, gdy przeczytał w Internecie, że Jan Rutger zginął w wypadku samochodowym.

Matura z języka angielskiego była jeszcze łatwiejsza niż z polskiego. Heinz zastanawiał się, kiedy ostatni raz słyszał podobny entuzjazm w głosie syna. Chyba gdy chłopak był dzieckiem. Może gdy byli w kinie na jednym z tych wspólnych seansów, które można by policzyć na palcach jednej ręki. Z zażenowaniem stwierdził, że nie przywykł do takich rozmów. Nie wiedział co mówić. Nie potrafił się zachować. W świecie świadków, podejrzanych i ofiar poruszał się pewnie. Podczas rozmowy z synem błądził jak ślepiec.

Tuż po południu pojechał na ulicę Spartańską. Bazarowe ubrania wisały na bramie Instytutu Reumatologii. Doktor Piotr Poraj także się nie zmienił. Jak zwykle próbował go pocieszać.

– Mamy wiosnę, zresztą, co ja mówię, mamy teraz upalne lato! – klepnął się w masywne udo. – A objawy Raynauda najczęściej występują przy niskich temperaturach. Wciąż pan pali?

– Niestety.

– Kawa?

– Niestety.

– To może przynajmniej zmieni pan pracę na mniej stresującą, komisarzu.

Był tego dnia ostatnim pacjentem. Razem wyszli na parking.

– Na coś musi się pan zdecydować, komisarzu. – Poraj popatrzył wyblakłymi niebieskimi oczami i podał Heinzowi rękę. – Jeden z moich pacjentów lubi mówić, że lis wie o wielu sprawach, za to jeź zna jedną najważniejszą.

– Co pan powiedział? – Heinz nie wypuszczał ręki Poraja z uścisku.

Lekarz powtórzył sentencję przestraszony. Przeraził go zmieniony wyraz twarzy policjanta.

– Tak zwykł mawiać mój pacjent, ksiądz Rutger.

Zapadał zmrok, gdy Heinz skończył czytać. Kilka godzin temu na zalanym słońcem parkingu, uświadomił sobie w jednej chwili, dlaczego nazwisko Rutger już przy pierwszym spotkaniu z profesorem wydało mu się znajome. Nie chodziło o żaden Jarocin ani powinowactwo muzyczne. Wtedy, w seminarium, Heinz zareagował nie na dźwięk nazwiska, ale na imię i nazwisko znanego biblisty wypisane na okładce książki.

Jak na karcie pacjenta.

„Wrzody żołądka i bóle w stawach to pozostałość stanu wojennego i zimnych cel.”

Bóle w stawach. Leczyli się u tego samego lekarza, choć nigdy się nie spotkali. Ale Heinz musiał zapamiętać nazwisko profesora, gdy zobaczył je podczas wizyty, wypisane na karcie pacjenta, jednej z wielu przyniesionych z rejestracji na biurko reumatologa.

Uwolnił dłoń Poraja ze stalowego uścisku i powiedział mu o śmierci Rutgera.

– Porażające. To porażające. – Tylko tyle był w stanie wykrztusić lekarz. – Nic nie wiedziałem. – Nie wiedziałem, że nie żyje. Chociaż, prawdę mówiąc, ostatnio nie był w najlepszej formie.

– A kiedy był ostatnio?

– Nie pamiętam dokładnie. Ale przyniósł mi jakieś dokumenty na przechowanie. Powiedział, że ten depozyt to jego polisa ubezpieczeniowa.

Heinz poczuł, jak napinają mu się wszystkie mięśnie.

„Nie lubię policjantów, ale muszę lubić lekarzy spowiadających moje ciało z chorób.”

– Zostawił u pana dokumenty?

– Tak. A ja... – Poraj zmieszał się – a ja, nie wiedząc o jego śmierci, odesłałem mu je dziś rano do seminarium. Wyjeżdżam na trzy miesiące i nie chciałem trzymać tych papierów. A w domu mam remont. Nie chciałem, by coś zginęło.

– Wysłał je pan?! – krzyknął Heinz.

– Zostawiłem w recepcji do wysłania poleconym. Zwykle idą na pocztę o trzynastej. Albo trochę wcześniej. Niedawno chciałem wysłać...

Heinz nie słuchał już lekarza. Wyrwał telefon z kieszeni i spojrzał na wyświetlacz. Była dwunasta pięćdziesiąt. Pobiegł w stronę głównego wejścia do Instytutu Reumatologii.

Przeczytał kserokopie z pozakreślanymi na zielono i czerwono fragmentami. Odetchnął głęboko.

Już wiedział, dlaczego dwaj klerycy zginęli.

Wiedział wszystko. Prawie wszystko.

Był wieczór siódmego maja. W pierwszym odruchu chciał wsiąść do samochodu. Sięgnął po kluczyki i rozmyślił się. Nie. Wybierze się

tam jutro. Pojawi się, gdy tylko otworzą lokal.

Następnego dnia pojechał do Góry Kalwarii. Monstrualny grubas, capo di tutti capi grabarzy i kamieniarzy, siedział przy swoim stole ze spuszczoną głową.

Heinz podszedł do baru. Tym razem nie zamówił dwóch piw. Wyjął zdjęcie i pokazał je barmance. Dziewczyna przypatrywała się czterem młodym chłopakom i mężczyźnie pośrodku. Cicho rozmawiali kilka minut. Raz dziewczyna sięgnęła po chusteczkę i wytarła oczy. W końcu ruszyła zza baru w stronę stołu, przy którym siedział jej ojciec.

– Tato. Pomóż mi. Proszę – powiedziała.

Stary Skarga spojrział na Heinza. W jego oczach nie dostrzegł tym razem alkoholowej mgły, a w ciężkim oddechu nie wyczuł pijackich miazmatów.

– Czego pan oczekuje? – zapytał, taksując Heinza nadspodziewanie przytomnym spojrzeniem.

Kilka ciężarówek, które jechały jedna za drugą, wzbiło kurz na poboczu. Czuł, że drobiny pyłu i piasku wnikają mu w skórę i w płuca. Nalał wody do słoika po ogórkach i wstawił kwiaty. Odniósł wrażenie, że krzyż nieznacznie przechylił się na prawą stronę. Może to skutek wiatru towarzyszącego wiosennym burzom. A może tylko mu się wydaje, że krzyż się przekrzywił.

Wiele rzeczy mu się wydaje. Wydawało mu się, że Inkwizytor chce mu powiedzieć coś ważnego, tymczasem ten bezwzględny morderca, którego uznano za niepczytalnego w chwili popełniania czynów, chciał po prostu zabawić się jego kosztem. Kornak nie zadzwonił. I pewnie nie zadzwoni. Heinz zastanawiał się, czy nie powinien zatelefonować i jeszcze raz przeprosić za swoje zachowanie. Ale właściwie za co miałyby przeproszać? Poza tym niech sprawy toczą się swoją koleją.

Tak jak potoczyły się wczesnym latem 1986 roku, gdy poszedł do warszawskiego Remontu na pokaz filmu *The songs remains the same*, rejestrującego koncerty Led Zeppelin w Nowym Jorku. Gdy zaczął się rozbudowany molowy blues, który znał na pamięć, zobaczył brunetkę wpatrującą się z przejęciem w jeden z kilku monitorów zawieszonych na wysięgnikach. Dziewczyna stała przy głośniku, nie zważając na to, że dźwięki perkusji Johna „Bonzo” Bohnama

bombardują jej wnętrzności. Gdy Since I've been lovin' you dobiegło końca, zobaczył, że dziewczyna płacze. Zdecydował się. Podszedł do niej z chusteczką. Tak poznał swoją żonę.

– Od tej pory będziemy jak Lennon i McCartney – bełkotał Heinz, który miał już nieźle w czubie.

– Jak Bonnie i Clyde – odpowiedziała.

– Jak... – zastanawiał się. – Jak Page i Plant – wskazał w stronę monitora.

– Jak Sacco i Vanzetti. Wiesz, dlaczego się popłakałam? – Brunetka popatrzyła na Heinza. – Bo myślałam, że dziś pokazują coś innego. Że obejrzę koncert The Police. Popłakałam się z wściekłości.

Okazało się, że dziewczyna pochodzi ze Śląska i studiuje w Warszawie. A wkrótce Heinz dowiedział się, kim byli Sacco i Vanzetti. Dwaj Włosi o dźwięcznych nazwiskach i przetrwanym życiu.

Niech sprawy toczą się swoją koleją. Heinz wstał i wyprostował się. Sięgnął do kieszeni spodni w poszukiwaniu kluczyków samochodowych. Zamiast kluczyków namacał jakiś zwitek papieru. Pisemna informacja inspektora Osucha dla szefa CBS, by zamknąć sprawę ze względu na śmierć głównego podejrzanego. Nie miał wątpliwości, jak zachowają się ci z Centralnego Biura Śledczego. Z ulgą przystaną na takie rozwiązanie.

Wreszcie odnalazł kluczyki i wsiadł do samochodu. Już miał uruchomić płytę w odtwarzaczu, gdy usłyszał sygnał telefonu. Numer prywatny. Westchnął i odebrał.

– Spotka się z panem. Najlepiej jeszcze dziś – oznajmił głos.

Nie musiał pytać, kto dzwoni. Wiedział doskonale.

– Zaczniemy od tego wieczoru, gdy do pokoju wpadł Kotlarczyk i powiedział ci, że ktoś próbował go rozjechać samochodem. Był poobijany, miał zadrapania na twarzy. Mniej więcej tak wyglądał.

Heinz mówił powoli, by każde słowo dotarło do chłopaka. Na zapleczu siedzieli we dwóch. Za barem nie było tym razem dziewczyny. Stał tam dwumetrowy osiłek nieudolnie obsługujący klientów, którym jednak ten brak wprawy w najmniejszym stopniu nie przeszkadzał.

Był piętnasty maja. O godzinie dwudziestej pierwszej ludzie mają prawo się napić.

– Zrozumiałeś od razu, co się święci. Ty i Kotlarczyk byliście do siebie podobni. Ten sam kolor włosów, podobna budowa ciała. Gdy jest ciemno, można was pomylić. Zrozumiałeś, że ktoś poluje na ciebie, a nie na niego. Kto mógłby zresztą czegoś chcieć od prymusa z seminarium? Co innego z tobą. Szemrane towarzystwo, lewe interesy i wreszcie przekręt na chłopakach z miasta. Zaszyleś się w seminarium. Tego nie rozumiem. Miałeś kasę, dlaczego po prostu nie wyjechałeś?

– Moja dziewczyna nie mogła – odpowiedział chłopak. – Była w ciąży, chciała dokończyć rok na studiach. A lekarze chcieli mieć ją pod stałą kontrolą. Czytałem kiedyś o takim gościu, który ukrył

się w seminarium przed mafią. Pogadałem z proboszczem, odpaliłem mu działkę za wsparcie i milczenie... – Uśmiechnął się. – W sumie było to całkiem zabawne. Poza tym w seminarium dawali sporo luzu. Jeśli miałeś kasę...

– Ale nie było tak samo zabawne dla innych. Uznałeś, że ktoś chciał cię uszkodzić, i postanowiłeś zniknąć jeszcze przed końcem roku. Zwróciłeś się o pomoc do ojca. Spłacił twoje długi, ale ty wciąż się bałeś i ukrywałeś...

– Chciałem, by wszystko nieco przycichło – odpowiedział.

– Tymczasem zaczął się nowy rok w seminarium i ledwo się zaczął, twój kolega, Kotlarczyk, zniknął. Do dziś nie wiadomo co się z nim stało.

– Nic o tym nie wiedziałem – powiedział cicho Skarga.

– Nie wiedziałeś też, że ktoś udusił dwóch innych kleryków. Zginęli w strasznych męczarniach. Uwierz mi. W całej tej sprawie nie chodzi o ciebie.

– To o co chodzi?

W barze rozległy się podniecone okrzyki i obaj usłyszeli brzęk monet wypadających z automatu do gry w pokera.

– Opisałem ci dokładnie, jak zostali zamordowani. Hipotezę, że zrobili to miastowi, odrzuciłem. Zakładałaby, że musiałeś być w jakimś układzie z Rakowieckim i Leskim, a tak przecież nie było. Że handlujecie koksem albo sterydami. Pozostaje inny trop. Rakowiecki i Leski to męskie dziwki. Leski znalazł się później w tym biznesie. Kilka miesięcy temu dowiedział się o wszystkim Rutger i wyrzucił chłopaków na zbity pysk z tych fakultetów.

– Jedyne sensowne zajęcia – mruknął Skarga. – Zaraz – sięgnął po piwo – to Rutger ich zabił?

– Nie. Nie zabił ich także Stanisław Bator, przyjaciel Rutgera. Były komandos i misjonarz. Jeszcze bardziej opętany ideą Kościoła jako wojska bez skazy niż profesor.

– Rutger opowiadał nam o nim. To jakiś... – Skarga zagryzł wargi – jakiś pojeb.

– Tak czy inaczej to nie on. I nie Rutger. Nie będę teraz wyjaśniał, dlaczego. Rakowiecki i Leski to męskie dziwki, tak? Rozmaici panowie wypożyczali ich sobie z seminarium. Może twoi koledzy zaczęli kogoś szantażować? I pomylili się. Jest na przykład taki biznesmen, który korzystał z ich usług, dofinansowując w zamian seminarium. Wasz rektor, ten piosenkarz od siedmiu boleści, informował o rosnących przychodach diecezję i wszyscy byli szczęśliwi. Tyle że wariant z szantażem też się nie trzyma kupy.

– Dlaczego?

– Na torbach foliowych zaciśniętych na głowach Rakowieckiego i Leskiego zabójca namalował różowe trójkąty, które niedwuznacznie sugerowały, że zginęli za homoseksualizm. Po co biznesmen korzystający z usług tych chłopaków miałby zostawiać ślady naprowadzające na jego trop? Poza tym ten biznesmen miał swoje metody, by wyperswadować szantaż dwóm szczawiom. Korzystając z usług swojego goryla, zapaśnika, połamałby im ręce i nogi i byłoby po herbacie.

– Zapaśnik – szepnął Skarga. – Pamiętam takiego. Kręcił się po seminarium.

– Facet chyba lubi ból. Zadawany innym i sobie. – Heinzowi przypomniała się scena biczowania. – Nieważne. Ten biznesmen znęca się nad swoją żoną. Może to ona weszła w układ z tym zapaśnikiem i postanowiła zrobić męża w podwójne morderstwo?

Też nie. Nie musi posuwać się do morderstw, by zniszczyć swego oblubieńca. Pewnie już w tej chwili ma wystarczające dossieri tylko czeka na właściwy moment.

– Skoro nikt nie mógł zabić, to kto zabił? – zapytał zniecierpliwiony Skarga.

Heinz nie odpowiedział. Otworzył teczkę i wyjął pliki spiętych kartek. Podał je rozmówcy. Skarga wertował kartki. Najpierw wolno, potem coraz szybciej.

– Co to jest? Nic nie rozumiem...

– To kserokopie artykułów napisanych przez rektora Majdę. I fragmenty jego książek. A w drugim pliku prace, z których rektor zerznął swoje myśli. Prace seminarzystów z różnych miejsc w Polsce, ale nie tylko. Twój kolega Kotlarczyk zgromadził to wszystko. Pewnie opowiedział o całej sprawie któremuś z kolegów z waszego prywatnego seminarium. Obstawiam, że powiedział Leskiemu. Rozumiesz? Zgromadził dowody świadczące o tym, że teksty Majdy to plagiat na plagiacie. Kotlarczyk zniknął, Leski nie żyje, Rakowiecki nie żyje – Heinz wyliczał na palcach. – A teraz – przybliżył twarz do twarzy Skargi – powróćmy do chwili, gdy zakrwawiony Kotlarczyk wbiegł wieczorem do waszego wspólnego pokoju. Powiedział ci wtedy, że rozpoznał samochód, który chciał go rozjechać. Sam nie mógł w to uwierzyć, ale opowiedział ci o wszystkim, prawda?

Skarga powoli skinął głową.

Mężczyzna siwy jak gołąb odszedł od konfesjonau z jasnego drewna. Nad spowiednicą – Heinz zapamiętał takie określenie z odległej przeszłości – znajdował się drzeworyt przedstawiający dziewiątą stację Drogi Krzyżowej. Droga na Golgotę dobiega kresu. Chrystus upada po raz trzeci i ostatni.

Ukląkł i przez kratkę wpatrywał się w twarz wspartą na dłoni. Dostrzegł także, że do konfesjonau przymocowano tabliczkę. „Tu spowiada Ksiądz Rektor Jan Majda.”

– No co jest, synu? – usłyszał znajomy głos. – Niech będzie pochwalony, a później: „Ostatni raz byłem u spowiedzi...” i tak dalej.

– Przyszedłem się wyspowiadać... Za księdza przyszedłem się wyspowiadać. Za nie zabijaj i nie kradnij...

Spowiednik drgnął. Spojrzał przez kratkę.

Oko klawisza. Oko pełne pogardy. Zupełnie jakby patrzył przez judasza na skazanego.

– Kilka błędów. – szepnął Heinz. – Popęłnił ksiądz kilka błędów. Ta szminka w samochodzie Rutgera była niepotrzebna. Zbyteczny gadżet. Grzech przesady czy jak to się tam nazywa – szeptał gorączkowo. – Czy taki subtelny analityk jak Rutger mógłby zostawić dowód przestępstwa w swoim samochodzie? Jeśli już

jesteśmy przy samochodzie... Dwa kolejne błędy... Samochód, który spadł do rozlewiska, miał całe szyby. Wbrew pozorom szyby samochodowe są trwałe i mogą sporo wytrzymać. Także upadek do wody. Wszystkie okna w samochodzie były zamknięte. Ale tamtego wieczora, gdy odjechaliście z Rutgerem spod jego domu, było duszno. Także w nocy. Zbierało się na burzę. Sprawdziłem to. A okna mimo to pozostały zamknięte. Popełnił ksiądz błąd. Włączył ksiądz klimatyzację. Na osiemnaście stopni. Gdyby samochód prowadził Rutger, nigdy by sobie na to nie pozwolił przy swoich schorzeniach reumatycznych. Ale to drobiazg w porównaniu z błędem kardynalnym... – Zawiesił głos, jakby wsłuchiwał się w śpiew wiernych podczas mszy. – Rutger był ślepy. Ślepy jak kret. Pozostałość stanu wojennego i milicyjnych pałek. Nie nosił okularów. Zawsze używał soczewek. To też sprawdziłem. I nagle znajdujemy go na siedzeniu kierowcy. Człowiek ślepy jak kret prowadzi samochód. A w oczach nie ma soczewek. To nie jest dziwne? – Usłyszał ciężki oddech. – Było tak. Ksiądz przyjechał do niego i mieliście razem pojechać do Mińska Mazowieckiego. Rutger był pijany. Sprzyjająca okoliczność. Ksiądz prowadził samochód. Rutger spał. Dojechaliście do rozlewiska, ksiądz przesadził go na siedzenie dla kierowcy i zepchnął samochód. Nie wiem, czy była to improwizacja zainspirowana snem pijanego Rutgera, czy z góry przyjęty plan, ale wyszło tak sobie. Bo pijany Rutger, sądząc, że będzie spał w drodze, nie włożył soczewek... Albo nie miał siły... Zresztą wcześniej też wyszło tak sobie...

Poczuł, że ktoś klepie go w plecy.

– Przepraszam, czy długo się pan będzie spowiadał? – Nad Heinzem pochyliła się zniecierpliwiona staruszka.

Przeszył ją wzrokiem.

– Długo. W dodatku z samych grzechów śmiertelnych. – Odwrócił się w stronę kratki.

– Wcześniej też ksiądz popełnił błąd. Trójkąty namalowane szminką. Cyfry, które w oczywisty sposób powinny się skojarzyć z godziną śmierci papieża, a w mniej oczywisty – z prorokiem Ezechielem. Łańcuszek skojarzeń powinien sugerować krucjatę odbywaną przez jakiegoś religijnego maniaka... Obłąkańca albo rygorystę... W dodatku torby foliowe.... Rutger pewnie opowiadał kiedyś o sposobach torturowania w Kambodży. I rzeczywiście. Podejrzewania skierowały się w jego stronę oraz w stronę jego przyjaciela jeszcze z azjatyckich czasów, Stanisława Batora. Człowieka, który prowadzi klub karate o nazwie „21:37”. Jestem pewien, że gdybym sam się nie domyślił takich powiązań, ksiądz prędzej czy później by je nam zasugerował.

– Na czym polegał błąd? – ksiądz po raz pierwszy przemówił.

– Miecz Pański. Miecz Pański wyostrzono i wyczyszczono. Tak powiadał Ezechiel. Zabójcy na tle religijnym dbają o czytelność przekazu. O dosłowność. Boją się, że ich przesłanie nie zostanie zrozumiane, a wtedy cała misterna robota na nic. Starają się zatem wyłożyć kawę na ławę. Nie pozostawić nic domyślności tępego policjanta. Rakowieckiego i Leskiego – zrobił pauzę – trzeba było wypatroszyć nożem. Mieczem Pańskim. I wyciąć im cyfry na ciele. W Biblii o duszeniu torbą foliową chyba nie ma mowy... Modus operandi od początku nie przystawał do sugerowanego przekazu. Do przesłania. Do tej całej szopki z trójkątami i cyframi. Tego nie zrobił maniak religijny. To takie moje – Heinz nieco podniósł głos –

prywatne korepetycje. Wszakże – postukał palcem w przymocowaną tabliczkę – tu spowiada sam ksiądz rektor.

– Dlaczego oni zginęli? Pytam tak, z ciekawości. – W głosie księdza usłyszał drwinę.

– Dlatego. – Heinz wstał, stanął przy drzwiczkach konfesjonau i podał kilka kartek. – Dlatego – powtórzył. Nie dzieliła ich już kratka. Patrzył prosto w twarz księdza. – Najpierw próbował ksiądz zabić Kotlarczyka, który odkrył całą sprawę. Zastanawiałem się, jak się ksiądz dowiedział o tych wszystkich plagiatach. Wreszcie dotarło to do mnie. Kto wie najwięcej o klerykach? O ich problemach? Przecież wiadomo, że w seminarium nie ufa się kolegom, którzy mogą okazać się donosicielami. Wiadomo, że nie pójdzie się z ważną sprawą do pierwszego lepszego wykładowcy. Ale jest w seminarium ktoś, kto gwarantuje coś więcej niż spowiedź. Gwarantuje szczerą rozmowę, a także pełną dyskrecję. Ksiądz jest właśnie taką osobą. – Heinz skierował palec w stronę spowiednika. Taką osobą jest ojciec duchowy.

Usłyszał, jak Jerzy Jurek gwałtownie wierci się w konfesjonale, jakby coś zaczęło go nagle uciskać.

– Kotlarczyk w swojej naiwności powiedział o kilka zdań za dużo. Mógł liczyć na to, że miły człowiek dwojga imion albo człowiek bez nazwiska przestrzeże tajemnicy spowiedzi. Zapewne obiecał mu ksiądz, że zajmie się tą sprawą, wyjaśni ją... Takie tam gadanie. Więc Kotlarczyk zaufał niepozornemu ojcu duchowemu. Nie wiedzieli tylko, że ich mistrz darzy takim uwielbieniem swego preceptora, że zrobi dla niego wszystko. Ksiądz jest jak cień rektora Majdy. Gdy on się wspinał, ciągnął księdza za sobą. Rektor wiedział, że może liczyć na bezwzględną lojalność. I w końcu stał się ksiądz

ojcem duchowym. To już jest ktoś w hierarchii seminarium. Nawet teraz... Pewnie jest ksiądz dumny, że może spowiadać w konfesjonale zarezerwowanym dla rektora.

– Pan oszalał – wyszeptał Jurek.

– Nabierałem podejrzeń co do pańskiej osoby, ale jedno nie dawało mi spokoju. Nie, nie chodzi o alibi. W świecie seminarium w zasadzie nikt nie ma alibi. Nie ma rodziny, rzadziej, niż czynią to świeccy, odwiedza się przyjaciół... Nie mogłem zrozumieć, jaki ksiądz mógłby mieć powód, by zabić kleryków. Rutger i Bator ze swoim rygoryzmem i misją wypisaną na twarzach znajdowali się w kręgu podejrzeń.

Wyplenili homoseksualną zarazę. Biznesmen Kunicki mógł się bać szantażu. Też miałby powód. Można sobie wyobrazić kilka innych rozwiązań. Ale ksiądz? – Heinz zamilkł. – Aż wreszcie trafiłem na te papiery – poruszył plikiem kartek.

– Pan oszalał – powtórzył Jurek.

– Nie oszalałem. Kotlarczyk zdobył dowody, że Majda kradnie teksty do swojej habilitacji, i ksiądz go zabił. Tyle że Kotlarczyk zdążył komuś to wszystko opowiedzieć Komu? Najpewniej kujonowi Leskiemu, o którym można sądzić, że docenił zebrane materiały. Skarga był na marginesie, bo zniknął w czerwcu. I pewnie Leski z czymś się wygadał podczas szczerzej rozmowy z księdzem. Leski uprawiał seks dla pieniędzy, ale postanowił się z tego wycofać. Uznał, że kwity na Majdę to znakomita karta przetargowa, by bezboleśnie ukończyć seminarium... Może nawet przyszedł do księdza, żeby złożyć taką propozycję.

– I niby co dalej?

– Leski jednak nie do końca ufał księdzu. Okazało się zresztą, że miał rację... Postanowił się ubezpieczyć. Wybłagał spotkanie z Rutgerem i wręczył mu kwity na Majdę. Tego samego dnia zginął. Podobnie jak Rakowiecki. Do Rutgera poszli już w swoich strojach wieczorowych, ubrani pedalsko i galowo, pewnie więc potem jechali na jakieś umówione spotkanie. To ksiądz miał ich tam zawieźć. Pewnie nie pierwszy raz. Miał ich ksiądz dostarczyć do jakiegoś kolejnego biznesmena. Leski zapewne myślał, że robi to już ostatni raz. Tyle że Jerzy Jurek naszprycował chłopaków jakąś pigułką gwałtu i urządził im piekło. Zupełny przypadek sprawił, że jeden z kleryków miał przy sobie kartkę z numerem telefonu Rutgera. Profesor zaś przejrzał papiery i zrozumiał, że ma w ręku bombę. Długo się wahał, czy wystąpić ze stanu duchownego, ale to, co przeczytał w materiałach przyniesionych przez Leskiego, przeważało. Miał dosyć tego bagna. Wydał oświadczenie dla prasy. Znalazły się w nim dwa zagadkowe zdania. „Jest jeszcze jeden ważny powód mojej decyzji. Poinformuję o nim w ciągu tygodnia.” Przyznaję, w pierwszym odruchu zupełnie ten fragment zlekceważyłem. A przecież profesorowi chodziło o ten plagiat. Rutger chciał zmusić Majdę do rezygnacji ze stanowiska rektora. Zagroził, że w przeciwnym razie ujawni całą sprawę. Taki jest sens tych zdań. I dlatego Rutger także musiał zginąć. Tyle o tym.

– Nie ma pan żadnych dowodów.

– Mam kserokopie świadczące o tym, że Majda plagiatowa! prace naukowe. Rozmawiałem też z twoimi sąsiadami, bydlaku – Heinz z pogardą cedził słowa. – Utrzymują, że jesienią ubiegłego roku rozpałiłeś koło domu ognisko. Zapamiętali to, bo nigdy tego sam nie robiłeś. Zawsze robił to dla ciebie jakiś chłoptaş z seminarium. A tu

taka niespodzianka... Pracowity Jerzy Jurek. Wybrałeś odpowiedni moment, gdy sąsiedzi wyjeżdżali na kilka dni. Tyle że oni też zrobili księdzu niespodziankę. Musieli po coś wrócić. Ale zapamiętali tamten dzień, a wie ksiądz, dlaczego? Dlatego, że śmierdziało jak cholera. Zupełnie inaczej niż palone jesienią liście. Osobiście przekopię twoją działkę i znajdę szczątki Kotlarczyka. Nawet jeśli potraktowałeś go potem wapnem palonym, znajdę ślady. Rozumiesz, bydlaku? I doprowadzę do tego, że rektor zostanie potraktowany jako twój wspólnik przy trzech zabójstwach.

Heinz ciężko opierał się o konfesjonał, jakby zaraz miał runąć na ziemię.

– Masz jedno wyjście. Przyznasz się do trzech zabójstw i wskażesz, gdzie spaliłeś Kotlarczyka. Opowiesz też, jak to biznesmen Kunicki wypożyczał sobie kleryków z seminarium. I że płacił za to grube pieniądze. Wtedy być może zostawię Majdę w spokoju. Być może... Stanie się to, gdy podpiszesz zeznanie. – Zrobił dwa kroki do tyłu. – Masz czas do jutra rana – powiedział głośno.

Wyszedł z kościoła i spojrzał w stronę, gdzie stało zaparkowane volvo. Skinął głową. Był pewien, że kierowca volva dostrzegł ten gest. Sięgnął po kluczyki. Znów natrafił na zmiętą kartkę, z której wynikało, że morderca kleryków zginął. Wyszarpał ją z kieszeni i z wściekłością cisnął do kosza.

Jerzy Jurek spakował podręczny bagaż. Rano poszedł do banku i podjął pieniądze z konta. Razem z tym, co przechowywał w domu, powinno wystarczyć na dłuższy czas. Odłożone pieniądze ukrywał w gabinecie. Na wszelki wypadek. Gdyby pojawił się kłopot. A kłopot pojawił się, gdy do sprawy wkroczył ten wścibski policjant z siwawym zarostem na twarzy.

Trzeba działać szybko. Najważniejsze to wydostać się z Warszawy. Potem samolot. Z każdą godziną będzie trudniej, jeśli ten Heinz dotrzyma słowa.

Jurek lubił planować. Pomyślał o Rakowieckim i Leskim. Dali się podejść. A pigułki gwałtu zadziałały bezbłędnie. Jedynym błędem było to, że przycisnąłem ich za bardzo. Leski nie powiedział mi nic o tym, że przekazał materiały Rutgerowi. Trudno, stało się.

Przypomniał sobie, jak ostatni raz zacisnął folię na głowie Leskiego. Błąd. Chłopak za szybko skonał. A przed śmiercią jeszcze narobił w gacie. Klika minut później umarł Rakowiecki.

Jurek pamiętał, jak po raz ostatni żyły nabrzmiały mu na przegubach, gdy zaciskał torbę na głowie i szeptał do ucha chłopaka:

– Jak to mawiał ten wasz guru? Jak brzmi jego ulubione przysłowie? Lis wie o wielu sprawach, natomiast jeź zna jedną

najważniejszą. Sądziłem, że twój kolega mi powie. Ale nie chciał. Więc ty powiedz. Powiedz wszystko, co wiesz! Kto jeszcze wie?

Rakowieckiemu opadła głowa. To był koniec.

Jerzy Jurek odsłonił firankę w kuchni. Senny majowy poranek w zapadłej dziurze koło Piaseczna. Wścibscy sąsiedzi wyjechali już do swojej firmy, by nadzorować niesolidnych pracowników. Otworzył drzwi i zniósł ze schodów czarną walizeczkę na kółkach. Zaraz wróci po drugi bagaż i zamknie drzwi.

Popatrzył w głąb ogrodu, w stronę płotu, który oddzielał go od sąsiadów, i zrozumiał, że się pomylił. Czerwony sportowy samochód wciąż stał na podjeździe. Jeszcze nie wyjechali do pracy. A zatem...

– Ksiądz gdzieś wyjeżdża? – usłyszał za sobą uprzejmy głos.

Odwrócił się.

W pierwszej chwili nie rozpoznał twarzy, którą zobaczył. Gdy wreszcie ją skojarzył, chciał krzyknąć.

Nie zdążył.

Potężny cios zmiażdżył mu grdykę. Jurek osunął się na ziemię. Z jego gardła wydobył się charkot, który był wołaniem o litość.

– Jakaś klątwa zawisła nad tym seminarium. – Karloff nerwowym ruchem zdierał etykietę z piwa Żywiec. – Wiesz, że znaleźli tego całego Jurka, ojca duchowego, martwego w jego domu pod Piasecznem? Splądrowane mieszkanie. Morderstwo na tle rabunkowym.

Heinz wypił solidny łyk z kufla.

– Wiesz, co mnie intryguje? – Karloff uśmiechnął się krzywo. – Księżulo miał zmiażdżoną grdykę. A potem ktoś go posadził w fotelu

i... – ciężko westchnął – i wbił mu kijek narciarski w prawe oko.

– Sezon się skończył – mruknął Heinz. – Trzymanie sprzętu narciarskiego w domu może się okazać niebezpieczne.

– Przypomniałem sobie tego twojego mistrza karate, co to kiedyś tam rzucił komuś w oko metalową gwiazdką. A teraz Jurek z drągiem w oczodole... Zastanawiające podobieństwo. Powiedz – chwycił Heinza za rękę – gadałeś z Batorem? Opowiedziałeś mu o Jurku? Wystawiłeś księżulka do odstrzału? Rozmawiałem o tym z Jolką. Uważa tak samo...

– Z Jolką? Dawno jej nie widziałem...

– Była na urlopie. Ale nie zmieniaj tematu. Więc tak to się odbyło?

– Powiedziałem ci, żebyś przeczesał ogród tego... w poszukiwaniu zwłok Kotlarczyka – Heinz podniósł głowę. – Pamiętasz, jak widzieliśmy się u ciebie po śmierci Poremby? – zapytał niespodziewanie.

– Pamiętam. A co? – W pytaniu Karloffa wyczuł napięcie.

– Wybiegłeś wtedy z domu. Pojechałem za tobą. Podjechałeś pod Mauzoleum Żołnierzy Radzieckich. A później ja pogadałem z kolesiem, od którego kupujesz... – zawiesił głos.

– Mam z nim układ – wysapał Karloff. – A tobie nic do tego! Musiałem wciągnąć – dodał, nerwowo rozglądając się na boki. – Czasami muszę, bo inaczej bym oszalał!

Heinz wiedział, że teraz on i Karloff zawierają ze sobą inny układ. Układ polegający na tym, że żaden z nich więcej nie zada niewygodnych pytań.

– Uwierz mi – Heinz chciał, by jego głos zabrzmiał pojednawczo.
– Jerzy Jurek to prawdziwy skurwysyn.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego to on miałby zabijać.

– Efekt Rosenthala – odparł Heinz w zamyśleniu.

– Że co?

– Pamiętasz? Gdy byliśmy u Kunickiego, była o tym mowa. Jurek bez Majdy czuł się nikim. Zresztą miał rację.

Był nikim. Zabił, by ratować rektora przed kompromitacją i upokorzeniem. I by ratować twarz. Własną. Ale przede wszystkim jemu starał się sprawić przyjemność. Tak jak pies treserowi. Jak niewolnik panu... Tak czy inaczej uznał, że należy to zrobić za wszelką cenę.

– Ale nie za taką! – obruszył się Karloff. – Chłopie, zlituj się!

Karloff wstał od stołu.

– Powiem ci coś – Heinz pochylił się w stronę rozmówcy, gdy ten wrócił z toalety. – Znasz takie powiedzenie Konrada, że trzeba wymierzać sprawiedliwość widzialnemu światu? Otóż ja...

– Konrada? – przerwał Karloff. – Konrada Osucha? Nie wiedziałem, że przeszliście na ty!

Heinz ciężko westchnął i dopił piwo. Wreszcie mógł się napić. I nie musiał pić za dobrą formę sędziego.

Wyszedł z baru, który zapełnił się w ciągu ostatniej godziny. W piątkowe popołudnie zaczynał się kolejny weekend. Heinz nie miał w Warszawie już nic do roboty. Podszedł do samochodu. Jeszcze dziś odstawi go do komendy. Zza wycieraczki wyjął ulotkę agencji towarzyskiej. Dziewczyna na zdjęciu miała biało-czerwony szalik. Piersi przysłonięte były dwiema futbolówkami. „Zapraszamy wszystkich kibiców – przeczytał. – Przygotowania czas zacząć. Zadbamy o waszą kondycję.”

Jeszcze kilka lat i trzeba będzie się wynosić z tego kraju.

Pięści Heinza były mocno zaciśnięte. – Atakuj! – krzyknął Kastoriadis.

Wykonać ruch to znaczy odsłonić się. Ukazać kyo. Zawahać się i stracić kontrolę nad tym, co się robi? Czy musiał czekać na ruch mordercy? Czy musiało dojść do śmierci Rutgera, by uchwycił właściwy trop? Czy musiał być podejrzanym aż do chwili, gdy stał się aż za bardzo podejrzanym?

Zapewne tak właśnie było.

Śledztwo w sprawie morderstwa dwóch kleryków oficjalnie zakończono. Morderca księdza Jurka wciąż pozostaje na wolności. Rektor Majda zrezygnował z kierowania seminarium duchownym na Żoliborzu. Przeprowadzona tam kontrola wykazała liczne – a nawet, jak to w jednym z artykułów określono: „skandaliczne” – nieprawidłowości. Na wniosek wizytatora papieskiego seminarium zamknięto.

Poza tym wszystko wróciło do normy. Znowu było byle jak. Syn dostał się na studia. Od tygodnia, gdy pokłócili się kolejny raz i gdy Heinz usłyszał, że nigdy nie był z niego żaden ojciec, nie zamienili zdania. Widocznie musiało tak być.

Heinz poczuł, że pięść Kastoriadisa wbija mu się w żebra. Jęknął i skrzywił się z bólu.

– Gdzie jesteś, Hipis? Bo na pewno nie tu! Nie w dojo! – krzyczał Lambors.

– Masz rację. Lis wie o wielu sprawach, natomiast jeź zna jedną najważniejszą...

– Co powiedziałaś? – zdziwił się mistrz karate.

– Nic. Mawiał tak pewien mądry człowiek. – Przypomniał sobie mężczyznę o zmrużonych oczach. – Najwyraźniej jestem lisem, a nie jeżem...

– Jest mi dokładnie wszystko jedno, kim jesteś – powiedział Kastoriadis. – Bylebyś zaatakował jak należy! Skoncentruj się na tym, co robisz! Dalej!

Heinz wyprostował się, zacisnął pięści i ruszył do przodu.

Od autora

Pragnę podziękować tym wszystkim, którzy wzbogacili tę powieść swoją wiedzą i doświadczeniem. Nieocenionej pomocy udzielił mi, niezawodny jak zwykle, doktor Jakub Trnka z Zakładu Medycyny Sądowej AM we Wrocławiu – człowiek o kolosalnej wiedzy i zarazem wyczuciu literackim. Za liczne inspiracje dziękuję komisarzowi Krzysztofowi Tkaczykowi z dawnego wydziału zabójstw Komendy Stołecznej Policji, zaś inspektorowi Tomaszowi Bednarkowi – szefowi Laboratorium Kryminalistyki KSP – wdzięczny jestem za efekt Rosenthala i parę innych wyjaśnień. Rafałowi dziękuję za opowieści z krypty, czyli wprowadzenie w świat zakładów pogrzebowych.

Dziękuję pierwszym czytelnikom maszynopisu: Gosi i Markowi Krajewskim oraz Wojciechowi Burszcie za wnikliwą lekturę i uwagi. Za wszelkie niedostatki książki odpowiedzialny jest oczywiście jej autor.

W świat sztuk walki – odgrywających ważną rolę w powieści – wprowadzili mnie koledzy z Polskiego Związku Karate Tradycyjnego, szczególnie zaś sensei Szczepan Thomas. Oss!

Seminarium duchowne w okolicach Placu Krasińskich jest moim własnym wymysłem, jakkolwiek liczne opowieści z życia seminariów pochodzą od osób dobrze zorientowanych w tej kwestii. Zgodnie z ich życzeniem nie wymieniam tu ich nazwisk i dziękuję za okazaną pomoc.

21:37 dedykuję mojej żonie Ani z nadzieją, że to nie najgorszy pomysł, na jaki wpadłem w życiu.

Mariusz Czubaj
lipiec 2008

Książki oraz bezpłatny katalog Wydawnictwa W.A.B. można
zamówić pod adresem:

ul. Łowicka 31, 02-502 Warszawa

tel. (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

Redaktor serii: Dariusz Sośnicki

Redakcja: Anna Adamiak

Korekta: Elżbieta Michalak, Grażyna Mastalerz

Redakcja techniczna: Urszula Ziętek

Projekt okładki i stron tytułowych: Piotr Grabowski na podstawie
koncepcji graficznej Marka Goebła

Fotografia autora: © Grzegorz Press

Wydawnictwo W.A.B.

02-502 Warszawa, ul. Łowicka 31

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Komputerowe Usługi Poligraficzne

Piaseczno, ul. Żółkiewskiego 7a

ISBN 978-83-7414-530-5

-
- ¹ Ad maiorem Dei gloriam examen conscientiae (łac.) – Na chwałę Boga Najwyższego rachunek sumienia.
 - ² Ad maiorem Dei gloriam flagellatio (łac.) – Na chwałę Boga Najwyższego biczowanie.
 - ³ Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Opracował Zespół Biblistów Polskich z inicjatywy Benedyktynów Tynieckich, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań – Warszawa 1990.
 - ⁴ S. Beckett, Ostatnia taśma Krappa, [w:] Dramaty, przeł. Antoni Libera, Warszawa 2002.
 - ⁵ Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Opracował Zespół Biblistów Polskich z inicjatywy Benedyktynów Tynieckich, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań – Warszawa 1990.